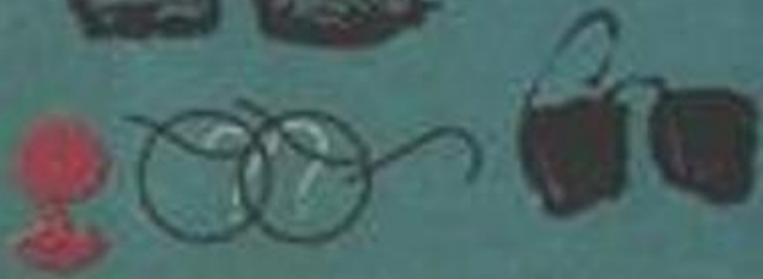


Anna Kivdeliska



malwina przegrata milton



Anna Klodzińska

**Malwina
przegrała milion**

**Wydawnictwo
Ministerstwa Obrony Narodowej**

Projekt okładki
PIOTR LEWANDOWSKI

Redaktor
ELŻBIETA SKRZYNSKA

Redaktor techniczny DANUTA WDOWCZYK

Korektor LEONARDA KRÓLIKOWSKA

© Copyright by Wydawnictwo
Ministerstwa Obrony Narodowej
Warszawa 1984

ISBN 83-11-07144-6

Printed in Poland

Wydawnictwo
Ministerstwa Obrony Narodowej

Warszawa 1984 r. Wydanie I

Nakład 160 000 -f 250 egz. Objętość 9,02 ark.
wyd., 8,75 ark, druk. Papier gazetowy 50 g z roli 84 cm/32
ze Szczecińskiej Fabryki Papieru „Skolwin”.

Oddano do składania w lipcu 1984 r.

Druk ukończono w grudniu 1984 r.

Wojskowe Zakłady Graficzne w Warszawie.

Zam. nr 6965

Cena zł. 40.–

T-90

Rozdział 1

Trzasnęły drzwi w korytarzu, na wpół przymknięte okno zamknęło się z hukiem.

Sosnowiecki wzdrygnął się i mruknął:

– Co za wichura!

– Całą noc tak wyło – dorzucił Sawicz. – Kiedy szedłem rano przez plac, kawał blachy rąbnął w skodę, zaparkowaną na chodniku.

– W twoją?

– Gdzie tam. Człowieku, myślisz, że ja bym tu tak spokojnie siedział? Wczoraj... – urwał, bo ktoś biegł korytarzem i gwałtownie, otworzył drzwi. Wpadł inżynier Jabłoński.

– Słuchajcie! – zawołał. – Żabojady strajkują!

Obaj koledzy spojrzeli najpierw na siebie, potem na niego.

– Że co? – zirytował się najstarszy wiekiem i stanowiskiem Sosnowiecki. – Mów po ludzku.

– Francuzi, mówię przecież. Wyjeżdżają.

Sawicz wstał przełożył jakieś papiery na biurku, usiadł z powrotem. Nie mógł, nie chciał uwierzyć; choć spodziewali się tego od jakiegoś czasu, wciąż myślał, że jednak da się wszystko pomyślnie załatwić.

– Jak to: wyjeżdżają? – wybuchnął z gniewem. – Wszyscy?

– Wszyscy – potwierdził Jabłoński. Zrzucił kurtkę i czapkę, stanął przy oknie.

– Tak po prostu, wyjeżdżają? W ogóle?

– W ogóle.

– No, a montaż? Przecież niedługo nadejdą części, te reklamowane... przecież... a „Cameron”? Jest w kontrakcie. A te... ten – jękał się ze zdenerwowania. – A katalizatory?

– Te reklamowane części już z Francji nie wrócą. Odmówili. Odmawiają wszystkiego Również „Camero-nu”. A o katalizatorach możemy tylko pomarzyć.

– Janusz, ty serio? – Sosnowiecki patrzył niedowierzaniem. – I skąd to wiesz?

– Stary mi mówił. Byłem teraz u niego sprawie trzeciego konwertora. Jak to usłyszałem, to mi się odechciało wszystkiego. Stary zły, ścięty. Postarzał się jakby przez te ostatnie tygodnie.

– Poczekaj. Przecież Francuzi nie mogą i nagle zerwać olbrzymiego kontraktu!

– Okazuje się, że mogą.

– Rozmawiałeś z którymś? Znasz tam kilku inżynierów, mówisz dobrze po francusku. Niektórzy wydawali

się całkiem sympatyczni. Co sądzi o tym, powiedzmy, Charles? Albo ten chudy z czarnym wąsem, jak mu tam? Aha, Toutain. Grywał z tobą w brydża. Gadałeś z nimi?

Jabłoński wzruszył ramionami. Odszedł od okna, usiadł przy swoim biurku.

– Charles wyjechał już wczoraj, nawet się nie pożegnał. Podobno bardzo mu się śpieszyło. Rozmawiałem tylko z technikiem, Michele. Wpierw się wykręcał, że nic nie wie, potem, że mu nie wolno, a kiedy się rozzłościłem i zacząłem od „merde” i takich słówek, szepnął mi do ucha: „To nie my”. Spytałem: „No, więc kto?” Odparł, że on chce jeszcze trochę w swojej firmie popracować. I uciekł. Cóż, boi się.

Trzej inżynierowie milczeli czas jakiś. Sawicz pogwizdywał i bębnił palcami do taktu. Jego ładna, pociągła twarz z dwoma czarnymi krechami gęstych brwi i prostym nosem miała taki wyraz, jakby chciał rzucić wyzwanie całemu światu. Był z nich najmłodszy, do Zakładów „C-12” przyjechał pełen energii; wierzył, że przy budowie wytwórni znajdzie dla siebie wielkie pole do popisu.

– Nie mogę zrozumieć! – wykrzyknął – Taki kontrakt na trzy wytwórnie to przecież dla ich firmy doskonały interes. Mogą nas lubić albo nie, ale chyba umieją liczyć. Coś ty mówił, Janusz, o częściach, które

wysłaliśmy do Francji? Wiesz, tych do poprawek albo uzupełnienia?

– Powiedziałem, że już ich nie dostaniemy. Po prostu odmówili wysyłki.

– Ależ to jest w ogóle bez precedensu! Takie rzeczy w międzynarodowym handlu... – urwał, bo zadzwonił telefon. Podniósł słuchawkę. – Sawicz... Dobrze, przyjdziemy.

Wstał, popatrzał na zegarek.

– Kto dzwonił? – spytał Sosnowiecki. Myśłami był wciąż przy nieoczekiwanej, a złej nowinie.

– Jola, z sekretariatu. Za dziesięć minut mamy przyjść do dyrektora. Stary zarządził naradę.

– Pewnie w związku z Francuzami – rzekł Jabłoński. – Ciekawe, co on wymyśli.

– A cóż tu można wymyślić? Leżymy z produkcją jak te neptki. Do uruchomienia brakuje tylu rzeczy, że... Z pustego i Salomon, wiadomo.

*

Zawadzki, naczelny dyrektor Zakładów „C-12”, rzeczywiście wyglądał, jakby mu przybyło z dziesięć lat. Inżynierowie i technicy, zebrani w sali konferencyjnej, dostrzegli drzenie rąk, dwie długie bruzdy na policzkach i pasmo siwych włosów, których jeszcze tydzień temu

z pewnością nie było. Widział te ukradkowe, zażenowane spojrzenia. Uśmiechnął się ironicznie i, swoim zwyczajem bez owijania w bawełnę, powiedział:

– Razem, moi panowie! Wspólnie będziemy jedli tę żabę... – przerwał, bo sala wybuchnęła śmiechem. – Jeżeli można się tak wyrazić: tę francuską żabę. – Powiodł wzrokiem po zebranych, pokiwał głową. – Sytuacja jest nie do pozazdroszczenia. Ale ja nie mam zamiaru brać na siebie całego ciężaru. Wszyscy, jak tu siedzimy, musimy wyteńczyć mózgi i znaleźć jakieś sensowne wyjście.

– Może pan poda trochę szczegółów, dyrektorze – poprosił Sosnowiecki. Skubał w zamyśleniu rudawą brodę. Czuł przykry ucisk w okolicach serca i pomyślał, że to przez ten wiatr. Źle znosił nagłe zmiany ciśnienia, zwłaszcza niż.

Zawadzki spojrzął na leżące przed nim notatki.

– Więc tak – podjął. – Jak Wszyscy wiemy, kontrakt z francuską firmą ANL na trzy wytwornie: amoniaku, mocznika i nawozów NPK, dla naszych zakładów przewiduje dostawy maszyn, urządzeń, technologii oraz siedmiu ton katalizatora. Kredyt, zgodnie z umową rządów Polski i Francji, udzielony był na dziesięć lat. Bank – dokładnie: Banque Française de Commerce –

w imieniu konsorcjum banków francuskich przydzielił go w wysokości miliarda sześciuset milionów franków. Kontrakt zawarliśmy w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym siódmym roku. Od pewnego czasu gościmy, a raczej gościliśmy, u nas kilkunastoosobowy zespół pracowników ANL, dla montażu, serwisu technicznego i tak dalej. Niektóre części maszyn okazały się złe lub wymagały uzupełnienia, więc odesłaliśmy je do Francji. Miały wracać sukcesywnie.

Zajrzał w notatki, przygryzł wargi, zastanawiając się nad czymś. Potem kontynuował:

– Sytuacja na dziś, w marcu osiemdziesiątego trzeciego, wygląda tak. Stoją, zbudowane przez nasze firmy, pomieszczenia dla trzech wytwórni. Jest część urządzeń i maszyn. Gotowe są dwie wytwórnie pomocnicze: kwasu fosforowego i kwasu siarkowego. Brakuje zaworu kulowego „Cameron” do amoniaku. Brakuje zareklamowanych części. Brakuje katalizatora, bez którego produkcja amoniaku typ W-154 jest niemożliwa. Już nie mówię o pomocy technicznej, serwisie, tym wszystkim, do czego ANL zobowiązała się w kontrakcie. Wczoraj kierownik francuskiego zespołu, pan Victor Mallet, oznajmił mi, że wycofuje cały swój personel. Wyjeżdżają, ponieważ nie zapłaciliśmy w terminie odsetek od kapitału. Jak wiecie, koledzy, dwa lata temu i

rok temu sytuacja gospodarcza i polityczna kraju była, delikatnie mówiąc, trudna. Rzeczywiście spóźniliśmy się ze spłatą odsetek. Tylko jeden jedyny raz! Po prostu nie było dewiz. Dosyć szybko jednak zapłaciliśmy, wyrównując zaległości. No i gdzieś tak od siedmiu, ośmiu miesięcy spłaty są realizowane punktualnie. Powiedziałem to Malletowi. Rozłożył ręce: jest pracownikiem ANL, wykonuje tylko jej zarządzenia. Jak się okazuje, ta cholerna firma zablokowała nam wszystkie dalsze lokowania zamówień na maszyny. Odmówiła odesłania reklamowanych części. Odmówiła dostawy „Cameronu” i katalizatora. Jednym słowem, zrobiła wszystko, żeby tu w Golewicach w ogóle nie ruszyła produkcja.

Umilkł, odkaszlnął. Popił zimnej herbaty.

– Mamy prawo skarżyć ich do sądu – odezwał się Jabłoński.

– Jakiego?

– Istnieje przecież międzynarodowy trybunał, nie znam dokładnej nazwy, bodaj we Wiedniu czy w Genewie.

– Nonsens. Nie wygramy. Niech pan będzie realistą, kolego!

– Może dla rozładowania ciężkiego nastroju przytoczę opowiastkę o żabojadach. Dobrze? – spytał Sawicz.

Dyrektor uśmiechnął się. Lubił Sawicza, choć czasami skakali sobie do oczu.

– Proszę – mruknął. – Rzeczywiście, przyda nam się odrobina humoru.

– Pewien Francuz, postawiony przed sądem za zgwałcenie martwej kobiety, tak się tłumaczył: „Nie wiedziałem, że była martwa, myślałem, że to Angielka”.

Zebrani wybuchnęli śmiechem. Jabłoński przechylił się do mówiącego i spytał szeptem:

– Masz to w domu?

– Francuza czy Angielkę?

– Nie. Książkę Archera „Czy powiemy prezydentowi?”, z której wzięłeś ten dowcip.

– Wzięłem, i co z tego? A książki ci nie pożyczę, bo zgubisz.

– Koledzy! – Dyrektor postukał długopisem w stół.

– Kto ma sensowny pomysł, proszę zgłaszać.

Ponad dwie godziny trwała gorąca dyskusja. W jednym wszyscy byli zgodni: produkcja w „C-12” musi ruszyć. Tak szybko, jak tylko jest to możliwe. Padały więc najróżniejsze propozycje, śmiałe pomysły, ktoś rzucił nawet projekt, aby Francuzów po prostu nie wypuścić z Golewic, zanim nie wrócą reklamowane części i nie nadejdzie transport katalizatora. Kiedy wreszcie wyczerpali inicjatywę, zmęczeni się i umilkli, zabrał głos Sosnowiecki.

– Spróbuję streścić to, o czym mówiliśmy. Rzecza bezsporna: uruchomienie produkcji, wpierw amoniaku,

zaraz potem mocznika, na koniec NPK. Sądzę, że dość szybko uporamy się z zaworem „Cameron”. Podejmuję się, z kilkoma kolegami, wykonać projekt. Znam hutę, która, jeżeli zechce, a o to postara się nasz naczelny dyrektor, bo ma na Śląsku znajomości – uśmiechnął się przelotnie – więc huta, o której myślę, potrafi zrobić „Cameron”. Gorzej z brakującymi reklamowanymi częściami. Być może uda się jednak zmusić ANL, aby je odesłała.

– Bardzo wątpię – wtrącił Zawadzki.

– Ale spróbować trzeba. Jeżeli próba się nie powiedzie, naciśniemy nasze ministerstwo. Trochę dewiz przecież nam podrzuci. Będzie odmawiać, my powiemy swoje, oni swoje, w końcu dadzą. Mamy w Paryżu przedstawicielstwo, niech zedrą nogi i gardła, ale niech poszukają i znajdą takie firmy, które nami sprzedadzą brakujące części. W najgorszym wypadku zrobimy je sami. To by było tyle.

Usiadł, poskubał brodę.

– A katalizator? – spytał ktoś. – Bez tego nie ruszymy.

Sosnowiecki wzruszył ramionami.

– Nie wiem – odparł. – Wiem tylko, że musimy go mieć. Skąd, w jaki sposób, kiedy... nie wiem. W Polsce nie robiliśmy dotąd własnego katalizatora do produkcji amoniaku W-154. Nie ma się na czym wzorować. Na

świecie każda większa firma strzeże tajemnicy składu swoich katalizatorów.

Dyrektor wodził wzrokiem po sali, zdawało się, że coś liczy. Potem powiedział, odmierzając starannie każde słowo:

– Widzę tutaj jedenastu inżynierów-chemików, trzech techników z ukończoną chemią, sześciu ekonomistów, również sześciu inżynierów-mechaników. Widzę ludzi z dużą wiedzą i doświadczeniem. Niektórzy pracują w chemii nieorganicznej od kilkunastu lat. To wszystko widzę na tej sali... Panowie, rozumiemy się?

*

W połowie maja żar leciał z nieba niczym w środku lata. Zdawało się, że przyroda odrabia jakieś zaległości, bo dookoła wszystko gwałtownie rosło, zieleniło się, kwitło w przyśpieszonym tempie. Nocami pomrukiwały dalekie burze, błyskało się na horyzoncie, ale chmury omijały Golewice.

Przydałoby się trochę deszczu – myślał Sosnowiecki, wychodząc z bramy Zakładów. Przystanął na chwilę, oddychał głęboko. Na małej, wysadanej topolami uliczce powietrze było jeżeli nie bardzo czyste, to w każdym razie z pewnością o wiele czystsze niż w laboratorium.

W gruncie rzeczy był zadowolony z tego, czego dokonali w ciągu ostatnich kilku tygodni. Gotowy projekt zaworu kulowego „Cameron” zawiózł do huty i osobiście wręczył zespołowi najlepszych fachowców dyrektor Zawadzki. Naczelnny huty był dawnym kolegą szefa „C-12”, obiecał więc, że zawór wykonają bardzo szybko mimo obiektywnych trudności.

Westchnął, ruszył z wolna ciemną już o tej porze uliczką w kierunku domu. Od kilku dni pracowali nad katalizatorem. Tkwili do późnego wieczora w podziemnym laboratorium: on, Jabłoński, Sawicz i główny technolog Ługaj. Właściwie to nie chcieli Ługaja, sądzili, że nie jest im potrzebny. Żaden z nich nie lubił tego inżyniera. Średniego wzrostu, tęgawy, rozgadany i gestykujący... dobry chemik, to musieli mu przyznać. Ale nie pasował po prostu do ich zgranej trójki. Był – jako zastępca naczelnego – zwierzchnikiem, to krępowało. A choć starał się tego nie okazywać, bardzo chciał uchodzić za kumpla i swego chłopca. Czuli sztuczność takiego zachowania. Udawali więc, że nie rozumieją jego ostrożnych prób przejścia na ty, podkreślali w rozmowie: „panie dyrektorze”, chociaż zrywał się i irytował. Byli wobec niego grzeczni i sztywni jak kolki w płocie.

Nie mogli przecież tak po prostu powiedzieć mu: pasz w on, jak powiedzieliby zwykłemu koledze. Był ich

szefem w dodatku wyznaczonym przez Zawadzkiego, który wprawdzie nie kochał Ługaja, ale go doceniał.

Dziś jednak główny technolog nie przyszedł po południu do laboratorium; wypadł mu jakiś wyjazd do Warszawy i cała trójka odetchnęła z ulgą. Skończyli robotę, a raczej drobny jej fragment, sam początek; tamci wyszli trochę wcześniej, Sosnowiecki został jeszcze, aby uzupełnić notatki.

Wierzyli głęboko, że potrafią opracować katalizator i że zrobią to dobrze, na przekór Francuzom, restrykcjom i wszystkim diabłom, ile by ich nie było. Zaprawione goryczą dawne hasło: „Polak potrafi” przyjęli za swoje. Im teraz pasowało. I wcale nie było zabawne.

Sosnowiecki myślał o tym wszystkim po trochu, a także o tym, że jest głodny, ma apetyt na pierożki z mięsem, które jedli na obiad, ale Agnieszka zrobiła więcej, tak właśnie, aby można je było odgrzać w piecyku na kolację. Do tego zsiadłe mleko.

Przyśpieszył kroku, wszedł na mały, łukiem przez rzeczkę przerzucony mostek. Było zupełnie ciemno, ktoś w tym miejscu zapomniał postawić latarnię. Kiedy schodził już z mostku, poczuł nagły, przeszywający ból w tyle czaszki. W oczach oślepiający błysk, szum jakby wiatru, cały świat odpłynął gdzieś bardzo daleko.

Powoli wracał do przytomności. Człowiek – nie znał

tego głosu, w ciemności nie widział twarzy – pochylony nad nim mówił coś natarczywie, dotykał jego ręki, czegoś chciał. Sosnowiecki nie rozróżniał słów. Zdziwił się, że leży. Chciał wstać, ale nie mógł zrobić żadnego ruchu.

– Marian, słyszysz mnie? – wołał ktoś. – Marian, co się z tobą dzieje? Czemu tu leżysz?

Sam chciałbym wiedzieć – pomyślał, nagle jakby wytrzeźwiony. Zdziwił się po raz drugi, że od razu nie poznał głosu Zbyszka Sawicza. Poruszył wargami, odkaszlnął.

– Zaświeć lampę – poprosił ochryplym szeptem.

– Zglupiałeś? Skąd ci tu na trawie wezmę lampę? Urznąłeś się czy co? Wstawaj, przecież nie będziesz leżał do rana. Słuchaj – zaniepokoił się raptem – możeś ty chory? Zasłabłeś?

– Głowa – powiedział. Chciał jej dotknąć, ale wciąż nie był w stanie poruszyć ręką. – Zobacz.

Tamten wyjął zapalki, poświecił.

– Cholera, Marian, jesteś cały pokrwawiony! – krzyknął z przerażeniem. – Rąbnąłeś się o coś?

– Nie. Nie wiem...

– Możesz wstać?

– Chyba nie.

Sawicz zastanawiał się chwilę.

– Ja bym cię zatargał do domu, ale nie wiem, co się stało. Może nie powinienem cię podnosić. Musisz tu poczekać. Polecę po pomoc. Leż, nie ruszaj się! Ja zaraz wrócę.

Wrócił rzeczywiście po paru minutach wraz z Jabłońskim, który mieszkał tuż za mostkiem i na szczęście był w domu. Przynieśli latarkę. Sosnowiecki już ich nie usłyszał, bo zemdłał.

Ocknął się w szpitalu, na sali operacyjnej. Przygotowywano go do zabiegu. Głowę miał rozciętą, obawiano się z początku pęknięcia podstawy czaszki, nie było jednak aż tak źle. Chirurg zrobił, co do niego należało, potem ulokowano pacjenta na małej salce. Agnieszka, z zawodu pielęgniarka – choć od roku nie zatrudniona w szpitalu, bo na urlopie wychowawczym – usiadła przy łóżku męża na wielogodzinny dyżur. Mały Jacek przeniósł się na razie do babci.

Sawicz z Jabłońskim jeszcze tamtej nocy znaleźli w trawie sporej wielkości kamień ze śladami krwi. Było już jasne, że Sosnowiecki został przez kogoś napadnięty i uderzony, być może z zamiarem pozbawienia życia. Jednakże fakt, że przestępca nie zabrał mu portfela ani zegarka, mógł też wskazywać na inne niż rabunkowe tło zamachu.

W Golewicach znajdowała się miejska komenda Milicji Obywatelskiej; miała od niedawna młodego, energicznego szefa w osobie kapitana Jerzego Skierki.

Dyrektor Zawadzki, wstrząśnięty i oburzony napaścią na jednego ze swych najlepszych pracowników, bardzo liczył na tę energię i szybkie wyniki dochodzenia.

Kamień ze śladami krwi, jako ważny dowód rzeczowy, został umieszczony i zamknięty w szafie pancерnej komendy, a następnego dnia zawieszony do miasta wojewódzkiego, gdyż Golewice nie miały własnego laboratorium w wydziale kryminalnym. Biegły stwierdził, że krew jest ludzka, określił drobiazgowo jej właściwości, jak również cechy kamienia. Znalazł na nim linie papilarne co najmniej trzech osób; okazało się później, że ślady te należą do Sawicza, Jabłońskiego i Zawadzkiego, bo brali kamień do ręki, oglądali i wydziwiali nad nim parokrotnie. Tak więc jeżeli przestępca nawet zostawił tam swoje linie, były całkowicie zatarte.

Sosnowiecki po kilku dniach mógł już rozmawiać przytomnie i w miarę spokojnie. Był zresztą nie tyle przestraszony, ile zdumiony, kto i dlaczego usiłował go zgładzić.

– Ma pan wrogów, inżynierze? – spytał Skierko, siedząc na brzegu szpitalnego łóżka.

Sosnowiecki skubnął w zamyśleniu rudawą brodę. Jego szczupła, wąska twarz z długim nosem przez tę brodę wydawała się jeszcze dłuższa. Dotknął bandaża na głowie, wzruszył ramionami.

– Skądże! – odrzekł. – Oczywiście, każdy ma jakichś tam ludzi nieżyczliwych, nieraz się z tym czy owym pokłóciłem. Ale wrogów? Nie. Jeżeli mnie pamięć nie myli, w swoim czterdziestodwuletnim życiu nie wyrządziłem nikomu krzywdy. Nie odbiłem dziewczyny, nie wyprzedzałem w kolejce do mieszkania ani do samochodu. Nie zbierałem nagród – uśmiechnął się.

– I nic pan wtedy nie słyszał? Żadnych kroków za sobą? Nikogo pan nie zauważył?

– Nie. Tam było ciemno. Dziwię się nawet, że Zbyszek rozpoznał mnie, kiedy leżałem w trawie. Mógł myśleć, że to jakiś obcy pijak.

– Po tej koszuli w czerwoną kratę – mruknął Sawicz, asystujący przy rozmowie. – Poza tym nie było tak bardzo ciemno. A swoją drogą, żeby nie wrócił po teczkę, leżałbyś... no, nie chcę myśleć.

– Mogłem się wykrwawić, do rana bym nie wytrzymał.

– O której pan wyszedł z Zakładów? – spytał kapitan. Chociaż wszystko było już dokładnie opisane przez oficera, prowadzącego sprawę, Skierko chciał to usłyszeć.

– Z laboratorium wyszedłem dokładnie sześć minut po dwudziestej drugiej; zamykając drzwi spojrzałem na zegarek. Do bramy przy portierni idzie się jakieś, powiedzmy, osiem minut. Nie, lepiej przyjmijmy, że dziesięć, bo nie śpieszyłem się. Więc już mamy szesnaście.

Od bramy do mostku... dwanaście minut. Razem dwadzieścia osiem, może pół godziny. Tereny Zakładów są bardzo rozległe – zamyślił się znowu. – Wie pan, kapitanie, zastanawiam się teraz, czy nie spotkałem kogoś po drodze. Idąc od laboratorium do wyjścia, tego głównego, przechodzi się najpierw obok pierwszego konwertera do syntezy amoniaku, potem jest jedna pusta jeszcze hala. Minąłem wieżę syntezy mocznika i kotłownię, zatrzymałem się na chwilę przy budynku administracyjnym, żeby zapalić papierosa, ale okazało się, że zostawiłem je w marynarce, a marynarkę w laboratorium. Nie chciało mi się wracać, więc poszedłem dalej. Potem jest już tylko stołówka, ambulatorium i portiernia. Pamiętam, że przy magazynie stołówki kręciły się jakieś osoby, stała ciężarówka, wyładowywano pojemniki z pieczywem czy wędliną. Przy wytwórni kwasu siarkowego minął mnie jeden z wartowników.

– Tak, sprawdziliśmy! – potwierdził kapitan. – A później, na drodze do mostku?

– Później już nie widziałem nikogo. Ale tam są krzaki, drzewa, mógł ktoś stać ukryty.

– Czy często wraca pan do domu o tej godzinie? I tą drogą?

– Tą drogą to zawsze, bo mi najbliższej do domu. A o godzinie... czy ja wiem? Różnie bywa.

– Od kilku dni pracujemy wieczorami w laboratorium – wtrącił Sawicz. – Zwykle wracamy razem, w każdym razie do mostku, bo potem każdy idzie w swoją stronę. Tamtego dnia ja z Januszem Jabłońskim wyszliśmy trochę wcześniej, a Marian jeszcze został.

– Kapitanie, chyba to był zwyczajny napad rabunkowy – rzekł Sosnowiecki. – Złodziej chciał mnie ogłuszyć i obrabować, ale ktoś go widać spłoszył, więc nie zdążył zabrać, co tam miałem przy sobie. Niewiele, bo w portfelu tylko pięćset złotych. No, zegarka bym żałował, to chronometr szwajcarski.

– Owszem, taką wersję bierzemy pod uwagę. Taką również – zaznaczył.

Sosnowiecki poruszył się, skrzywił, bo głowa wciąż bolała. Zastanowiły go ostatnie słowa oficera.

– Również? – spytał zdziwiony. – A jakie są te inne?

Skierko nie odpowiedział. Wstał, pożegnał się, życząc szybkiego powrotu do zdrowia, i wyszedł.

*

– Panie Ługaj! – powiedział naczelny. – Jak idzie praca nad katalizatorem? Kiedy Sosnowiecki wróci do roboty?

Ługaj zachnął się, nie podobały mu się aż dwa pytania naraz.

– Ciężko będzie – odparł. – Nie mamy dostatecznej ilości składników chemicznych do przeprowadzania prób. Ja się staram – uprzedził pytanie – szukam, byłem w Katowicach, w Puławach, gdzie się da. Ale to musi potrwać.

– Jak długo?

– Pół roku. Albo i dłużej.

– Pan ma źle w głowie! – krzyknął Zawadzki. – Katalizator musi być gotowy najdalej za trzy miesiące. Co z Sosnowieckim?

– Wraca w poniedziałek. Trzy miesiące? – powtórzył z ironią. – W takim terminie to można sobie altankę na działce postawić, ale nie wyprodukować katalizator.

– Po pierwsze, siedzicie nad tym już pięć tygodni. A po drugie, panie Ługaj, nie żyjemy w normalnych czasach.

– To moja wina? – wykrzyknął z urazą. – Ja nie kazałem Francuzom wyjeżdżać. Do końca roku, taki jest realny termin wykonania katalizatora.

Zawadzki poczerwieniał, oczy mu rozbłysły gniewem.

– Trzy miesiące – odparł z naciskiem. – Potem mogę waszemu zespołowi dać nawet dwumiesięczny urlop. A teraz idź pan do roboty, żebym nie zapomniał, kto jest tutaj głównym technologiem. Żebym nie żałował... –

Nie dokończył, machnął ręką.

Ługaj wyszedł obrażony, niedoceniony i straszliwie wycęczony, piekielnym upałem, który za nic nie chciał zelżeć.

Wieczorem po kolacji postanowił się przejść za miasto. Mieszkał z matką, zasuszoną panią po siedemdziesiątce, która wpierw komenderowała mężem, potem córką, aż ta wyniosła się z domu, wreszcie synem. Dbała o niego, pilnowała, żeby nie zachorował, nie zadawał się z „kobietami lekkiego prowadzenia”, a także aby nie ożenił się wbrew jej woli i gustom. Dlatego z energią tępiła jego damskie znajomości i sympatie, a obdarzona dużą spostrzegawczością, złośliwa z natury, wyśmiewała je tak skutecznie, że w wieku czterdziestu lat był wciąż kawalerem. Nie miał do niej żalu. W gruncie rzeczy bał się małżeństwa. Bał się, że zeszedłby wówczas na drugi plan, bo musiałby dbać o żonę, dom, dzieci, wczasy, szkołę itd. Matka zapewniała mu smaczne, obfite jedzenie, czystość i porządek w mieszkaniu, pochlebiała mu, gdy awansował, milkła, kiedy on zabierał głos. Był tutaj od dawną pierwszą osobą, tak mu się zdawało i o tym go zapewniała każdego dnia, choć to niezupełnie było prawdą. Syn posłuszny, dobrze zarabiający, domator, oto był jej ideał i takim go urobiła. Nie zniosłaby w domu innej kobiety. Waclaw Ługaj żył więc, tył, pracował, kupował to i owo do mieszkania i

zdawało się, że niczego więcej nie pragnie.

Gwizdnął na psa, śpiącego pod werandą, i wyszli na spacer. Upał zelżał trochę, na zachodzie znów się błyskało. Ługaj kroczył powoli, czasem oglądał jakąś wystawę, czasem przystanął na chwilę, aby porozmawiać ze znajomym. Pies poszcze kiwał na inne psy, bo nie lubił konkurencji, i zapędzał się za kotami. Rosły, płowy wilczur – odwrotnie niż jego pan – nie słuchał starej pani, którą lekceważył, chociaż dawała mu jeść.

Doszli do krańca miasteczka i zapuścili się na łąkę pod lasem. Zakłady „C-12” znajdowały się po drugiej stronie Golewic; tutaj przemysł jeszcze nie wkroczył, panowała wiejska cisza, pachniały trawy i jaśmin. Wacław przysiadł na zwalonej barierce, która kiedyś okalała pastwisko. Pies zatrzymał się nagle, zjeżył sierść i zawarczał.

– Uspokój to bydlę – powiedział ktoś, podchodząc bliżej

– Reks, do nogi – zawołał Ługaj. Przytrzymał wilczura, pogłaskał.

Przechodzień usiadł obok inżyniera, wyciągnął paczkę marlboro. Nie częstował, wiedział, że tamten nie pali. Milczeli chwilę. Pies wyrwał się i pobiegł na łąkę, bo dojrzał zająca.

– No, jak? – spytał przybysz. Płomień zapalniczki oświetlił na chwilę jego twarz z krótkim, ściętym nosem

i niedbale rozrzuconymi włosami. Wystająca broda i wąskie wargi wskazywały na stanowczość i upór.

– Z czym? – spytał Waclaw, nie patrząc na niego.

– Robicie?

– Przecież wiesz.

– Wiem, że się do tego, przykładasz – zaśmiał się urągliwie.

– Muszę.

– Bardzo dobrze. To znaczy, dla nas dobrze – dodał.

– Pewnie! – wzruszył ramionami. – Jestem w samym centrum tego interesu. To się liczy, rozumiesz?

– Rozumiem. Chciałbym jednak, żebyś pamiętał o starej maksymie: co kilku, to nie jeden. W pojedynkę każdy z nas jest zero.

– W tej sprawie, oczywiście – zaprotestował Ługaj.

– Wyłącznie w tej sprawie. Wcale siebie za zero nie uważam. Ani ciebie, zresztą – dodał łaskawie.

– A Darka? – spytał tamten z rozbawieniem w głosie.

– Owszem, Darek jest dobrym fachowcem. Ale to tylko technik.

– Doskonały technik-elektryk. Właśnie taki, jakiego nam potrzeba. Powinieneś również doceniać Mirosława. Przyjdzie moment, w którym on będzie najważniejszy.

Ługaj zastanowił się, uniósł brwi w górę.

– Co masz na myśli?

Nie widział, ale wyczuł w ciemności, że tamten uśmiechnął się.

– Mniejsza o to. To jeszcze dość odległa przyszłość. Jak sądzisz, kiedy skończycie?

– Nie mam pojęcia.

– Ja nie żartuję. – W głosie przybysza wyczuwało się jakąś ostrość, chłód.

– Waldek, przecież nie robię tego sam. Skąd mogę wiedzieć, co któremu z nich przyjdzie na myśl, na jaką genialną koncepcję wpadnie. To także asy, nie żadne patałachy.

– Nie pytam sam z siebie.

Ługaj poruszył się, zaniepokoił.

– Miałeś stamtąd wiadomości? – spytał ostrożnie.

– Tak. Żądają systematycznych, rzetelnych informacji. Dlatego odpowiedz mi, kiedy skończycie? No, w przybliżeniu?

– Myślę... dwa... trzy miesiące. Cholernie trudna robota.

– Całe szczęście. A nie mogłoby być na przykład: dwa lata?

– Ba! Gdyby to ode mnie zależało. Zresztą są kontrole.

Krótkonosy odkaszlnął, zdusił niedopałek w trawie.

– Ja im muszę przekazać chociaż trochę bliższych danych – powiedział. – Jestem ekonomistą, nie orientuję

się w twojej dziedzinie. Co proponujesz?

Wacław myślał parę minut. Poszukał wzrokiem Rek-
sa, ale było już ciemno; spod lasu dolatywało tylko psie
ujadanie.

– Zająca wytropił.

– Do diabła z zającem! – zniecierpliwił się przy-
bysz. – Mówimy o ważnych sprawach.

– Dobrze. Krótkie, wstępne opracowanie będę mógł
ci dostarczyć za kilka dni. Jak to przekażesz?

– Zobaczę.

Wstał, rozejrzał się dokoła. Było pusto; duży czer-
wony księżyc ukazał się nad lasem.

– Umawiamy się w tym samym miejscu w przyszłą
środę albo czwartek. O tej samej porze. Do zobaczenia.

Ługaj odczekał kwadrans, potem gwizdaniem przy-
wołał psa i wrócili do domu.

*

Podziemne laboratorium mieściło się na samym
skraju Zakładów, oddzielone od nich dwoma basenami
przeciwpożarowymi. Na zewnątrz budynek przypomi-
nał długi, wielki kopiec na kartofle. Ze względu na bez-
pieczeństwo, gdyż trzymano tam między innymi amon,
nitroglicerynę i podobne środki chemiczne, laborato-
rium miało jedną ścianę – tę z wejściem – wybudowaną

z lekkich materiałów, mieszaniny gipsu i drewna. Wewnątrz podzielono je na cztery mniejsze pomieszczenia, aby ludzie pracujący nad różnymi procesami technologicznymi nie przeszkadzali sobie wzajemnie. Laboratorium wyposażone było we własny agregat prądotwórczy i oddzielny dopływ wody. Wstęp do niego mieli tylko nieliczni pracownicy Zakładów, a przepustki wydawano co dwa miesiące inne. Tak zarządził dyrektor naczelny, kiedy w najtrudniejszym okresie, nie tak znów odległym, wyszło na jaw, że sfałszowano niektóre pieczętki i w laboratorium przebywały osoby wcale do tego nie upoważnione.

Po południu Sawicz siedział w ostatnim pomieszczeniu, gdzie stał niewielki elektryczny piec oporowy, służący do stapiania magnetytu z substancjami aktywującymi. Dwaj robotnicy – Kula i Stawicki, nie mieli już właściwie nic do roboty. Stalowe koryto pieca, wsparte na czterech podpórkach, tkwiło spokojnie w omurowaniu. Przez okap do odprowadzania gazów, połączony z otworem wentylacyjnym, nie ulatniało się nic prócz najzwyczajniejszego powietrza, jakie bywa w każdym laboratorium – woniącego kwasami, metalem i odczynnikami. Piec nie pracował.

I właśnie ta beczynność, spokój urządzeń psuły krew inżynierowi. Był magnetyt. Były elektrody. Stały

w sąsiednim pomieszczeniu dwie solidne kruszarki szczękowe, gotowe natychmiast pochwycić i rozgryźć każdą ilość ostygniętego stopu. Były wreszcie – kompletnie puste – bębny blaszane, szczelnie zamykane, choć teraz mogły stać otwarte, daremnie czekając na ziarenka katalizatora.

Nie było rzeczy najważniejszej: odpowiednich substancji aktywujących, zwanych również promotorami. Wszystkie dotychczasowe próby nie dawały potrzebnej aktywności chemicznej, często też przekraczały granicę dopuszczalnego przegrzania.

Sawicz machinalnie przerzucał swoje notatki. Na jednej stronie znalazł, przepisane nie wiadomo po co, zdanie z „Technologii chemicznej nieorganicznej” Józefa Kępińskiego: „Mimo wieloletnich i bardzo obszer-nych prac badawczych nad katalizatorem do syntezy amoniaku pozostaje jeszcze sporo niewyjaśnionych zagadnień w tej dziedzinie”.

– To nas wcale nie tłumaczy – powiedział do Kuli i podsunął mu notatnik. Ten przeczytał, pokiwał głową. Był zmęczony i zły.

– A już myślałem wczoraj, że trafiliśmy – burknął, przecierając zaczerwienione oczy. Pracował nad kwasami i miał chroniczne zapalenie spojówek.

– To nas nie tłumaczy – powtórzył Sawicz uparcie.

– Powinniśmy, do cholery, wydrzeć chemii ten pieroński skład aktywatorów. Tyle prób! I ciągle nie to.

– Gdyby Francuzi nie zerwali kontraktu, mielibyśmy gotowy katalizator w magazynie – odezwał się Stawicki. – A ja bym tu nie sterczał, tylko siedziałbym z żoną i dziećmi nad morzem.

– Ja też – dodał Kula. – Zresztą, nie. Mieliliśmy; pojechać na Mazury, do naszego ośrodka. Opłaciłem wczasy na cztery osoby, jeszcze w lutym. A teraz moja nie chce jechać beze mnie, więc wysłała dzieci na wieś, do rodziców.

Sawicz popatrzał na nich i zrobiło mu się żal. Był młody, nieżonaty, ciągnęło go co prawda w Beskidy, ale potrafił sobie wytłumaczyć przesunięcie urlopu na Bóg wie kiedy. Czuł przy tym taką złość do firmy ANL, do tych francuskich niby-przyjaciół, niby-kolegów po fachu, że chwilami nie mógł tego opanować.

– Wypięli się na nas, dranie – mruknął. – Ja im pokazę, że możemy się obejść bez łaski. Zdechnę przy tym piecu, przy tych próbach, ale zrobimy!

Kula roześmiał się, podkreślił jasnego wąsa.

– Tak źle nie będzie – zapewnił. – W końcu musimy natrafić na właściwy skład. Owszem, roboty jeszcze będzie sporo. I umęczenia. Napsujemy składników. Mówi

się trudno. Tak liczę, że w sierpniu skończymy. A wtedy wszyscy na urlop!

Wstał, przeciągnął się, aż kości chrupnęły. Miał blisko pięćdziesiąt lat i nie najlepsze zdrowie. Był jednak uparty i ambitny jak Sawicz. Rozumieli się i lubili.

Rozdział 2

Awantura zaczęła się poprzedniego wieczoru, kiedy Dariusz Gniat wrócił do domu późno i w stanie prawie zupełnej nieważkości. Z trudem, z zamkniętymi oczami, domacał się drzwi własnego mieszkania, trafiając na trzecie piętro z przyzwyczajenia. Wyjął z kieszeni klucze, ale zamiast w dziurkę, usiłował je wepchnąć w szparę futryny i klął, że nie pasuje.

Dziwne szmery i pomruki usłyszał wprawdzie jedenastoletni syn Marcin, domyślił się, że ojca znowu „przywlokło na bańce”, więc boszo podszedł do przedpokoju i tak cicho, jak tylko mógł, otworzył. Nie chciał, żeby matka się zbudziła, bo wtedy było piekło na całą kamienicę. Marcin nie lubił awantur, wstydził się kolegów.

Niestety, Gniat wtoczył się do domu z wielkim hałasem, przewrócił krzesło i ściągnął na podłogę drewniany wieszak, chwyciwszy dla równowagi za wiszące tam płaszcze. Rumor wyrwał z łóżka Małgorzatę, no i zaczęło się.

Marcin zasnął, kiedy małżeńskie rozmowy trwały w najlepsze. Żadne z nich bowiem nie uznawało osobistej porażki, wychodząc z założenia, że ostatnie słowo wygrywa. Małgorzatę co prawda ciężko było przegadać, gdyż głos miała donośny i zdrowe gardło, Dariusz jednak nie znosił, kiedy mu się sprzeciwiano. Do rękoczynów dochodziło rzadko, ze względu na syna. Krzyczeli więc na siebie aż do ochrypnięcia, wypominali sobie całe wspólne kilkunastoletnie pożycie, a pamięć mieli dobrą. Tak szło do północy. Groźne łomotanie z góry i z dołu przypomniało im wreszcie, że nie są sami w kamienicy, poza tym Dariusz nagle zasnął w połowie zdania. Małgorzata mówiła jeszcze chwilę, zdecydowała, że jest górą i poszła do kuchni, bo zachciało jej się pić.

Rano, po wyjściu Marcina do szkoły, zbudziła męża; czas było otworzyć warsztat. Wstał cichy, zgaszony i nie reagował, kiedy kończyła to, czego nie zdążyła powiedzieć wieczorem. Wypił zimne mleko, odsunął przygotowane śniadanie. Popatrzał po półkach, po szafie.

- Dałabyś na klina – bąknął nieśmiało.
- Ale! Jeszcze czego.
- Małgośka... – Spojrzał prosząco. Wiedział, że zawsze miała gdzieś schowane pół litra na czarną godzinę.

– Schlejesz się przed robotą.
– To odmierz tylko sto gramów. Muszę, kac mnie morduje.

– Odwróć się! – rozkazała.

Posłusznie stanął tyłem, tak jednak, żeby widzieć pokój w lustrze. Ale żona miała bystre oko. Chwyliła go za ramiona, wypchnęła do kuchni, zamknęła drzwi. Dopiero wtedy wydobyła z tajnego schowka w tapczanie półlitrową butelkę.

W kwadrans później Gniat otwierał warsztat na jednej z bocznych uliczek Golewic. Klientów mu nie brakowało, gdyż potrafił naprawić właściwie wszystko, od roweru począwszy poprzez telewizor aż do kalkulatora. Znał się na samochodach, zdarzało mu się również występować w charakterze zegarmistrza. Ktoś powiedział o nim, że gdyby nie słabość do alkoholu, mógłby zostać i dyrektorem fabryki – albo jeszcze wyżej. On sam był skromniejszy w ocenie.

W warsztacie zatrudniał chłopaka zdolnego lecz leniwego z natury; pracował dobrze, kiedy coś go interesowało. Gniat wziął go i trzymał poszturchując i ochrzaniając; chłopiec był jego dalekim krewnym. Niedawno zaangażował się w wielką politykę, choć niewiele z niej rozumiał, i z tego tytułu Dariusz przez kilka miesięcy tyrał sam w warsztacie. Pomocnik wrócił uspokojony, politykowanie mu się znudziło.

– Był ktoś? – spytał szef, przebierając się w roboczy kombinezon.

– Kiedy?

– Zanim przyszedłem. Czekałeś przed drzwiami, nikt o mnie nie pytał?

– A, tak – chłopak przypomniał sobie. – Pan Waldek. Pytał o kineskop do neptuna.

Gniat znieruchomiał na kilka sekund. Zaraz potem odzyskał równowagę.

– Mówił, kiedy przyjdzie albo czy ja mam przyjść do niego?

– Mówił, że zadzwoni.

Telefon odezwał się w południe. Dariusz odebrał, posłuchał, powiedział: – Dobrze – i odłożył słuchawkę. – Splywaj na obiad. – zwrócił się do chłopca. – Przyjdziesz jeszcze o szesnastej, skończymy ten silnik.

Pomocnik wyskoczył jak z procy, jeść mu się chciało. Gniat przebrał się, zamknął starannie warsztat. Teraz i on poczuł głód, wstąpił więc do pobliskiego baru, przegryzł coś naprędce, w domu czekał go obiad. Przeszedł kilka ulic, skręcił na skwer, po chwili dzwonił do furtki niedużej, ładnej willi w ogrodzie. W oknie na piętrze ktoś uchylił firankę, zabrzączał sygnał, Dariusz pchnął furtkę i wszedł.

Waldemar Meres stał w holu, rozmawiał przez telefon. Ruchem ręki zaprosił do swoich apartamentów na piętrze. Siedział tam już Brzezowski, młody, jasnowłosy

mężczyzna; miał twarz bladą, pokrytą wypryskami, długi wąs, na oczach ciemne okulary. U lewej ręki bradował mu wskazującego palca.

Gniat pozdrowił go niedbale i rzucił się w głęboki fotel, pokryty ciemnozłotym obiciem.

– Coś nowego? – spytał przyciszonym głosem; przed Meresem obaj mieli respekt.

Jasnowłosy wzruszył ramionami, otworzył sobie puszkę z piwem, drugą podsunął przybyłemu.

– Nie wiem – odparł. Był nieufny i ostrożny wobec każdego.

Gospodarz skończył rozmowę, wszedł na górę. Wysoki, dobrze zbudowany, głowę trzymał trochę wysuniętą do przodu. Przeszedł się parę razy po pokoju, tamci wodzili za nim wzrokiem, próbując odgadnąć, co powie i czego od nich chce.

– Nic nie robimy – rzekł wreszcie gniewnym tonem. – Każdy siedzi w pracy, patrzy tylko swego, a sprawa? Sprawa przez duże S. To jest nasze najważniejsze zadanie. Za dwa, trzy miesiące tamci skończą i jesienią Zakłady ruszą. Do tego nie wolno dopuścić! Rozmawiałem niedawno w Warszawie z Johnem; przyjechał tylko na jeden dzień, śpieszył się. Powiedział, że mamy...

– Dał coś? – przerwał jasnowłosy. Gniat również okazał duże zainteresowanie.

Meres machnął ręką niecierpliwie.

- Wy byście tylko brali! A za co pytam się?
- Brodatego wysłaliśmy do szpitala – zachichotał

Dariusz.

- Pięknie. Jest już z powrotem. Pracuje. Co więcej?
- Odczekał i warknął: – G...o! Mirek, co robią twoje chłopaki?

Brzezowski opuścił głowę, podrapał policzek.

- Na razie nic – bąknął. – Jeden wyjechał, tamci... Gorąco, siedzą nad wodą z dziewczynami.

– Gdzie ulotki na terenie Zakładów? Gdzie napisy? A mieszkania inżynierów, kto się ma tym zająć? Może ja, co? – Krzyczał, bił pięścią w stół, aż pobledli ze strachu. – John powiedział, że dają nam miesiąc na energiczne, przemyślane działanie. Nie wykonamy, to możemy pożegnać się z tym światem.

- Głupie żarty! – obruszył się Gniat.

- Wcale nie żarty. A co było z Tadeuszem?

Zamilkli. Żaden z nich nie uwierzył w oficjalną wersję samobójstwa, zbyt dobrze znali swego kolegę. Wiśniewski w mieszkaniu na pasku od spodni, znaleźli go dopiero po kilku dniach i śnił im się po nocach, straszny, opuchnięty. Milicja nie stwierdziła śladów obcych rąk, nie podejrzewała nikogo, prokurator orzekł: samobójstwo, i tyle. Ale oni domyślali się prawdy. John, jedyny ich kontakt z TYMI, CO PŁACA, powiedział tak jakby mimochodem, że kto raz wszedł z nim w kontakt, może odejść tylko pod ziemię. Zaznaczył przy tym, że nie ma

na myśli podziemia politycznego.

– Jesteśmy grupą terrorystyczną, przybraliśmy nazwę GET, każdy składał przyrzeczenie. Dlaczego muszę wam to przypominać? – ciągnął Waldemar. – GET to nie jest jakaś gówniarska banda chuliganów. Podlegamy bezpośrednio centrali w Monachium, zadania są poważne i odpowiedzialne. Istniejemy dwa miesiące, a do tej pory nie zrobiliśmy prawie nic. Mamy rozpracować Zakłady „C-12”, uniemożliwić rozpoczęcie produkcji. Za każdą cenę. Francuzi dali początek, bo odjechali. Teraz kolej na nas.

– Co mówi Ługaj?

– Że jest źle. Kończą albo tak jakby kończyli prace nad katalizatorem. Jeżeli to zrobią, amoniak ruszy. I to będzie nasza klęska.

*

Janusz Jabłoński mieszkał po kawalersku, w wynajętym pokoju z łazienką i mikroskopijną kuchenką, na piętrze starej willi. Gospodarze zajmowali parter, było to wielodzietne małżeństwo, on na emeryturze. Żyli po trochu z tej emerytury, po trochu z czynszu lokatora, mieli też skromne gospodarstwo i mały ogród, wystarczający na własne potrzeby. Dzieci im powyrastały, opuściły Golewice, czasem tylko któreś odwiedzało dom rodzinny.

Zaniedbany, od dawna pozbawiony remontu, wrastał powoli w ziemię jak jego właściciele.

Jabłoński w wolnych chwilach pomagał starym w gospodarstwie, jedno naprawił, drugie podpierał, czasem pracował w ogrodzie, bo to lubił. Tych wolnych chwil miał jednak coraz mniej.

Wieczór był upalny; niebo zaciągnęło się chmurami i barometr zapowiadał deszcz. Janusz wrócił z laboratorium, zmęczony, ale pełen optymizmu. Po dzisiejszych próbach nad katalizatorem doszli do wniosku, że są na najlepszej drodze do zakończenia roboty. We wrześniu powinni być gotowi.

– Panie Januszu, zje pan ziemniaczki ze zsiadłym mlekiem? – zawołała Wolniakowa, kiedy wchodził do sieni. Wychyliła się z kuchni, gruba, rumiana, uśmiechnięta życzliwie.

– A wie pani, że chętnie! – odparł. Nie chciało mu się, samemu pitrasić: – A nie sprawię kłopotu?

Zjedli we trójkę. Wolniak żalił się, że lato za suche, rzeczka prawie wyschła, a w niektórych studniach wi-dać dno.

– Chyba w nocy będzie deszcz – pocieszył go Jabłoński.

– Jeden deszcz nic nie da. Musiałoby lać ze trzy dni.

Po kolacji wyszedł przed dom, wypalił papierosa.

Przy mostku ktoś stał, widać było tylko zarys, postaci. Janusz pomyślał, że pewnie któryś z miejscowych umówił się na spotkanie z dziewczyną. Z sąsiedniego domu dobiegała muzyka i śmiech. Było parno, na niebie ani jednej gwiazdy.

Ziewnął, poszedł do mieszkania. Mimo szeroko otwartych okien w pokoju i kuchence nie czuło się najmniejszego przewiewu. Przyroda jakby przyciąła się przed burzą. Położył się, myślał o Sosnowieckim, że po powrocie ze szpitala powinien wyjechać do sanatorium zamiast ślęczeć w laboratorium. Z wolna myśli splątały v się, już zasypiał, kiedy ocknął się, bo za oknami nagle zaszumiało. Leje! – pomyślał. – Trzeba wstać, pozamykać okna.

To w kuchni było nieszczelne, nie dawało się domknąć, więc położył na parapecie ścierkę. W pokoju od razu zrobiło się niemożliwie duszno, ale deszcz leciał z nieba ogromną, gęstą ścianą wody, trochę ukosem od zachodu, prosto w szyby. Słuchał tego szumu, w pewnej chwili zdawało mu się, że w kuchni coś zaskrzypiało, pomyślał, że okno. Z tą myślą zasnął.

Zbudził się raptem, jakby ktoś szarpnął go za rękę. Usiadł na łóżku, półprzytomny, z bólem głowy. Spojrzał w okna – ciemno, widać jeszcze trwała noc. Poruszył nozdrzami, bo skądś dolatywał dziwny zapach. Siedział przez chwilę nieruchomo, próbując zorientować się, co

to oznacza. Sięgnął do nocnej lampki, ale zastygł w połowie ruchu, przerażony i zdumiony. Był chemikiem; już wiedział, co się stało. Wiedział też, że najmniejsza iskra w kontakcie może wywołać wybuch.

Podniósł się bardzo ostrożnie, na palcach powoli zbliżył do okna, otworzył szeroko. Potem tym samym kocim krokiem wślizgnął się do kuchni. Tak, nie mylił się! Jednostajny, złowrogi szmer dobiegał z odkręconych obu kurków gazowych. Zamknął je, wstrzymując oddech, poczekał chwilę, rozchylił okno. Kiedy osądził, że można już to zrobić bezpiecznie, zapalił lampę. Usiadł na tapczanie, aby spokojnie ocenić sytuację.

Więc tak. Ktoś, korzystając z ulewnego deszczu, wkradł się do kuchni i otworzył kurki. Ten ktoś z pewnością wie, że gaz ziemny, dostarczany z rurociągu do Golewic, nie ma właściwości trujących, chyba w maksymalnym stężeniu atmosfery. Dlatego tajemniczy osobnik liczył na coś innego. Oto zbudzony inżynier – jeżeli to będzie noc – zapali lampę, jeżeli ranek, może sięgnie po papierosa, a wtedy...

Chyba ocalałby parter. Willa jest stara, pięterko nie wytrzyma wybuchu. Błysk, huk, pożar. Zanim nadeszłaby pomoc, on nie zdąży wybiec z mieszkania. Znaleźliby tylko zwęglone zwłoki.

Rozważał to wszystko na zimno, spokojnie. Przyszło

mu na myśl, że ten ktoś zbudził go umyślnie, może jakimś stukiem,; może rzucił czymś w szybę. Potem pewnie czekał w bezpiecznym oddaleniu na wybuch. Ale wybuchu nie było.

Jabłoński uśmiechnął się ironicznie. Tamten musi być wściekły, że mu się nie powiodło. Tak. Dlatego trzeba się przygotować na dalsze próby z jego strony.

To nie będzie łatwe – mruknął. Zgasił lampę, podszedł do okna. Świtało, w ogrodzie zbudziły się ptaki. Po nocnej ulewie dzień wstawał pogodny, rześki. Janusz spoglądał w stronę rzeki, a wtedy przypomniała mu się ciemna sylwetka w nocy na mostku. Ten ktoś stał, czekał na sposobny moment. Wszystko miał już zaplanowane, liczył na deszcz i nie przeliczył się. Kiedy dojrzał, że Janusz pozamykał okna, podkradł się pod dom. Musiał wiedzieć, że to w kuchni nie domyka się. Albo wyciąłby szybę, delikatnie, nie sprawiając hałasu. Tuż przy ścianie willi rośnie wysoki jesion, niepotrzebna nawet drabina. Wdrapał się. Szum deszczu zagłuszył kroki. Przy zamkniętych; oknach gaz nie ulotni się z mieszkania. Ulewa zmyła wszelkie ślady.

Powiedział to wszystko tylko Sawiczowi. W pracy był opanowany, jego szare, łagodne zazwyczaj oczy w oprawie długich rzęs spoglądały uważnie na tablice chemiczne, na notatki, przyrządy i piec. Liczył, kreślił,

pracował jak zwykle spokojnie i dokładnie. Tylko Sawicz, który go najlepiej znał, bo byli kolegami jeszcze na studiach, powiedział w pewnej chwili:

– Żle spałeś, Janusz? Albo głowa cię boli.

Przytaknął, obie rzeczy się zgadzały.

– Chodź ze mną na obiad do „truciciela” – szepnął mu tak, aby reszta nie słyszała; mogli się dołączyć, a tego nie chciał.

– Dobrze – odparł kolega.

„Trucicielem” nazywali zupełnie niesłusznie prywatną małą restauracyjkę, gdzie od czasu do czasu jadałi. Właściciel karmił skromnie, ale zdrowo i odpowiednio do ich inżynierskich portfelów. Znaleźli stół w samym kącie, zamówili obiad firmowy. Kelnerka przyniosła jarzynową zupę, potem mielony z sałatą i coś, co nazywało się kompotem, a smakowało jak rozpuszczone landrynki. Kiedy zaspokoił pierwszy głód, Jabłoński półgłosem opowiedział o nocnym wydarzeniu.

Sawicz marszczył czarne krechy gęstych brwi i słuchał uważnie. W końcu rzekł:

– Najpierw Marian, teraz ty. Kolej na mnie.

– Co sądzisz o tym?

– Jakaś zмова. Nie tyle na nas osobiście, ile na robotę w laboratorium. Ktoś nie chce, abyśmy opracowali katalizator.

– Może i racja. Napad na Mariana mógł być rabunkowy, ale moja sprawa jest oczywista. Jak uważasz, czy

powiniennem zawiadomić milicję?

Sawicz zastanawiał się chwilę.

– Ale właściwie, co im powiesz?

– Jak to: co? To, co i tobie. Tak, jak było.

– Wiesz, co pomyślą? Że sam odkręciłeś kurki i zapomniłeś zakręcić.

Jabłoński oburzył się.

– Nie byłem pijany! Sklerozy też jeszcze, nie mam.

– Dobrze, przypuścimy, że ci uwierzą. Przyjdą, nie znajdą żadnych śladów. Poradzą ci, żebyś naprawił spazczone okno w kuchni. I kupił psa. Cóż mogą zrobić więcej, zastanów się. Przecież nie wystawią posterunku przed naszymi mieszkaniami. Ośmieszymy się tylko. Gdyby rzeczywiście... – urwał, zmieszał się.

Janusz spojrział na niego, pokiwał głową.

– Jasne. Gdyby nastąpił wybuch, prokurator z pewnością rozpocząłby śledztwo. Ale wówczas, ponieważ ze mnie byłby usmażony trupek, pomyśleliby tak, jak mówiłeś: że sam spowodowałem katastrofę. Nieuwaga, lekkomyślność, może nietrzeźwość. Więc co robić, do diabła?

– Nie wiem.

Sawicz poczuł nagle, że ostatni kęs mielonego stanął mu w gardle. A jeżeli restaurator też jest w zмовie i naprawdę zabawia się w truciciela? Odwrócił się, popatrzał na tęgiego, łysawego człowieka w białym fartuchu,

krzątającego się przy barze. Knajpiarz dostrzegł ten wzrok, uśmiechnął się i skinął mu głową. Nie, to chyba niemożliwe. Od razu stałby się pierwszym podejrzany.

– O czym myślisz? – Janusz niecierpliwie odsunął landrynkowy napój, zwany kompotem. – Tu nas nie otrują, za dużo ludzi.

– W każdym razie musimy na siebie uważać – inżynier wykonał jakiś niezdecydowany ruch ręką. – Może rzeczywiście dobrze byłoby mieć psa. Albo chociaż kota. Zwierzę instynktem wyczuwa niebezpieczeństwo.

– Pies w laboratorium i po kocie w mieszkaniach. Ładna perspektywa. Koty się szybko mnożą, będziesz topił? Bo ja za nic. Chodź, pójdziemy do Mariana. Trzeba coś wspólnie wymyślić.

Sosnowiecki był w domu, właśnie skończyli obiad. Agnieszka zaprosiła na kawę, miała jeszcze zapas z ostatniego wyjazdu Mariana do Francji. Certowali się trochę, jednak nie chciała słuchać i wyszła do kuchni, aby zaparzyć.

Wtedy Sawicz powiedział szybko, półgłosem:

- Musimy pogadać, ale we trójkę!
- Żona zaraz wychodzi do szpitala na dyżur – odparł.

Po wyjściu Agnieszki Jabłoński jeszcze raz opowiedział wypadki ubiegłej nocy, a Sawicz powtórzył:

– Wy już, kolej na mnie.

– Zostaw, Zbyszku! Nie prowokuj losu – Sosnowiecki był trochę przesądny. – Dobrze, żeście przyszli. To mi rzeczywiście wygląda na zaplanowany atak. Podstępny, nie liczący się z ludzkim życiem. Czy doprawdy chodzi o katalizator? W ogóle o sprawy Zakładów?

– A o co? Ty i ja nie mamy wspólnych wrogów – odparł Janusz. – Zresztą czy w ogóle ich mamy? Pewnie są to ostrzeżenia: porzucicie robotę w laboratorium, bo będzie z wami źle!

– Jak na ostrzeżenia zbyt groźne. Mnie mogli zabić. Ciebie uratował tylko... licha wie, nos chemika, cud, psi instynkt? Nie wiem, czy wskutek wybuchu i pożaru nie zginęliby również twoi gospodarze. To już nie jest jedynie przestroga, lecz coś poważniejszego.

– W takim razie trzeba porozmawiać z tym, jakże mu? Kapitanem Skierką. Chociaż, przyznam, że wołałbym nie.

– Ja też nie – przytwierdził Sawicz. – Nie przydzielą nam przecież osobistej ochrony, bo nie mają tylu pracowników. Zresztą, czułbym się fatalnie... W końcu jestem młodym, zdrowym i silnym mężczyzną, a nie starą babą.

Roześmieli się. Doszli potem do wniosku, że Zbyszek ma rację. I oni myśleli podobnie.

*

W sobotę Sosnowiecki, uproszony przez żonę, nie poszedł wieczorem do laboratorium. Zresztą sam czuł się zmęczony, trochę osłabiony i tęsknił do długiego, spokojnego spaceru na łąkach czy w lesie.

Wybrali się około siódmej, kiedy słońce nie paliło już dokuczliwie. Agnieszka włożyła najlżejszą, kretonową sukienkę, która szczęśliwie przetrwała kilka sezonów i liczne prania. Sandały na smukłych, opalonych nogach i kolorowa letnia torebka, przewieszona przez ramię – całość nadawała się właśnie na taką wycieczkę.

Marian, wciąż wahający się, czy nie zgolić brody, „bo gorąco”, umyślnie zostawił w domu papierosy, chciał oduczyć się palenia. Nierealne – myślał trzeźwo. – Ale dobrze chociaż postanowić.

Na skraju lasu spotkali niespodziewanie głównego technologa z psem; na ich widok wyraźnie zmieszał się, uklonił i odszedł bez słowa.

– Pewnie mą tu randkę – roześmiał się Sosnowiecki. – Cóż to za dureń! Boi się matki, podobno zabroniła mu się żenić.

– Ciekawe, kim jest ta jego tajemnicza wybranka?

– Nie mam pojęcia. Poza pracą Ługaj nie interesuje mnie.

Chodzili po lesie, zbierali jagody, wypatrzyli umykającą sarenkę, odpoczywali na polanie. Pokłócili się o

coś, milczeli kilka minut, potem nastąpiły wciąż jeszcze atrakcyjne – mimo dziesięciu lat małżeństwa – przeprosiny. Wreszcie ściemniło się i trzeba było wracać. Postanowili, że w niedzielę wybiorą się z wałówką na cały dzień, ale z drugiej strony Golewic. Tam też ciągnął się las, a w nim ładne jezioro, jak dotąd czyste, nadające się do kąpeli.

Sosnowieccy mieszkali w nowym, czteropiętrowym bloku na osiedlu „Słoneczna”, trochę w bok od śródmieścia. Kiedy weszli w pierwszą uliczkę, minął ich na sygnale wóz Straży Pożarnej; zaraz za nim przejechał milicyjny radiowóz.

– Gdzieś się pali – rzekła Agnieszka. – Chyba nie u nas?

– Mam nadzieję, że nie. – Marian nagle przypomniał sobie, co mówił Jabłoński, i serce zabiło mu niepokojnym rytmem. Przyśpieszył kroku.

Pałiło się w ich bloku, na ich piętrze. Po bokach każdej klatki schodowej znajdowały się po dwa mieszkania trzypokojowe i jedno dwu; takie właśnie zajmowali. Kiedy podbiegli, strażacy w hełmach i z bosakami ciągnęli od hydrantu gruby wąż gumowy; dwóch milicjantów wyskoczyło z samochodu, przystanęli u wejścia, zdezorientowani. Dokoła zebrał się tłum, z okien wyższych pięter wyglądali przestraszeni lokatorzy.

Sosnowiecki wbiegł do klatki schodowej. Jeden ze strażaków usiłował go zatrzymać, ale wydarł mu, się i szedł na drugie piętro, przerażony, bo już wiedział, że pożar wybuchł u nich. Dokumenty – myślał gorączkowo – książki bezcenne, zbierane od lat... Meble, ubrania. Paszport w biurku... Stare rodzinne fotografie, nie do odtworzenia.

Drzwi wejściowych tak jakby już nie było. Czarne, osmalone, zlane wodą resztki drewna. Wypalona podłoga w przedpokoju, szkło z popękanych szyb. Ale dalej – odetchnął radośnie – dalej było już dobrze. Ogień nie zdążył dotrzeć do dużego pokoju ani do sypialni. Marian oparł się o ścianę, przymknął oczy.

– To pańskie mieszkanie? – usłyszał czyjś głos.

– Nasze – odpowiedziała Agnieszka, biegła widać tuż za nim. – Co ci, słabo? – Pochyliła się, chwyciła jego rękę, wymacała puls.

– Nic, już w porządku – otworzył oczy, uśmiechnął się do niej. – Bałem się, że wszystko... O, Boże! Gdyby paliło się w tamtych...

– Niech nikt z państwa teraz nie wchodzi! – ostrzegł strażak. – Można sobie zniszczyć buty. Podłoga jeszcze się tli.

Kapitan Skierko pojawił się na schodach, rozmawiał

chwilę ze strażakami, a potem podszedł do Sosnowieckiego.

– Jak to mówią: szczęście w nieszczęściu – uśmiechnął się. – Tylko przedpokój i dwa okna. No i drzwi wejściowe. Mogło być gorzej.

– Właściwie jak to się stało? – spytał inżynier. – Myśmy poszli na wieczorny spacer, wracamy, a tu...

– Porozmawiamy – przerwał oficer. – Później. Nie tutaj.

– Pani Agnieszko, zapraszam do nas – zawołała sąsiadka. – Zanim będzie można wejść do domu, odpoczniecie, podam herbatę.

Sosnowiecki zawahał się, spojrzął na kapitana.

– Milicjanci pozostaną – odparł Skierko na to milczące pytanie. – Trzeba do końca wyjaśnić przyczyny pożaru.

Z dykty i płyt spilśnionych, które mieli w piwnicy, zrobiono prowizoryczne drzwi; musiały posłużyć aż do poniedziałku. Późnym wieczorem, kiedy już oboje znaleźli się w mieszkaniu, przyszedł kapitan.

– Podpalenie – powiedział. – Proste, łatwe do wykrycia. W pobliżu schodów znaleźliśmy na wpół spalone szmaty, nasiąknięte benzyną. Pożar z miejsca ogarnął drzwi, zaczęła się palić podłoga w przedpokoju, kiedy jeden z waszych sąsiadów poczuł dym i wybiegł na korytarz. Zadzwoił po straż, sam zaczął gasić, dlatego

trochę zahamował rozszerzanie się ognia. Oczywiście, prowadzimy śledztwo.

– Kto to mógł zrobić? – szepnęła Agnieszka. – I dlaczego? Nikomu nie zrobiliśmy krzywdy. Ktoś się zawziął na Mariana. Ale za co?

Inżynier milczał. Zastanawiał się, czy nie powiedzieć oficerowi o swoich podejrzeniach, o otwartych kurkach gazowych w mieszkaniu Janusza. Nie był jednak pewien, czy nie powinien przedtem porozumieć się z kolegą. Milicja może mieć pretensje, że nie zawiadomił o wydarzeniu.

Skierko przyglądał mu się z uwagą, jakby czekał na słowa, które pomogą wyjaśnić, skierować śledztwo na właściwe tory. Ale Marian tych słów nie chciał powiedzieć. Może podświadomie bał się, że wtedy odbiorą im trzem pracę nad katalizatorem, przeniosą cały problem gdzieś do instytutu naukowego, a przecież już niedługo mieli zakończyć. Nie – pomyślał z zaciętością, która go samego zdziwiła. – Nie oddamy tej roboty!

– To prawda, że ktoś się na mnie uwziął – rzekł, podsuwając kapitanowi papierosa. – Ale nie przywiązywałbym do tego większej wagi. Mogą to być jakieś stare porachunki z okresu, kiedy pracowałem w „Azotach”, na stanowisku zastępcy kierownika. Nastroje wśród załogi wykazywały wysoką temperaturę –

uśmiechnął się. – Jak wszędzie wówczas. Trwały ostre spory, wymówki, żale... O parę lat młodszy, nie potrafiłem czasem znaleźć właściwych słów i daleko mi było do spokojnej tolerancji. Ktoś mnie zapamiętał, zapiekło się w nim rozgoryczenie, no i teraz się odgrywa.

– Nie nazwie pan tego ktosia?

Zaprzeczył ruchem głowy.

– Mógłbym rzucić podejrzenie na niewłaściwą osobę – odparł wymijająco. – Zresztą pewnie już dadzą spokój – zakończył z optymizmem.

Ale Skierko optymistą nie był.

– Na czym pan to opiera?

Marian wzruszył ramionami.

– Jest takie modne określenie, od którego zaczyna niemal każdy rozmówca publiczny. – roześmiał się – „Wydaje mi się”. Niech to będzie moja odpowiedź.

Kapitan zrozumiał, że więcej już się nie dowie, przynajmniej dzisiaj. Odpowiedź inżyniera wcale go nie przekonała, lecz na razie musiał na tym poprzestać. Pomyślał, że śledztwo będzie trudne, że trzeba posłać kogoś do tych „Azotów” i, być może, poprosić o pomoc Komendę Wojewódzką. W Golewicach rozpoczął służba niedawno, mało znał tutejsze społeczeństwo, a cała sprawa – napad i podpalenie – miała jednoznaczny, przestępczy charakter. Zemsta – myślał, wychodząc z

bloku – ale jaki powód? I dlaczego dopiero teraz, przecież inżynier pracuje w „C-12” już ponad rok. Może należy zająć się osobnikami, którzy ostatnio przybyli do Golewic.

I nagle przystanął, tknięty jakąś myślą. Sosnowiecki kończy opracowanie katalizatora; może to ma związek? Czyżby Francuzi przed wyjazdem pozostawili tutaj pewne, nazwijmy je: dyspozycje? I komu? Wszystko możliwe. Tak, tylko że w laboratorium pracuje kilku inżynierów i robotników, a przestępca poluje wyłącznie na jednego z nich. Nie, to musi być inna przyczyna, dotycząca osobiście Sosnowieckiego.

*

O pożarze Sawicz dowiedział się dopiero rankiem w poniedziałek, kiedy przyszedł do laboratorium, bo w sobotę po południu wyjechał samochodem do Poznania, gdzie miał rodzinę. Wysłuchał, co im dwóm opowiedział Sosnowiecki, nie wtrącił się, kiedy Janusz stanowczo oparł się zawiadomieniu milicji o gazowych kurkach. Był osowiały, narzekał na ból głowy.

– Pewnie za długo siedziałeś na słońcu – zauważył Marian. – Twarz ci się zaczerwieniła, oczy też. To może być małe porażenie.

– Wcale się nie opalałem – odparł. Wytarł spocone czoło, ręce mu trochę drżały.

Przyjrzeni mu się krytycznie i orzekli, że powinien pójść do lekarza. Kula wyjaśnił jednak, że w ambulatorium jest remont. Kto w „C-12” akurat teraz zachoruje, musi zgłosić się do rejonowej przychodni zdrowia. Sawicz bronił się przez jakiś czas, w końcu uległ, bo rzeczywiście czuł się źle. Może się czymś strułem – myślał zafrasowany, idąc przez teren Zakładów. Ale było to mało prawdopodobne, matka gotowała świetnie i zdrowo.

Zielonkawa skoda 105-S stała w cieniu długiej wiaty, w pobliżu bramy. Sawicz wyjął kluczyki i zachwiał się, czując zawrót głowy. Psiakrew – rozzłościł się. – Pewnie grypa. W takie lato! Był zdrow, nigdy nie leżał w szpitalu, przeziębiał się raz na kilka lat, zimą. Przez chwilę pożałował, że nie został u rodziców. Jeżeli już miał chorować, to tylko tam, pod dobrą opieką.

Jechał powoli, z trudem przypominał sobie, gdzie mieści się budynek przychodni, który dotąd mijał obojętnie. Przed okienkiem rejestracji stały trzy osoby. Odczekał, aż odejdą, zbliżył się. Nie wiedział, jak się załatwia przyjęcie do lekarza ani do którego powinien się zgłosić.

Rejestratorka, oschła i mało uprzejma, zmiękła na widok przystojnego inżyniera.

- Pan po numerek? – spytała życzliwie. – Do kogo?
- Nie wiem – mruknął, oparł się dłońmi o drewniany

blat, aby nie upaść. – Chyba do internisty?

– Doktor Łabiński, gabinet czwarty. Może pan od razu wejść, nie ma nikogo. Pan z miasta?

– Nie. Z „C-12”. – Wyjął legitymację służbową, wcześniej nie przyszło mu do głowy, aby spytać, co właściwie w przychodni jest potrzebne.

Obejrzała dokument, westchnęła cicho nad fotografią.

– Nie ma pan legitymacji ubezpieczeniowej?

Spojrzał na nią bezradnie.

– Pewnie gdzieś mam. Ale przy sobie... Nie, nie mam. Musiałbym pojechać do domu, a źle się czuję.

Machnęła ręką. Jeszcze raz obdarzyła go powłóczyстым spojrzeniem i wręczyła numerkę.

– Czwarty gabinet – powtórzyła. – Korytarz na prawo.

Kiedy odszedł, wychyliła się z okienka i patrzyła z żalem. Gdyby choć częściej chorował...

Sawicz, nieświadom zamętu, jaki uczynił w sercu rejestratorki, odnalazł gabinet, zastukał i wszedł. Lekarz, siwy, barczysty, w lekko przyciemnionych okularach, obrzucił go uważnym wzrokiem. Kazał usiąść, zanotował nazwisko. Kiedy inżynier chciał się odezwać, doktor władczym gestem nakazał mu milczenie.

– Potem pan mi wszystko opowie – rzekł.

Osluchał go, ostukał, zamyślił się nad zaczerwienionymi spojówkami, zająrzył do gardła.

- Poci pan się, w gardle drapie, głowa boli. Tak?
- Zgadza się.
- Od dawna?

– Poczulem to wczoraj, po powrocie z Poznania, gdzie byłem u rodziców. Ręce mi drżą. I taka chwiejność. Światło razi.

Łabiński przyglądał mu się, ściągając siwe krzaczkaste brwi.

- Pan jest chemikiem?
- Tak. Chemia nieorganiczna.
- Nad czym pan ostatnio pracował?

Sawicz zmieszał się, odkaszlnął.

– To raczej... Wątpię, żeby – zająknął się, jak zwykle kiedy był zdenerwowany. – No, pracujemy nad tworzeniem katalizatora.

– Nie orientuję się, ale czy używacie do tego składników toksycznych?

Myślał przez chwilę. Do tej pory żaden z nich nie narzekał na jakieś objawy zatrucia.

– Tlenki chromu, miedzi, niklu – zastanawiał się – magnetyt, oczywiście związki siarki. Panie doktorze, już kilka miesięcy siedzimy nad tym w laboratorium i wszyscy dotąd czuliśmy się dobrze. Dopiero ja, od wczoraj.

- Używacie do tego, na przykład, nitroglukolu?
- Nie, skądże!

– Ani żadnych mieszanin kwasu azotowego i siarkowego?

Sawicz uśmiechnął się mimo woli.

– Naprawdę nie mamy zamiaru wysadzić laboratorium w powietrze – odparł. – Może ja po prostu mam grypę?

– Raczej nie. Kicha pan, kaszle?

– Nie.

Lekarz odwrócił się do stołu, wypisał receptę. Potem powiedział:

– Niech pan wypije dużą mocną kawę. Nawet dwie. Jeżeli przejdą wstępne objawy, proszę w miarę możliwości jak najwięcej przebywać na świeżym powietrzu. Zresztą dam panu zwolnienie na cztery dni. W razie gdyby pan czuł się gorzej, proszę natychmiast do mnie przyjść. Koniecznie!

Sawicz nagle zaniepokoił się.

– Wstępne objawy? – powtórzył. – A co pan przewiduje dalej? Wołałbym wiedzieć, co mnie czeka. I w ogóle jaka to choroba? Nie znam się, nigdy nie choruję.

– Owszem, ma pan zdrowy i silny organizm, sądząc po pierwszym badaniu. To dobrze. Niech mi pan jeszcze powie: czy tam, w Poznaniu, gdzie pan przebywał półtora dnia, nie zetknął się pan z toksycznymi środkami chemicznymi? Może u rodziców?

– Nie. Ojciec jest urzędnikiem państwowym, matka zajmuje się domem i moim młodszym rodzeństwem.

Jakie środki ma pan na myśli?

Łabiński milczał chwilę. Potem spytał:

– Ręce, nogi nie puchną panu? Teraz nie stwierdziłem opuchnięcia, ale czy było?

– Nie. Doktorze, pan coś przede mną ukrywa! – zdenerwował się.

– Nie ukrywam, jedynie podejrzewam. A ponieważ nie mam żadnej pewności, nie chcę panu nic sugerować. Nie chcę straszyć.

– Ale co pan podejrzewa? Niechże pan mówi, będę wiedział, czego mam unikać na przyszłość.

– No, cóż. Trochę mi to wygląda na zatrucie nitrogliceryną albo nitroglikolem.

Sawicz patrzył na niego ze zdumieniem.

– Jako chemik znam doskonale właściwości tych cieczy. I mogę pana zapewnić, że od paru miesięcy nie miałem z nimi żadnego kontaktu. Zresztą wiem, jak się z tym obchodzić... Nitrogliceryna? Wykluczone. Mamy kolegę, który dostał na skórze ciężko gojących się owrzodzeń, nieżyty żołądka, jeszcze tam czegoś. Ale on rzeczywiście pracował z nitroglikolem.

– Rozumiem. Daj Boże, żebym się mylił. Proszę się u mnie pokazać niezależnie od ewentualnej poprawy.

Kiedy inżynier był już we drzwiach, Łabiński zawołał:

– I niech pan na razie nie prowadzi żadnego pojazdu. Lepiej losu nie kusić.

– Dobrze. Ale teraz muszę dojechać do Zakładów, postawić tam wóz.

– W każdym razie niech pan jedzie wolno, ostrożnie.

Wsiadł do skody, zamyślił się nad wszystkim, co usłyszał. Czyżby naprawdę struł się jakimś środkiem chemicznym? Przebiegał w pamięci prace w laboratorium, wszystko „w czym robił”, z czym się stykał ostatnio i w żaden sposób nie mógł sobie przypomnieć kontaktu z nitrogliceryną lub czymś podobnym. W końcu doszedł do wniosku, że doktor każdego chemika podejrzewa o zatrucie przy pracy. A on ma pewnie złośliwego wirusa grypy o nietypowych objawach.

Uspokoiwszy sam siebie, zapuścił silnik i ruszył z miejsca. Jechał bardzo wolno, oczy chwilami zachodziły mgłą, w głowie łupało. Kiedy dojechał do Zakładów i zaparkował samochód pod wiatą, nie był w stanie wyjść z wozu. Przechodzący tamtędy technik Białek zauważył jego stan i podszedł bliżej.

– Co ci jest, Zbyszku? – spytał. – Źle się czujesz?

– Tak, chyba grypa. Mam do ciebie prośbę: weź kluczyki od mojej skody i daj Sosnowieckiemu albo Jabłońskiemu. Oni nie mają samochodu, może który

będzie chciał gdzieś pojechać. Ja wyprzęgam na kilka dni.

– Słuchaj, a czy pożyczylbyś mi wozu na sobotę i niedzielę? Oddam ci benzynę, mam trochę w zapasie, a mój maluch w naprawie.

– Dobrze. Jak wrócisz, odstaw tu, pod wiatę.

Białek podziękował. Był dobrym kierowcą i Sawicz mógł bez obawy powierzyć mu skodę. Powlókł się potem do kawiarni, wypił dużą mocną kawę i rzeczywiście poczuł się jakby trochę lepiej. Wstąpił do apteki, wykupił lekarstwo; nie używał żadnych, więc nazwa nic mii nie mówiła. Dotarł wreszcie do domu, położył się i zasnął.

Rozdział 3

Technik Jerzy Białek wracał w niedzielę wieczorem z Radomia. Od rana mżył ciepły, wymarzony przez rolników deszcz, wedle ich opinii powinien padać tydzień, nawet i dwa. Szosy pełne były wracających z weekendu niedzielnych kierowców, przez niektórych porównywanych do stonki albo jeszcze gorzej. Tu i tam sterczał w rowie rozbity fiat, syrena czy wartburg; krążyły milicyjne radiowozy, czasem pogotowie ratunkowe.

Białek nie mógł zrozumieć, co się z nim dzieje. Już w sobotę, po przyjeździe do Radomia, powiedział do

siostry, że jest mu jakoś niedobrze. Miał torsję, ból głowy. Przestraszyła się, zaaplikowała mu sodę oczyszczoną i gorzką herbatę. Do wieczora przeszło. Na drugi dzień był prawie zdrow. Ale pod wieczór, zaledwie ujechał kilkanaście kilometrów, choroba – czy co to było – wróciła. Kręciło mu się w głowie, piekły oczy, pot zalewał ciało.

W pewnym momencie zjechał ostrożnie na pobocze i zahamował. Spróbował wykryć przyczynę złego samopoczucia. Czyżby tkwiła w samochodzie inżyniera Sawicza? Może z rury wydechowej wydzielają się nadmiernie gazy spalinowe? Nie czuł jednak żadnego przykrego zapachu, zresztą siedział przecież za kierownicą, nie pod rurą. Więc może Sawicz trzyma w schowku tablicy rozdzielczej jakieś chemikalia, śmierdzące świństwo i on, Białek, tym się powoli truje? Był elektrykiem i od chemii trzymał się na tyle z daleka, na ile w „C-12” było to możliwe.

Zajrzał ostrożnie do obu schowków, podejrzliwym okiem obrzucił radio, obmacał zegar i prędkościomierz, nawet kierownicę. Niczego nie znalazł poza pudełkiem zapalek, które wyrzucił na wszelki wypadek. Więc co, u diabła?!

Jeżeli nie w samochodzie, to gdzie? Rozwazał po kolei, jak to było. Zaczęło się w trakcie jazdy do Radomia. Przeszło w niedzielę. Wróciło znowu na szosie.

– Musi coś być w tej cholernej skodzie! – szepnął. Wylazł na drogę podniósł pokrywę bagażnika i zaczął przyglądać się temu, co było w środku. Wyłożył na trawę szmaty i torbę, dokładnie zapoznał się z zawartością pudła na drobne narzędzia. W torbie z grubego plastyku leżał, starannie owinięty flanelą, nowiutki reflektor (skąd on wziął flanelę? – zastanowił się zazdrośnie) i mały, prostokątny pojemniczek z oliwą. Z przetrząśniętych szmat wyleciał tylko kurz. Żadnych toksycznych płynów, drobin, proszków – nic z tych rzeczy.

Białek westchnął ciężko. Do Golewic miał jeszcze dwie godziny jazdy. Ściemniło się, coraz mniej samochodów mijalo zieloną skodę. Deszcz ustał, ale ciężkie chmury wisiały nad polami i drogą. Trzeba wracać – pomyślał. – Nic tu nie wysiedzę. Dźwignął się z rowu, usiadł za kierownicą i zapuścił silnik. Nagle przypomniał sobie twarz Sawicza, tydzień temu, tam obok wiaty. Był chory, mówił, że to grypa. A jeżeli nie?

– Do nagłej krwi, przecież muszę dojechać! – zawołał gniewnie. I ruszył do Golewic.

*

O północy niebo wypogodziło się, pokazało gwiazdy i skąpy, wąziutki księżyc. Rolnik ośmiohektarowy Jan Zarzycki (dziesięć krów, dwa razy tyle prosiąt z ostatnich

miotów, cztery razy tyle owiec itp.) jechał powoli swoim starym fiatem, prawą stroną jak, kodeks drogowy przykazał, trzeźwy (dwa piwa) i trochę śpiący. Myślał o weselu siostrzeńca, na którym był z obowiązku rodzinnego i dla przyjemności, a które trwało Cztery dni i skończyło się w niedzielę.

Zarzycki podarował krewnemu kolorowy telewizor marki Jowisz i teraz trochę tego żałował. Grosza dużo, a pożytku mało – tak oceniła prezent matka panny młodej, dodając, że lepsza byłaby automatyczna pralka. Wprawdzie siostrzeniec wybuchnął entuzjastyczną radością, Zarzycki wyczuł jednak, że teściowa ma tam głos decydujący. Pralkę niech im sama kupi – mruknął do siebie. – Głupia stara.

Na szosie, w świetle reflektorów, coś zamajaczyło. Zarzycki zwolnił, aby statecznie ominąć przeszkodę. Ale kiedy się zbliżył, targnęło nim przerażenie. Zahałmował gwałtownie, wygramolił się z wozu. Przed nim na poboczu szosy, wkliniowany w drzewo, leżał wielki ciemny kształt, przypominający złomowisko: skłębione kawały pogiętej blachy, zdarte strzepy pokrowca, kable, silnik śmierdzący benzyną, rozbite szkło. Spod tego wszystkiego wystawała stopa w kolorowej skarpetce i męskim sandale.

– Rany boskie! – jęknął Zarzycki. – Ani chybi trup.

Stał przez kilka minut, wstrząśnięty tym, co zobaczył, i tym, co z pewnością jeszcze zobaczy po rozgarnięciu stosu, który niedawno był zielonym samochodem. Kiedy już się nieco oswoił z makabrycznym widokiem, podszedł blisko, schylił się i dotknął stopy w sandale. Stwierdził, że zimna. Potem pomyślał, że właściwie nie ma co ratować. Do domu! – odezwało się w nim przemożne pragnienie. Jak najdalej od straszego miejsca. Ale jeżeli „ten tam” żyje, tylko mu noga zmarzła?

– Hej, panie! – zawołał, nachylając się nad wrakiem wozu. – Żyjesz? No, odezwij się!

Cisza. Nic nie drgnęło, nie jęknęło. Pusto było na szosie, jakby wymiótł. Tylko to przeraźliwe milczenie po katastrofie. Tylko ta śmierć. Zarzycki nie był tchórzem, zwykł jednak rozważnie kalkulować swoje działania: mają sens czy nie. Wyciągnął paczkę papierosów, zapalił, oddaliwszy się trochę od rozlanej benzyny, i myślał. Prawdę mówiąc, miał też nadzieję, że nadjedzie jakiś inny kierowca, a co dwie głowy to nie jedna. Wypalił extra mocnego do końca i nie doczekał się nikogo. Westchnął więc, nałożył grube skórzane rękawice, które zawsze woził w schowku, podszedł do skody i zaczął ostrożnie rozsuwać to, co z niej zostało. Tak dotarł do człowieka.

Wbrew obawom nie zobaczył zmiażdżonych szczątków. Martwy kierowca był właściwie w całości,

odwrotnie niż samochód. Tył czaszki miał zgnieciony i kość wbitą w mózg, co, rzecz jasna, musiało być przyczyną śmierci. Zarzycki wy dostał go spod kupy żelazta, położył na trawie.

– Co z tobą zrobić? – mruknął. Pierwszy raz zeknęła się samotnie z katastrofą, nie miał też wprawy w obchodzeniu się z nieboszczykami. Z całą pewnością należało zawiadomić milicję; w tym celu jednak musiał stąd odjechać.

Znów przez chwilę rozważał sytuację. Wreszcie przykłął obok ciała, aby poszukać jakichś dokumentów. Znalazł portfel, w nim legitymację służbową na nazwisko Jerzy Białek, zawód technik-elektryk, miejsce pracy Zakłady „C-12”, Golewice. Były jeszcze inne papiery, ale nie zajmował się nimi.

Golewice leżały dwanaście kilometrów od jego gospodarstwa. Jeździł tam często V różnych sprawach, a w Zakładach pracowało kilku synów jego sąsiadów z wioski. Aby teraz dostać się do domu, musiał przejechać przez to miasto. Wypalił więc jeszcze jednego papierosa i zdecydował się. Legitymację schował do kieszeni, zwłoki przesunął trochę dalej od szosy, aby nie uległy kolejnej katastrofie, wsiadł do fiata i ruszył pełnym gazem.

Zahamował dopiero przed budynkiem komendy milicyjnej. Miał w niej paru znajomych, wątpił jednak, aby znajdowali się tutaj w środku nocy. Skierował się do

oficera dyżurnego i tak się złożyło, że pierwszym milicjantem, którego spotkał, był Andrzejowski, daleki krewny. Zdziwił się na widok Zarzyckiego, przywitał go, wysłuchał uważnie. Obejrzał legitymację, a potem rzekł:

– Niech stryjek poczeka, zaraz to załatwimy.

Chcąc nie chcąc, Zarzycki musiał wrócić na miejsce wypadku, teraz jednak już w towarzystwie nysy i podoficerów z drogowej. Nieboszczyk leżał nie tknięty przez nikogo, obojętny na wszystko, co się wokół niego działo. Milicjanci robili to, co zwykli robić w takich sytuacjach, a Zarzycki mógł nareszcie pojechać do domu, zmęczony, pełen niedobrych wrażeń. Aby je choć trochę zatrzeć w pamięci, wrócił myślą do wesela, telewizora i – na szczęście, nie własnej – teściowej.

*

– Jak to się mogło stać?!

Sawicz, przerażony i zdumiony, z początku nie uwierzył. Dopiero kiedy na dziedzińcu komendy pokazano mu wrak zielonej skody, prawda o wypadku uderzyła go jak obuchem.

Błady, z zaciętymi wargami patrzył na zgniecioną karoserię i ciemne ślady krwi na siedzeniu. Przeniósł wzrok na kapitana Skierkę, który stał obok.

– Jak to możliwe? Przecież Jurek był dobrym, uważnym kierowcą, nigdy nie pił przed jazdą. Wóz miał sprawne hamulce, w ogóle... Na drzewo? Nie mogę uwierzyć! Czy w nocy była mgła?

– Nie.

– W takim razie ktoś go musiał potrącić. Ktoś go wpakował na to drzewo, innej możliwości nie widzę.

– Niedługo otrzymam wyniki sekcji zwłok. Wtedy będzie można wyjaśnić przyczynę katastrofy. Tak sądzę – dodał, gdyż wcale nie był tego pewny. – Kiedy pan go widział ostatni raz?

Sawicz pomyślał chwilę.

– W tamtą sobotę. Przy wiacie na terenie Zakładów. Podjechałem, czułem się źle. Jurek mnie zobaczył i spytał, czy nie pożyczylbym mu wozu na półtora dnia. Chciał jechać do Radomia, gdzie mieszka jego siostra.

– Kiedy?

– W następną sobotę, czyli przedwczoraj. Dałem mu kluczyki, aby wręczył Marianowi albo Januszowi, jeżeli zechcą skorzystać z mojego samochodu, bo ja otrzymałem zwolnienie lekarskie. Wiem od Janusza, że wziął te kluczyki, ale nie miał, czasu na żadną jazdę i jeszcze w piątek oddał je Białkowi.

– A więc przez tydzień skoda stała pod wiatą?

– Myślę, że tak. Poszedłem do pracy dopiero w sobotę. Wtedy już jej nie było. Białek korzystał z wolnej soboty, my w laboratorium mamy za dużo pracy, siedzimy nawet w niedzielę. Kapitanie, co mówią pańscy milicjanci z drogowej? Co stwierdzili?

– Na podstawie dotychczasowych oględzin wozu następujące fakty: kierowca jechał z dużą szybkością, około setki. Stan nawierzchni szosy nie wykazywał na tym odcinku żadnych śladów ewentualnego potrącenia przez inny pojazd. Nie stwierdziliśmy też, aby przyczyną wypadku mogła być mokra lub śliska jezdnia; deszcz przestał padać około dziewiątej wieczorem, a przybliżona godzina zderzenia skody z drzewem to dwudziesta trzecia. Wtedy szosa była już sucha. Żadnych śladów rozlanej oliwy lub smarów w tym miejscu. Gdyby na drogę wyskoczyło nagle jakieś zwierzę: zając; kot, pies; znalazłoby się pod samochodem. Zresztą dobry kierowca wyminąłby żywą przeszkodę, nawet przy dużej szybkości. Pozostaje więc taka możliwość: Białek raptownie stracił przytomność. Czy był zdrów?

– Chyba tak, nie wiem dokładnie.

– Posłałem wóz po jego siostrę do Radomia. Może ona coś wyjaśni.

Irena Stawska z domu Białek, kobieta po pięćdziesiątce, tęga, przysadzista, z krótko obciętymi siwymi włosami, rozpląkała się na widok zamarłego brata,

którego pokazano jej już po sekcji, w szpitalnej kostnicy. Długo nie mogła się uspokoić. Wreszcie otarła oczy, spojrzęła raz jeszcze na ciało pod białym prześcieradłem i zapytała rzeczowo, co z ubraniem, kluczami i resztą dobytku. Jerzy Białek mieszkał po rozwodzie samotnie, zajmował pokój z kuchnią w bloku na osiedlu „Słoneczna”.

Skierko, obecny przy rozpoznaniu zwłok, poprosił jednak, aby najpierw pojechała z nim do komendy, gdyż sporo rzeczy trzeba było wyjaśnić. Poczęstowana kawą i papierosem westchnęła ciężko, a potem odparła, że owszem, może porozmawiać. Na płacz będzie jeszcze czas przy pogrzebie.

– Brat przyjechał do mnie w sobotę przed południem – zaczęła, zaciągając się papierosem. – Zjedliśmy obiad... – Zamyśliła się, coś jej się przypomniało. – Wpierw nie chciał jeść, było mu niedobrze. Skarżył się na torsje podczas jazdy. Dałam mu sody, gorzkiej „herbaty”. Pomogło. Więc ten obiad był późno, prawie jak kolacja. Rozmawialiśmy, przyszli znajomi. Spał dobrze, rano powiedział, że czuje się zdrow. I tak przez całą niedzielę. Poszliśmy na spacer, potem do sąsiadów. Jerzy na nic nie narzekał, miał nawet apetyt. Wyjechał po kolacji, gdzieś koło ósmej wieczorem. Umówiliśmy się, że we wrześniu weźmie urlop i pojedziemy razem nad morze... – Znowu łzy stanęły jej w oczach wyciągnęła

chustkę. Kapitan szybko podsunął papierosy. – Jeżeli panu chodzi o to, że wyjeżdżał z Radomia chory, to się nie zgadza. Mogę powiedzieć, że chory do mnie przyjechał.

– Jalcie to były objawy?

– Torsje, ból głowy, silnie się pocił. Potem przeszło. Może wróciło w samochodzie?

Te słowa kapitan powtórzył później Sawiczowi. Inżynier zastanowił się, zmarszczył brwi.

– Wie pan, ja przecież miałem te same objawy – rzekł ze zdziwieniem. – Dlatego radziłem się lekarza, dał mi zwolnienie. Pytał... Nie, nonsens!

– O co pytał?

– E, takie tam.

– Ale o co?

– Czy nie miałem ostatnio do czynienia z nitroglikolem.

– I co pan odpowiedział?

– Prawdę, że nie. Twierdził, że podejrzewa u mnie zatrucie... Kapitanie, to bzdura.

– Sądzi pan?

Sawicz popatrzał z uwagą na okrągłą, dobroduszną twarz oficera. W jasnych oczach dostrzegł ostre błyski.

– Samochód? – spytał zdumiony. – Jak żyję, nie woziłem w nim żadnych środków chemicznych. Tym bardziej nitroglikolu.

- Zawsze zostawiał pan wóz pod wiatą w Zakładach?
- Niemal zawsze. Myśli pan, że... Ależ to by wybuchło podczas jazdy! Wskutek wstrząsu. Niemożliwe!
- Przekonamy się.
- Co pan chce zrobić?
- Przeprowadzimy bardzo dokładne zbadanie skody. Rozbierzemy ją na czynniki pierwsze, zajrzemy w każdy kąt tego, co z niej ocalało. A wtedy, być może, przekonamy się – powtórzył.

*

Kapitan Skierko zażądał – bo trudno to było nazwać prośbą – wydelegowania do Golewic eksperta z Zakładu Kryminalistyki Komendy Głównej MO. Ekspert miał być wybitnym (Skierko zaznaczył, że w ZK pracują sami wybitni, o tym jest przekonany) znawcą toksykologii i... broni chemicznej. Nie wyjaśnił bliżej, o co chodzi. Golewickie pismo wywołało w Zakładzie Kryminalistyki powściągliwe zdziwienie; zastanawiano się tam nawet, czy nie należałoby wobec tego skontaktować się z kimś z OPBMAR, co oznacza „obronę przed bronią masowego rażenia”. Było to jednak zastanowienie przelotne.

Biegły chemik, magister Stefan Klonowski, łysawy, szczupły blondyn w okularach, przyjechał następnego dnia po otrzymaniu w Warszawie intrygującego listu. Pośpieszył się, bo powodowała nim zawodowa ciekawość, co też tam w miasteczku wymyślili i nad czym się głowią. Nie sądził, żeby chodziło rzeczywiście o broń chemiczną. Pewnie ktoś się zatrzał chemikaliami z Zakładów „C-12”.

Nastawiony sceptycznie, zaparkował służbowego fiata przed komendą i został natychmiast bezbłędnie rozpoznany przez Skierkę, który wprawdzie nigdy Klonowskiego nie widział, znał jednak numery samochodów z Zakładu. Przywitali się i ekspert zapytał żartobliwie, czy nie mieli tu przypadkiem do czynienia z bombą neutronową lub czymś takim. Kapitan nie podjął żartu. Zmrużył tylko oczy, przez co wydały się jeszcze mniejsze, i w milczeniu poprowadził gościa do swego gabinetu. Kiedy usiedli, rozpoczął tak:

– Zdaję sobie sprawę, że ma pan poważne wątpliwości...

– Nie mam – przerwał ekspert. Lubił wpadać komuś w słowa, co ogromnie drażniło jego szefów. Rzecz była jednak w, tym, że zwykle wyprzedzał myśłami to, co inni chcieli powiedzieć.

– Rozumiem – odparł Skierko. – Chce pan jeszcze dziś wrócić do Warszawy, więc będę się streszczał.

Inżynier Sawicz z Zakładów „C-12” miał zieloną skodę 105-S. Stawiał ją najczęściej pod wiatą na terenie Zakładów. W sobotę, tę poprzednią, wyjechał do rodziny, która mieszka w Poznaniu; w drodze czuł się źle, na miejscu mu to przeszło, ale wróciło w trakcie powrotnej jazdy.

– Jakie to były objawy?

– Silny ból głowy, poty, osłabienie, torsje. Raziło go światło. Lekarz rejonowy, doktor Łabiński, po zbadaniu podejrzewał lekkie zatrucie nitroglukolem lub nitrogliceryną. Dał mu lekarstwa i zwolnienie. Nie kojarząc absolutnie swego samopoczucia z jazdą, Sawicz pożyczył wóz Jerzemu Białkowi, technikowi z „C-12”. Ten wyjechał w sobotę, cztery dni temu, do Radomia, ma tam siostrę. Wracając, wpadł z dużą siłą na drzewo i poniósł śmierć. Sprowadziłem tu jego siostrę. Okazało się, że brat przyjechał do niej z podobnymi objawami, jakie miał Sawicz. W niedzielę był zdrow. Nie pił alkoholu. Wyjechał pod wieczór.

– Gazy spalinowe w aucie?

– Nie. Nawiasem mówiąc, w tej skodzie silnik jest umieszczony z tyłu, a z przodu bagażnik. Ale sekcja zwłok Białka wykazała we krwi methemoglobinę, co mogłoby sugerować zatrucie nitrobenzenem, chloranem potasu i tym podobne. Również nitroglukolem.

– Nitrobenzen daje charakterystyczną woń gorzkich

migdałów – zauważył ekspert. – Gdyby znajdował się w wozie, kierowca poczułby ten zapach. Zwłaszcza chemik.

– Owszem – przyznał kapitan. – Inżynier Sawicz nic takiego nie wyczuwał. Jednakże podobne objawy u niego i Białka skłoniły mnie do przeprowadzenia bardzo dokładnej analizy każdej części samochodu. I oto, na co natrafiliśmy...

Wstał, otworzył kasę pancerną i wyjął niewielkie metalowe pudełko. Położył je na biurku, ale zanim uchylił wieczko, włożył gumowe rękawiczki. Potem ostrożnie wydobyl z pudełka maleńką kapsułkę. Klo-nowski ożywił się, oczy mu zabłyśły.

– Coś podobnego! – mruknął. – To jest chyba... czyżbym się mylił?

Wyjął ze swojej torby podobne rękawiczki i szkło silnie powiększające. Położył kapsułkę, na dłoni, przyglądał jej się długo, dotykając ostrożnie i przewracając. W końcu rzekł ze zdziwieniem:

– Mikrokapsułka z jakimś środkiem toksycznym, tak można sądzić. Porowata, więc działa przez wdychanie. Gdzie ona była?

– W rurze nawietrzno-ogrzewczej, jeżeli to się tak fachowo nazywa. Ta część nie została zgnieciona wskutek zderzenia. Znaleźliśmy kapsułkę właściwie przypadkiem, była przyklejona taśmą do wewnętrznej

powierzchni rury. Paręnaście centymetrów dalej przymocowano drugą, ale po niej zostały tylko ślady taśmy. Widać wypadła wcześniej. Kierowca, nie mając pojęcia o trującej zawartości przewodu, w trakcie jazdy wdychał toksyczne opary. Przypuszczam, że dlatego Białek w pewnym momencie stracił panowanie nad maszyną i uderzył w drzewo. Niech pan za długo nie oddycha nad tym! – rzucił ostrzegawczo.

– Już nic groźnego – uspokoił go ekspert. – Po tylu godzinach żaden środek chemiczny, w dodatku o tak niewielkiej masie własnej, nie może wydzielić lotnych toksyn.

– Dlaczego więc zadziałał dokładnie na trasie, skoro mógł być włożony znacznie wcześniej? – zapytał Skierko. – Jak to się stało?

– Nic trudnego do odgadnięcia, Przestępca musiał dobrze znać właściwości mikrokapsułki. Przykleił ją ostrożnie i w stanie bezruchu mogła tkwić w tej rurze przez kilka dni. Impulsem pobudzającym jej krótką aktywność był nagły wstrząs, gwałtowne zamknięcie drzwi w wozie albo odbicie resorów na nierównej nawierzchni. Ten właśnie ruch spowodował pęknięcie delikatnej emulsji, szczelnie pokrywającej właściwy środek trujący. Co się stało potem, już wiemy...

Skierko słuchał z rosnącą uwagą, z czymś takim

jeszcze się, nie zetknął w swojej pracy.

– Czyli robota fachowca, kwalifikowanego chemika?

– Owszem, ale wykluczam, żeby ktokolwiek mógł wykonać taką kapsułkę sposobem laboratoryjnym, jeśli ma nawet dostęp do toksycznych substancji. Ten wariant odpada całkowicie, pozostaje natomiast drugi: ktoś dostarczył truciznę mordercy, ktoś oczywiście spoza kraju, nie w jakiejś paczce, lecz z ręki do ręki. Różnie to bywało w ostatnich latach, mieliśmy różnych turystów, a tam, na Zachodzie, trucizny są modne, technika ich skrytego wytwarzania poszła daleko do przodu, podskoczyły ceny, kombinatorów z tej łączki nam nie brakuje.

Ekspert zabrał kapsułkę do analizy i poprosił o pokazanie wraku samochodu.

Siedzieli przy tym ponad godzinę. Ekspert nie zadowolił się oświadczeniem kapitana, że wszystko już zostało obejrzone, a Skierko wcale nie miał mu tego za złe. Wiedział swoje. Toteż kiedy wreszcie Klonowski wyprostował się z westchnieniem ulgi, popatrzył raz jeszcze na wywrócone bebechy samochodu i orzekł: „W porządku, nic więcej nie ma” – kapitan tylko wyjął wargi. Co jak co, ale dokładność w robocie cechowała go, jak twierdził, od kołyski. Nie wspominał natomiast nigdy, że starsze rodzeństwo nazywało go przeważnie

„wstrętnym bachorem” lub tym podobnie. Namiętnie bowiem lubił podkładać im do łóżka żaby.

– Wie pan, najchętniej zabrałbym do Warszawy cały wóz – powiedział ekspert. – Nie mam jednak odpowiedniej ciężarówki.. A do nysy...

– Nysa jest w remoncie – spiesznie rzekł Skierko. Pomyślał, że gość nie będzie przecież sprawdzać, a bez nysy tu się nie obejdzie.

– ...się nie zmieści – dokończył tamten, bo właśnie dostrzegł, jak wymieniony pojazd wyjeżdżał z dziedzińca komendy. – Zresztą pewnie inżynier Sawicz będzie potrzebował tych resztek dla PZU. Byli już?

– Nie. Na szczęście. – A widząc zdziwione spojrzenie, wyjaśnił: – Przy oglądaniu mogli przypadkiem zniszczyć kapsułkę. Albo się zatruć.

– Też prawda – przyznał Klonowski. – Oczywiście prowadzicie dochodzenie w sprawie wypadku?

– Naturalnie. – Chciał dodać, że nie tylko w tej sprawie, ale coś go powstrzymało. Wpierw sam musiał wiele odnaleźć i zbadać.

Klonowski zjadł z kapitanem obiad u „truciciela”, bo w stołówce komendy był naprawdę remont. Pogadali jeszcze o tym i owym, po czym gość pożegnał się i odjechał. Przed tym powiedział, że najpewniej przyjedzie do Golewic ktoś z Biura Kryminalnego Komendy

Główniej MO, względnie nawet z resortu, bo sprawa mikrokapsułki jest nietypowa. – Zastanawiająca! – dodał, poprawiając dżinsowe spodnie, wypłowiałe na kolanach, jak nakazywała moda.

Skierko wrócił do gabinetu, trochę zaniepokojony ewentualną wizytą z ministerstwa, ale w głębi duszy zadowolony. Na gruncie spraw milicyjnych czuł się pewnie; nie miał natomiast tej pewności, jeżeli chodziło o trujące kapsułki. Zwłaszcza pochodzące zza oceanu. Że też to musiało się zdarzyć akurat w Golewicach! – myślał markotnie. Trzeba było wszystko jakoś uporządkować, wyciągnąć właściwe wnioski. Napad, później pożar: Sosnowiecki. Trucizna w samochodzie: Sawicz. Pozostaje Jabłoński. – Kreślił nazwiska, daty i fakty w notesie. – Trzeba sprawdzić, czy i jemu coś się nie przydarzyło. Nie wątpił już, że problem leży w katalizatorze. Ci trzej...

Nagle zawahał się. Trzej? Bo jeżeli wszystko omija Jabłońskiego, to czy nie należałoby zwrócić na tego człowieka baczniejszej uwagi? Tam są też dwaj robotnicy, Kula i Stawicki... Może jeszcze ktoś?

Następny dzień przyniósł nowe fakty. W południe dyrektor Zawadzki zawiadomił kapitana, że główny technolog Waclaw Ługaj został poprzedniego wieczoru napadnięty i pokaleczony. Dyrektor dorzucił z irytacją,

że jak tak dalej pójdzie; to on będzie musiał zrezygnować, z uruchomienia wytwórni amoniaku, i w ogóle. Nie powiedział wprawdzie, jak się zwykle mówić w takich sytuacjach, że „milicja nic nie robi”, ale Skierko wyczuł, że szef „C-12” ma to na końcu języka. Odparł więc, że natychmiast zajmie się sprawą.

Ługaj leżał w domu, pod troskliwą opieką matki. Kapitan, mimo jej sprzeciwów, stanowczym krokiem wszedł do sypialni. W pokoju panował półmrok, zasłony na oknach zaciągnięte. Ofiara napadu spoczywała na szerokim tapczanie, przy którym na stoliczku stały jakieś lekarstwa i szklanka z herbatą. Ługaj miał głowę przewiazaną bandażem, z lekka pokrwawionym. Na odgłos kroków otworzył oczy.

– Witam, kapitanie – rzekł cichym głosem. – Ot, widzi pan, teraz i mnie urządzili. Po kolei wykończą wszystkich inżynierów, zatrudnionych w laboratorium. Proszę, niech pan siada – wskazał fotel pod oknem.

Skierko siadł, przyjrzał się choremu i spytał, co właściwie zaszło.

– Wczoraj wieczorem wyszedłem, jak zwykle, na spacer pod las. Wyjątkowo nie zabrałem Reksa, mojego psa, bo gdzieś się zawieruszył koło domu. Było już ciemno, kiedy wracałem. Nagle dostrzegłem sylwetkę człowieka, stojącego koło tych gęstych krzaków za polaną. Zauważyłem, że raptownie machnął ręką w moją

stronę i w tej samej chwili uczułem silny ból w głowie. Zamroczyło mnie, upadłem. No, później podniosłem się. Na szczęście kamień... bo to był ostry kamień, rozciął mi tylko skórę i mięsień, nie naruszając kości. Przyznaję, że zdjął mnie strach. Wróciłem do domu i zemdlałem. Jakiś szok, wie pan... Wpierw ta historia z Sosnowieckim, potem Białek. Trochę za wiele na moje nerwy.

– Był pan u lekarza?

– Tak, w pogotowiu; opatrzyli mnie. Nic groźnego, ale muszę parę dni odpocząć.

– Może pan bliżej określić sylwetkę tego człowieka?

– Nie. Było za ciemno.

– Wysoki, niski? Chudy, gruby?

– Dość wysoki. Raczej szczupły. Nic więcej nie potrafię powiedzieć. Rzucił kamieniem natychmiast, jak go spostrzegłem.

– Pan również pracuje nad katalizatorem?

– Tak. Ale jestem głównym technologiem, więc tylko zaglądam do laboratorium od czasu do czasu.

Weszła pani Ługajowa, poprosiła, aby na dziś zakończyć rozmowę.

– Wacús jest osłabiony, powinien teraz zasnąć – powiedziała, mierząc kapitana niechętnym spojrzeniem. Pożegnał się więc, życzył zdrowia i wyszedł. Zamknęła

za nim drzwi, usiadła na brzegu tapczanu. – Może zmienię ci opatrunek? – spytała troskliwie.

– Oj, mamó! – zachnął się niecierpliwie. – Przecież nic tam nie ma. – Szybkim ruchem zerwał z głowy bandaż i prychnął śmiechem.

Patrzała na niego ze zdumieniem.

– Nie napadli cię? Nie uderzyli?

– Skądże!

– Ale na bandażu jest krew?

– O, z tego – pokazał zawinięty palec.

– A na pogotowiu...

– Wcale nie byłem. Mamó – usiadł, popatrzał na nią ostro – ty nie śmiesz nikomu, nic! Pamiętaj. Bo to by się źle dla nas skończyło. Napadli mnie, mam zwolnienie, za kilka dni wyzdrowieję.

Milczała, wstrząśnięta i urażona.

– A ja się tak wystraszyłam – westchnęła. – Po co ta komedia?

– To było konieczne. Musisz mi zaufać. Jak wszystko się uda, za jakiś czas wyjedziemy oboje do Francji. Zamieszkamy w Paryżu. Zawsze chciałaś zobaczyć Paryż, pamiętasz? – Zajrzał jej w oczy.

– Mój Boże, pewnie, że chciałam. Cóż, nie miałam dotąd okazji. Ja nic z tego wszystkiego nie rozumiem! – zawołała z gniewem. – Dlaczego nie powiesz, o co chodzi?

– Powiem ci. Ale jeszcze nie dziś. Ja to sobie dokładnie opracowałem, przemyślałem i teraz zaczynam działać. Musisz poczekać. Musisz mi pomóc. W żadnym wypadku nikomu, ale to nikomu nie wolno ci mówić nic o moich planach, zamiarach.

– Przecież ich nie znam, to co mam mówić – wzruszyła ramionami.

– Teraz jeszcze nie znasz, ale ja ci wszystko powiem, jak przyjdzie na to czas. I pamiętaj, że mnie wczoraj ktoś napadł, uderzył. To jest bardzo ważny fragment moich planów.

– Do Paryża... – zamyśliła się, westchnęła. – A z czego tam będziemy żyć?

– Nie martw się o to. Moja w tym głowa. Na razie – założył z powrotem bandaż, wyciągnął się w pościeli – jestem chory, osłabiony i mam zwolnienie. A zresztą nie wpuszczaj już do mnie nikogo.

Kiedy wychodziła z pokoju, spytał z nagłym ożywieniem:

– Co będzie na obiad? Bo zgłodniałem.

Uśmiechnęła się. Lubiała mu dogadzać.

– Chłodnik na śmietanie z jajkiem, kurczak pieczony z sałatą i kompot z truskawek.

*

W kilka dni później do gabinetu dyrektora Zawadzkiego przyszli trzej inżynierowie, pracujący nad katalizatorem, główny technolog Ługaj z małym opatrunkiem

na głowie oraz kapitan Skierko. Szef „C-12” zaprosił ich w tym składzie, aby zastanowić się nad sytuacją.

– Zdaje się – rzekł z wrodzonym mu sarkazmem – że lada chwila doczekamy się napadu, otrucia lub czegoś w tym rodzaju w stosunku do inżyniera Jabłońskiego. On jeden bowiem...

– Przepraszam, że przerwę – odezwał się Janusz, którego od pewnego czasu dręczyło sumienie i dogadywania kolegów. – Nie wspominałem dotychczas, bo sprawa wydawała mi się błaha i nawet trochę śmieszna. To znaczy, źle się wyraziłem. Mogła komuś wydawać się śmieszna, jako wytwór mojej fantazji. Ale...

– Do rzeczy – przerwał z kolei Zawadzki. – Co się panu przydarzyło i kiedy?

Jabłoński zrelacjonował nocne godziny, w czasie których nieznana ręka odkręciła oba kurki w gazowej kuchence jego mieszkania.

– Dlaczego pan mi o tym nie powiedział? – spytał Skierko.

– Mówiłem kolegom. Doszliśmy do wniosku, że pan posądzi mnie o karygodne roztargnienie. Albo że byłem pijany. Krępowало mnie to.

– Niepotrzebnie. Widzi pan, gdyby jeden kurek był odkręcony, to owszem, mógłbym przypuszczać, że zapomniał pan go zakręcić. Ale oba? Źle się stało. Pewnie były ślady stóp w trawie, otarcie gałęzi drzewa pod

oknem, mokre, odciski butów w kuchni. Padał wtedy deszcz, a sprawca nie frunął przecież przez okno, musiał zostawić ślady na podłodze.

– Jak z tego widać, ktoś usilnie pracuje nad unieszkodliwieniem inżynierów z „C-12” – podsumował dyrektor. – Kapitanie, co pan radzi?

– Wolałbym, żeby najpierw tu obecni wyrazili swoje zdanie – odparł Skierko skromnie; miał różne plany, których nie chciał zdradzać.

Dyrektor przesunął wzrokiem po siedzących, na sekundę zatrzymał go na głowie Ługaja, po czym rzekł:

– Proszę, koledzy. Jak się czujecie, psychicznie i fizycznie? Jako już zastraszeni czy jeszcze niezupełnie? Bo mam tutaj ofertę z jednego instytutu – dotknął palcem dokumentu na biurku. – Gotowi są u siebie podjąć pracę nad katalizatorem.

– Wykluczone! – zawołał Sawicz, a Sosnowiecki dodał stanowczym tonem:

– Przecież my niedługo skończymy. Nie ma żadnego sensu, żeby tamci zaczynali całą robotę. Odsunie to termin uruchomienia produkcji amoniaku W-154 o pół roku, jeżeli nie rok.

– Jasne – zgodził się Jabłoński.

– A pan? – Zawadzki spojrzął na głównego technologa. – Jako najświeższy poszkodowany.

– Nie możemy nikomu oddawać pracy nad katalizatorem – odparł Ługaj, wyraźnie przejęty i zirytowany.

– Ja rozumiem, że w niejednym instytucie zajmą się tym bardzo chętnie. I z pewnością zrobią dobrze. Ale przecież my też mamy swoją ambicję! I ładny kawał roboty już w to wsadziliśmy.

Spojrzenia Sawicza i Jabłońskiego skrzyżowały się błyskawicznie. Janusz uśmiechnął się, ale nic nie powiedział. Obaj myśleli to samo: że akurat Ługaj w tej robocie ma najmniejszy udział. Niech mu będzie – pomyślał – Dobrze, że nas popiera.

– Jeżeli ktoś z kolegów nie ma... no, powiedzmy, tych ambicji, niech powie otwarcie – rzekł dyrektor. – Przesunę go do innego wydziału.

– Żartuje pan – mruknął Sawicz. – Teraz, kiedy już finiszujemy?

Skierko wodził wzrokiem po twarzach, coś sobie w pamięci notował i rozważał. Nie odzywał się, dopóki Zawadzki po raz drugi niecierpliwie spytał go, co wobec tego radzi.

– Podziwiam wytrwałość i odwagę tu obecnych – odparł. – Radzić mogę tylko, aby każdy z panów w miarę możliwości nie zapuszczał się wieczorami na dalsze spacer, chyba z psem. Aby przed pójściem spać wyłączał gaz tym dużym kluczem i chował go pod poduszkę. Aby, póki praca nad katalizatorem nie zostanie zakończona, nie jeździł samochodem, swoim czy kolegi. Aby

przy najmniejszym podejrzeniu jakiegoś przestępczego działania natychmiast mnie zawiadamał. Nawet jeżeli rzecz wyda się błaha lub śmieszna. Tyle mogę radzić. Natomiast do mnie i do moich współpracowników należy zapewnienie wam bezpieczeństwa. I do tego dołożę wszelkich starań.

– Jak pan to rozumie? – spytał Sosnowiecki. – Nie przydzielili pan nam chyba po „gorylu”, przepraszam za to określenie.

– Nie – Skierko roześmiał się. – Nawet gdybym chciał, nie dysponujemy tak liczną kadrą. Przeciwnie, są wolne etaty.

– Więc jak pan chce ich ochraniać? – Zawadzki był zaintrygowany.

– Postaramy się – odrzekł kapitan wymijająco. Wstał, pożegnał zebranych i wyszedł.

– Całe szczęście, że mają wolne etaty – powiedział Sawicz z przekąsem. – Wcale nie chcę być pod milicyjną obserwacją.

*

Brzezowski skrzywił się, zaprzeczył ruchem głowy.

– Nie znasz się na tym – powiedział. I choć zazwyczaj starał się nie sprzeciwiać w niczym szefowi grupy GET, w niektórych sprawach okazywał upór, wynikający po prostu z doświadczenia i umiejętności zawodowych.

Meres przysiadł na stołku kuchennym, popatrzał

wzgardliwie na skromne wyposażenie lokalu: stara odrapana, kuchnia na węgiel, kilka prymitywnych mebli, trochę garnków. W pokoju Brzezowskiego było podobnie. Wszystko tu wyglądało jak w pijackiej melinie na peryferiach miasta. Rozwalone wyrko z brudną pościelą, dwa fotele z wyliniałym, postrzępionym obiciem, smętnie zwisające – pewnie nigdy nie prane – firanki. Odbijał od tego duży kolorowy telewizor i radio z magnetofonem.

– Mieszkasz jak w chlewie – osądził. Był tu po raz pierwszy, spotykali się zwykle w willi Meresa.

Brzezowski podrapał się po policzku i uśmiechnął z zażenowaniem. Uśmiech miał łagodny, niemal dziecięcy.

– Nie zależy mi – odparł. – Przecież to tylko przejściowe.

– Mało masz pieniędzy?

– Jeszcze mało. Za mało, aby ruszyć w świat. Zwłaszcza „zielonych”. John nie dał znać?

– Będę się z nim widział w przyszłym tygodniu. Powinien nie poskąpić dolców za te wszystkie akcje... Cholera, zabił się nie ten, cośmy chcieli.

– A kto mógł wiedzieć, że pożyczysz wóz?

– Zresztą mniejsza o to. Mam jeszcze dwie kapsułki. Ale trzeba trochę odczekać. Więc co z tym wybuchem?

– Musi być nitrogliceryna. W Zakładach jest techniczna, ma żółtawy kolor, gęstość oleju i podobno smak słodkawy, ale nie próbowałem – roześmiał się. – W wydziale, w którym pracuję, nie używa się nitrogliceryny. Mają w magazynie, byłem w nim kilkakrotnie i obejrzałem sobie wszystko, co trzeba. Jeżeli coś robić, to tylko z nią. Jest jednym z najsilniejszych środków wybuchowych. Kłopot tylko z obchodzeniem się z tym, bo i trująca, i piekielnie wrażliwa na tarcie, w ogóle ruch.

Meres patrzył na niego uważnie, a potem stwierdził:

– Mirek, ty jesteś szaleniec-piroman.

– Może i jestem. Kocham się w tych rzeczach, rozumiesz? Pewnie kiedyś przy robocie wylecę w powietrze i nawet nie będzie co zbierać.

– Z tym się nie śpiesz. Mamy jeszcze sporo pracy dla Johna i jego zwierzchników. Przyjdzie taki dzień, że ty zagrasz główną rolę w GET.

Podniósł się ze stołka, przeciągnął i ziewnął.

– Pójdę już. Dochodzi druga, niedługo zacnie świętać. Przypominam ci o bezwzględnej konspiracji. Nie chodź do warsztatu Darka ani tym bardziej do mnie. W razie potrzeby dam wam znać.

Wyszedł, a Brzezowski starannie zamknął za nim

drzwi i wrócił do kuchni. Napił się zimnego mleka, odechciało mu się spać. Rozmowa o przewidywanym „dniu głównej roli” rozpałała mu wyobraźnię. Tak, był szaleńcem-piromanem! Od dawna pociągały go straszliwe siły, ukryte w materiałach wybuchowych, drzemiące w jakiejś drobiny płynu, masy czy proszku. Siły, które mógł wyzwolić jednym naciśnięciem kontaktu, wyrzutem ręki – pozwolić im zniszczyć wszystko dokoła, zburzyć, obrócić w pył i ruinę. Nie myślał przy tym nigdy o ludziach. Pragnął, aby rozsypywały się domy, żelazne konstrukcje, mury, stadiony... Ludzie mogli być co najwyżej przeszkodą w tych planach, a przeszkody potrafił usuwać.

Podszedł do okna w pokoju, otworzył. Widział stąd hale, kominy, konwertory i piece Zakładów, w których pracował. Jeżeli bardzo wytężyć wzrok, można też było dostrzec daleki zarys niskiego, wgłębionego w ziemię budynku laboratorium. Jeszcze nie zaczęło świtać, ale niebo pokryła już jasnorożowa mgiełka; budziły się ptaki.

Brzezowski patrzył na rozległe tereny „C-12” i obliczał. Nie znał kubatury wszystkich hal, sumował na oko. Najważniejsze jednak było laboratorium, chociaż tak naprawdę to marzył o eksplozji na całym terenie, we wszystkich budynkach z administracyjnym włącznie.

Zapytał sam siebie, czy byłoby mu żal, i odpowiedział: Tak, gdyby wybuch się nie udał. Tylko wtedy.

Rzucił się na tapczan, przymknął oczy. Trzeba mieć przygotowany paszport – myślał – i wizę do któregoś z państw zachodnich, bo do USA tak od razu nie dadzą. John mu pomoże.

Wysadzenie w powietrze Zakładów z pewnością otworzy drogę do kariery w Stanach. Tam, wreszcie będzie mógł zrealizować dokładnie marzenia o Wielkiej Eksplozji.

*

Waldemar Meres wszedł do willi, odziedziczonej po herbowych przodkach, jak twierdził, choć starzy mieszkańcy Golewic ani rusz nie mogli sobie tych przodków przypomnieć. Willa była niewielka, z dwoma mansardowymi pokojkami na piętrze i trzema obszernymi na dole. Ten dół Meres wynajmował dalekim krewnym; ich świetnie prosperujące szklarnie pozwalały mu ściągać z rodziny wysokie komorne. Sam urządził się na górze. Krewni wiosną, latem i jesienią po całych dniach pracowali poza domem, zimą wyjeżdżali w góry, tak że nie miał z nimi żadnego kłopotu. Nie wtrącali się do jego trybu życia, obchodził ich tylko zarobek.

Trwało jeszcze upalne lato; mieszkańcy parteru

wstawali o świcie i zaraz wyjeżdżali zielonym tarpanem do szklarni za miastem. Waldemar minął ich na progu, pozdrowił niedbale, wszedł do holu. Łazienkę miał już teraz do swojej dyspozycji; niedawno wyposażył ją w błękitne kafelki, gazowy piecyk i ogromne lustro, w którym lubiły się przeglądać jego przelotne sympatie. Dwukrotnie rozwiedziony, zrezygnował z trzeciego małżeństwa, doszedłszy do wniosku, że do tej instytucji zupełnie się nie nadaje.

Wziął prysznic, w obszernej kuchni zaparzył sobie kawę i zaniósł na górę. Przez chwilę myślał o Brzezowskim, trochę zaniepokojony dzisiejszą rozmową. Bał się, że szaleńcze projekty krostowatego chłopaka mogą zepsuć plany grupy GET, starannie ułożone i zaakceptowane przez szefów zza oceanu. John, kiedy się ostatni raz spotkali w jednym z krakowskich hoteli – John za każdym razem zmieniał nie tylko hotel, w którym mieli rozmawiać, ale i miasto – przestrzegł przed jakąkolwiek samowolą ze strony członków GET.

– Musicie postępować konsekwentnie według planu – powiedział. – Tylko wtedy możemy wam zapewnić bezpieczeństwo i pomoc. Pamiętaj, żadnych wyskoków indywidualnych! Trzymaj swoich chłopaków za mordę. Najlepiej powiedz im, że w przeciwnym razie nie dostaną pieniędzy.

Meres patrzył na Amerykanina z uległością w oczach i przytakiwał. Oczywiście, już on przypilnuje grupę, wszystko będzie okay. Zależało mu na dolarach prawie tak, jak na własnym życiu. Zebrał już sporą sumkę, ukrył tak, że – był tego pewien – nikt poza nim ich nie znajdzie, ale chciał otrzymać daleko więcej. Toteż gotów był za każdą cenę wymusić w GET posłuszeństwo i dokładne wypełnianie kolejnych punktów planu.

Teraz, popijając mocną kawę, rozważał, czy by na miejsce Brzezowskiego nie wciągnąć do roboty kogoś innego. Nie szaleńca-piromana, ale bardziej opanowanego technika z dobrą znajomością materiałów wybuchowych. To prawda, że Brzezowski wiedział za dużo i można się było go pozbyć tylko w jeden sposób. Taki wniosek Meresa nie przeraził, likwidacja niewygodnych ludzi leżała w planach GET. Rzecz jednak w tym, że ów nowy musiałby być absolutnie pewnym. Póki co Waldemar takiego człowieka nie znał. Trzeba więc było pilnować Mirka; trochę wariat, ale jak dotąd posłuszny.

Rozdział 4

Kapitan Jerzy Skierko siedział wieczorem w kenie i czekał na pilny telefon z Warszawy. Po przeniesieniu do Golewic zajął wprawdzie mieszkanie służbowe

swego poprzednika, ale poprzednik ten nie miał w domu aparatu. On twierdził, że mu nie zakładają, „z braku kabli”, podwładni sądzili, że chce mieć w nocy spokój. Tak czy owak Skierko przez pewien nieokreślony bliżej czas musiał – aby gdziekolwiek zadzwonić – korzystać z telefonów służbowych.

Siedział i przebiegał w pamięci rozmowę w gabinecie dyrektora Zawadzkiego, która miała miejsce onegdaj. Właściwie kapitan nie brał w niej wyraźnego udziału, gdyż odzywał się rzadko i powściągliwie. Słuchał natomiast z uwagą, co mówili czterej inżynierowie i Zawadzki. Słuchał – i patrzył na twarze.

Czy można było z nich wyczytać prawdę? Zastanawiał się nieraz, w jakim stopniu w ogóle jest to możliwe. Widywał zbrodniarzy o twarzach pięknych i łagodnych; fałszerzy, których z wyglądu śmiało określić by można jako eleganckich, kulturalnych panów; włamywaczy o delikatnych rękach i twarzy wrażliwego chłopca. Znał również ludzi, których wygląd mógł wystraszyć odważnego, a którzy kryli w sobie wiele dobroci i uczciwości.

Nie ma prawdy o nas – myślał. – Każdy człowiek nosi w sobie kilka twarzy: na własny użytek, dla innych, zależnie od sytuacji, otoczenia. Nie wolno śpieszyć się z sądem o ludziach.

Tak, ale Skierko musiał się śpieszyć. Myślał więc teraz o tamtych czterech. Najbliżej dyrektorskiego biurka siedział Marian Sosnowiecki. Czterdziestoparoletni, wysoki, trochę przygarbiony o zapadłej twarzy z długim cienkim nosem i niebieskimi oczami, głęboko osadzonymi pod krzaczastymi brwiami. Rudobloni broda i wąsy. Nerwowy, chorowity. Wybitnie zdolny chemik. Ma żonę Agnieszkę, pielęgniarkę, i półtorarocznego syna Jacka. Nie dba o elegancję, nosi najczęściej drelichowe spodnie i koszule w dużą kratę. Łatwo nawiązać z nim kontakt, chyba trudno byłoby się zaprzyjaźnić. W sprawie – dwukrotna ofiara (napaść i pożar).

Obok Sosnowieckiego – Zbigniew Sawicz. To w pewnym, stopniu kontrast Mariana. Też wysoki, ale silnie zbudowany o sylwetce sportowca; twarz przystojna, opalona, ciemne oczy, czarne gęste brwi zrosnięte w jedną linię. Najmłodszy z czwórki. Niespokojny, żywe bystre spojrzenie, nie potrafi długo usiedzieć na miejscu. Impulsywny, łatwo wpada w gniew i równie łatwo się śmieje. Dobry pracownik, pełen zapału, choć zdarza mu się popełniać błędy wskutek lekkomyślności i typowo polskiego „jakoś to będzie”. Nieżonaty, podobno kobieciarz; jeżeli, to w każdym razie nie w Golewicach. Lubi ładnie się ubrać. Ma, a raczej miał, samochód. Nie stroni od kieliszka. Zmienny w nastrojach. Czy i w

poglądach? W sprawie – podtruwany jakąś mikrokap-
sułką.

Po lewej stronie biurka siedział Janusz Jabłoński. Wzrostu raczej małego, krępy, twarz rumiana, zdrowa. Rysy nieładne, za to prześliczne szare oczy w oprawie długich, kobiecych rzęs. Mówią, że zaręczony, ale ta dziewczyna nie przyjechała tutaj ani razu, mieszka w Warszawie. Jako pracownik Jabłoński wykazuje dużą wiedzę, systematyczność i dokładność. Jeden z tych, co w szkole bywają prymusami. Nie tyle wskutek zdolności, ile pracowitości. „Kujon”. Wolniakowie lubią go za życzliwość i spokojny tryb życia. Ale podobno czasami wpada w gwałtowny gniew z nieobliczalnymi konsekwencjami. Ubiera się starannie, choć bez gustu. Pije mało, z umiarem. W sprawie – niedoszła ofiara wybuchu gazu.

Wreszcie czwarty inżynier – Waclaw Ługaj, główny technolog. Tęgi, tłusty na twarzy, wiecznie spocony. Rysy regularne, byłby przystojny, gdyby nie ta warstwa tłuszczu. Widać matka go przekarmia. Zdolny, dobry chemik. Gadatliwy, sprytny. Mówią, że karierowicz. Cóż, to wada lub zaleta, zależy jak na to patrzeć. Nie lubiany przez tamtych z bliżej nieznanym powodów. Doceniany przez przełożonych. W sprawie – ofiara napadu.

Były to wszystko oceny i spostrzeżenia powierzchowne, Skierko zdawał sobie z tego sprawę. Opierał

się w nich zarówno na władnych wnioskach, jak i na rozmowach z różnymi ludźmi. Ustalił, że inżynierowie pracujący nad katalizatorem dokładali ogromnych starań, aby zakończyć roboty możliwie szybko. Jednak istniał ktoś, kto usiłował im w tym przeszkodzić. Parokrotnie mu się to udało. Czy jest możliwe – myślał kapitan – że ten ktoś znajdował się w ich gronie?

Nie brał w ogóle pod uwagę Zawadzkiego. Dyrektora znali szefowie Skierki, i to z najlepszej strony. Dwaj robotnicy: Kula i Stawicki, mieli tak niewielki wpływ na przebieg prac, że tajemniczy osobnik słusznie pomyślał ich w zbrodniczym działaniu. Co nie przeszkadza, że któryś z nich mógł z nim się kontaktować. Udzielać informacji.

Zastanawiające – snuł dalej niewesołe refleksje – że oba napady i próba otrucia nie miały właściwie żadnych groźniejszych skutków. Uderzenia kamieniem były dziwnie lekkie; od mikrokapsułki zabił się nie Sawicz, lecz technik, który z katalizatorem nie miał nic wspólnego. Pożar wybuchł w dogodnym dla Sosnowieckiego momencie, kiedy znajdował się daleko od domu. Jabłoński nie zginął od wybuchu gazu, lecz zbudził się w porę, nie zapalił światła...

Zmowa? Tych czterech? Przeciw komu? Ano, jasne: przeciw szybkiemu uruchomieniu produkcji. Dlatego

tak stanowczo, tak gwałtownie sprzeciwili się propozycji oddania pracy do instytutu, bo wówczas nie mieliby wpływu na jej opóźnianie. Na przeciąganie do granic możliwości. Ktoś ich do tego namówił.

Zapłacił?

W momencie kiedy doszedł do tak dramatycznego wniosku, zadzwonił telefon. Wyciągnął rękę po słuchawkę.

– Kapitan Skierko... Tak, słucham... Melduję się, towarzyszu pułkowniku...

Rozmowa, biegnąca kablem służbowym, trwała równe dwadzieścia minut. Kiedy odłożył słuchawkę, miał mokrą koszulę i zaschnięte wargi. Siedział czas jakiś, notując sobie tylko wiadomymi skrótami to, co usłyszał. – A jednak! – mruknął w pewnej chwili. Choć musiał teraz przyznać, że w swych poprzednich wnioskach zapędził się zbyt daleko.

*

Noc przysła bezgwiezdna, parna, nie drgnął ani jeden listek na drzewach, umilkły nawet ptaki. Zanościło się na burzę. Ludzie, wymęczeni upałem, który trwał niemal bez przerwy od paru miesięcy, spali niespokojnie przy szeroko pootwieranych oknach. O pół do pierwszej Golewice pogrążyły się w zupełnej ciszy. Dlatego nikt nie widział kilku postaci, przemykających

się pod murami, daleko od rzadkich zresztą latarni; nikt też nie słyszał ich kroków.

Meres czekał przy furtce, w oknach na piętrze nie paliły się światła. Lokatorzy z parteru wyjechali poprzedniego dnia w interesach do Białegostoku, wrócić mieli dopiero pojutrze. Wolał jednak mieć się na baczności. Wpuszczał więc po kolei swoich nocnych gości, za ostatnim zamknął furtkę na klucz, a kiedy weszli na górę – również drzwi wejściowe. Spuścił też, z łańcucha dwa wilczury, upewniwszy się w ten sposób, że nikt obcy do domu nie wejdzie.

Ługaj, Gniat i Brzezowski rozsiedli się w gabinecie, który był jednocześnie salonem, jadalnią, czym kto chciał. W pokoju panował półmrok; niewielka lampa z zielonkawą żarówką, ustawiona na podłodze, rzucała trochę niesamowite światło, nadając twarzom księżycowy albo, jak kto woli, trupi koloryt. Spoglądali też na siebie ukradkiem i nieco podejrzliwie.

Waldemar zmienił tajemniczy nastrój, wnosząc butelki coli i piwa oraz szklanki. Nie zawsze to robił, toteż wszyscy trzej pomyśleli, że spotkanie będzie ważne, a Brzezowskiemu przypomniało się powiedzenie o jego głównej roli i oczy mu zabłyśły.

Okazało się jednak, że tym razem kto inny miał tę rolę odegrać.

– Nikogo nie spotkaliście? Nikt za wami nie szedł?

– Meres był ostrożny. Zbyt wiele planowali, aby jakaś drobna, głupia wpadka miała wszystko przekreślić.

– Nikt – odparł za tamtych Gniat. – Cicho i pusto.

– Dobrze. Wobec tego – spojrzał na Ługaja. – Mów!

Grubas mościł się przez chwilę w fotelu, rozpiął koszulę, bo w pokoju mimo otwartych okien panował upał, i powiedział:

– W przyszłym tygodniu wyjeżdżam do Paryża. Służbowo. W sprawie zakupu przez nasze tamtejsze przedstawicielstwo brakujących części do maszyn. Mniejsza zresztą o detale – zniecierpliwiał się. Strużka potu spłynęła mu po czole, spelzła na nos i zawisła dużą kroplą. Wylał ją wierzchem dłoni, popił piwa. – W związku z wyjazdem chcę wam teraz przedstawić swój plan. Jeżeli się uda, przyniesie nam czterem tu siedzącym kupę forsy.

Gniat wyraźnie się ożywił, Mirosław również. Nie nadszedł jeszcze jego wielki dzień, ale o pieniądzach zawsze miło posłuchać, choć stokroć lepiej je dostawać.

– Otóż znam w Paryżu – ciągnął Ługaj – z tytułu swoich dość częstych wyjazdów służbowych pewną firmę. Nie podaję nazwy, to dla was nieistotne. Firma jest w każdym razie amerykańska. Zajmuje się pośrednictwem w zakupach tego wszystkiego, co jest potrzebne

do produkcji nawozów sztucznych. Przede wszystkim NPK.

– Co to jest? – zainteresował się Dariusz.

Ługaj spojrzał na niego z niesmakiem.

– Już byś się nauczył, mieszkasz w Golewicach tyle lat. Skrót: azot, fosfor, potas.

– Nie przerywajcie! – wtrącił Meres. – To są niezwykle ważne sprawy. Uważam, że plan Wacława jest genialny. Mów dalej.

– W interesie tej firmy, nazwijmy ją dla ułatwienia XYZ, leży, aby w Polsce... w każdym razie w Golewicach, bo na już pracujące fabryki właściwie nie mają wpływu, więc aby w Golewicach nie rozpoczęła się produkcja. Sądzę zresztą, że tak do końca tego przeprowadzić się nie da, kiedyś musi ruszyć. Natomiast możemy termin rozruchu odciągnąć o rok. Nawet dłużej.

– W jaki sposób? – spytał Dariusz.

– Po prostu. Amoniak W-154 potrzebuje katalizatora. I jak długo nie będzie go miał...

– Dobrze, ale czy jesteśmy w stanie wpłynąć radykalnie na to opóźnienie? Próbowaliśmy, że, tak powiem, unieszkodliwić inżynierów. Nie udało się. Owszem, był pożar, szpital i tak dalej, ale w rezultacie wszyscy trzej pracują. Mamy ich zabić?

Ługaj machnął ręką niecierpliwie, skrzywił się. Nie lubił tak otwartego stawiania sprawy.

– W Paryżu – mówił dalej – zjawię się w kierownictwie firmy XYZ i zaproponuję im następujący układ. My tutaj spowodujemy opóźnienie produkcji o półtora roku. Może o dwa lata. Znam facetów z tej firmy; są w dużym stopniu uzależnieni od kredytu banków amerykańskich. Kiedy dowiedzą się, w czym rzecz, chwycą przynętę.

– Ale nie za darmo! – wtrącił Meres z uśmiechem.

– Jasne – przyświadczył Ługaj. – To ich musi kosztować. Na nas czterech po dwadzieścia tysięcy dolarów. Zresztą będę zaczynał od stu tysięcy; jeżeli całkiem nie wyjdzie, zjadę do osiemdziesięciu. Na taki biznes firma dostanie pieniądze.

Umilkł i popatrzał na nich z triumfalną miną. Jednakże Gniat miał wątpliwości.

– Z pewnością nie dadzą z góry. Może niewielką zaliczkę, a resztę po roku czy półtora. W jaki sposób, powtarzam, uda się nam opóźnić termin wyprodukowania katalizatora? Przecież pan nie pracuje sam, tam są ci trzej. Będą przyjeżdżać kontrole, a najgorsze te wojskowe. Mają fachowców, wtykają nosa w każdy kąt, wszystko widzą.

– Przemyslałem i to – odparł Ługaj. – Trudno mi tu wyjaśniać szczegóły techniczne, na to trzeba być chemikiem. W każdym razie, a pan jako pracownik Zakładów – zwrócił się do Brzezowskiego – będzie mi pomagał,

jestem absolutnie pewny, że kolejne próby z katalizatorem nie powiodą się. Zresztą, czy myślicie, że dotychczas tego nie robiłem? – Potoczył po nich wzrokiem, roześmiał się. – Przecież gdyby nie moje, nazwijmy je: działania wsteczne, już od miesiąca katalizator byłby gotowy. Moi szanowni koledzy-chemicy ani rusz nie mogą zorientować się, na czym polega błąd. A to proste: kiedy nikogo nie ma w laboratorium, ja w bardzo fachowy sposób psuję to, co oni zrobili. Jestem lepszym chemikiem od nich! Dlatego do tej pory nikt tego nie wykrył. Jako główny technolog mogę swobodnie poruszać się po terenie Zakładów o każdej porze dnia i nocy. Zwłaszcza wtedy, kiedy rzekomo jestem w Warszawie, Szczecinie czy gdziekolwiek poza Golewicami. Owszem, jestem tam, ale kilka godzin wcześniej albo później. Tego mi nikt nie udowodni, nikt mnie nie rozlicza z godzin. Za wysokie stanowisko służbowe.

Brzezowski patrzył na mówiącego i gryzł wargi. Czuł dla Ługaja podziw, ale i zazdrość. Poza tym trochę obawiał się tej pomocy w opóźnieniu. Pracował w zupełnie innym wydziale „C-12”, do laboratorium nie miał wstępu. Powiedział to teraz, dodając, iż swoją rolę w działaniu GET widzi inaczej. Nieco później.

– To znaczy, jak? – spytał Ługaj.

– Przecież już to ustaliliśmy – odrzekł za pirotechnika Meres. – W końcowym momencie naszej akcji

Mirek użyje materiałów wybuchowych. Wyszadzi się w powietrze całe laboratorium, i po krzyku. Nastąpi to wówczas, kiedy już nie da się dłużej opóźnić produkcji.

– Pamiętam. To zresztą doskonały atut w rozmowie z amerykańską firmą. Jeżeli powiedziałem, że Brzezowski będzie mi pomagał, to oczywiście w taki sposób, aby nikt go za rękę nie złapał. I nie w Zakładach. Mogę potrzebować od czasu do czasu jakiejś małej, zupełnie maleńkiej eksplozji... Mikroskopijnej miny zegarowej, nie do wykrycia po wybuchu. Czegoś w tym rodzaju.

Mirosław odetchnął z ulgą. Owszem, takiej pomocy może się podjąć, czemu nie. Zadał jednak pytanie, na które Ługaj ani Meres nie byli przygotowani.

– Ta rozmowa z firmą amerykańską nie znajduje się, oczywiście, w planach działania grupy GET. Czy wobec tego musimy je jakoś uzupełnić? Mam na myśli, czy John lub ktoś od niego zostanie o tym powiadomiony?

Nastąpiła chwila ciszy. Waldemar spojrział na głównego technologa, potem na tamtych. Chciał wpierw przekonać się, czy myślą tak, jak on, a dopiero, potem odpowiedzieć. Zdawało mu się, że rozumie ich wzrok, więc rzekł powoli:

– Sądzę, że chyba... Ostatecznie, każdy plan należy rozwijać w miarę upływu czasu i różnych okoliczności.

Dodawac coś nowego. Jeszcze wczoraj nikt z nas nie wiedział o tym, co wymyślił Waclaw. John zjawi się w Polsce najwcześniej za dwa tygodnie.

– A tymczasem ja wyjeżdżam za parę dni – prze-rwał Ługaj. – Nie ma czasu na pytanie o zgodę. Wątpię zresztą, żebyśmy ją otrzymali – dodał ciszej.

– Mnie również wydaje się, że nie – powiedział Gniat. – Byliby przeciwni choćby ze względów zasad-nicznych: skąd znamy firmę XYZ, dlaczego ryzykujemy ujawnienie akcji... Diabli wiedzą, czy nie ma kontro-wersji między szefami Johna a tą firmą. John z pewno-ścią nie pozwoliłby ciągnąć z niej forsy. A w ogóle to czy on musi o wszystkim wiedzieć? Jest skąpy, wydzie-la ochłapy dolarowe, wciąż tylko żąda i żąda.

– Nie musi – zgodził się Brzezowski. – Gdyby zresztą z jakichś tam powodów dowiedział się, to prze-cież opóźnianie produkcji jest i tak naszym zadaniem. A że chcemy zarobić za to samo dwa razy? – roześmiał się, inni mu zawtórowali. – Ja na to jak na lato!

– Pozostaje uzgodnić szczegóły – rzekł Ługaj. – Jadę najpierw do Warszawy, stamtąd lecę do Paryża. Z Waldkiem omówimy hasło porozumiewawcze, może nawet jakiś szyfr.

– Nie! – zaprotestował Gniat. Gniewnie ściągnął brwi.

Meres spojrział na niego ze zdziwieniem.

– O co chodzi?

– Hasło i szyfr uzgodnimy we czterech.

Ługaj sapnął, wzruszył ramionami. W zasadzie było mu wszystko jedno. Ale Meres nagle poczuł się urażony. John wyznaczył go na przywódcę grupy, z nim – i tylko z nim – się kontaktował, ani Dariusz, ani Mirosław nie znali Amerykanina i nigdy nie widzieli.

– Jak mam to rozumieć? – spytał ostrym tonem.

Brzewowski przypatrywał się to jednemu, to drugiemu; gotów był stanąć po stronie kolegi, bo znali się od dziecka i przyjaźnili, bał się jednak Meresa. Rzucił okiem na Ługaja, który spokojnie dopijał piwo.

– Zwyczajnie – odparł Gniat. – Tak, jak powiedziałem: ustalimy wszystko we czterech. Nie we dwóch.

– Chłopaczek nam nie ufa – zauważył Ługaj. – Interesujące.

Waldemar zastanawiał się przez chwilę. Doszedł do wniosku, że jego osobisty autorytet nie jest narażony na szwank, gdyż propozycję kontaktowania się we dwóch wysunął Ługaj, nie on. Poza tym jakiegokolwiek zadrażnienie pomiędzy członkami grupy mogło mieć nieobliczalne skutki. Uśmiechnął się, skinął głową.

– Oczywiście, że we czterech. Nawet od razu. Mów, Wacek, co tam obmyśliłeś?

– Z Paryża natychmiast po przyjeździe zatelefonuję...

nie, to niebezpieczne. Najlepiej depeszę. „Dojechałem szczęśliwie”.

– Po co? – zdziwił się Brzezowski. – Jeżeli będzie katastrofa samolotowa, to i tak się dowiemy. Z radia czy z gazety.

– Tfu, wypłuj to słowo! – rozgniewał się główny technolog.

– Nikt z nas tego ci nie życzy – rzekł Meres – ale rzeczywiście nie ma potrzeby depeszować o przyjeździe.

– On przyzwyczajony, bo zawsze depeszuje do mamusi – zachichotał Dariusz. – Taki stary maminsynek.

Ługaj poczerwieniał z irytacji, ale że nie mógł zaprzeczyć, więc udał, że nie słyszy. Ciągnął dalej:

– Dobrze. Odezwę się, jeżeli uzyskam zgodę firmy XYZ. Najlepiej byłoby wysłać list, tylko że teraz poczta często nawala i możecie dostać go po paru tygodniach. Więc depeszę. Powiedzmy taką... – Namyslał się chwilę. – „Siostra zdrowa, już jest w domu”. Niby że wyszła ze szpitala. To będzie znaczyło, że zgadzają się na sto tysięcy. Jeżeli na mniej, to tylko: „Siostra zdrowa”. Ja się mogę zatrzymać dłużej w Paryżu, ale wy tutaj już będziecie wiedzieli, że załatwione. Teraz tak. Ja już słyszałem o podobnej transakcji i wiem, że Amerykanie lubią sprawdzać. Dlatego może się zdarzyć; że zanim wrócę, zjawi się tutaj jakiś ich wysłannik. Podam mu

tylko jeden adres, Waldka. Trudno – spojrzał przelotnie na Gniata – nie mogę wszystkich, rozumiecie chyba.

– Niech ten facet powie mi hasło od ciebie – rzekł Meres. – Inaczej nie będę z nim rozmawiał.

– Nie wiem, oczywiście, kto to będzie, ale hasło takie: „Malwina wygrała milion”. Twój odzew: „Malwina nigdy nie gra na loterii”. Zapamiętasz?

– Jasne. – Powtórzył dwukrotnie, zanotował na skrawku papieru i obiecał: – Zaraz spalę. Mam pamięć wzrokową, muszę popatrzeć.

– A jak ten obcy chce nas sprawdzać? – spytał Mirosław.

– Nie wiem. Może po prostu będzie chciał obejrzeć Zakłady, naturalnie z zewnątrz. Może być i tak, że firma zaproponuje dyrekcji sprzedaż katalizatorów i dobrze na tym zarobi. Weźcie pod uwagę, że Zawadzki niedługo znajdzie się w podbramkowej sytuacji. Z jednej strony my nie dopuścimy do uruchomienia produkcji, z drugiej – dostanie ofertę kupna. Wprawdzie cena będzie zawrotna, ale trzeciego wyjścia nie znajdzie. Przekazać teraz czy za miesiąc robotę do instytutu, to by znaczyło opóźnić produkcję co najmniej o rok. Więc wydobędzie dolary choćby spod ziemi. Firmie to się tak opłaci, że nie poskąpi nam pieniędzy.

*

Skierko umówił się z dyrektorem „C-12” na rozmowę w jego mieszkaniu. Prosił o to, a Zawadzki od razu się zgodził, gdyż rozumiał przyczynę. Od pewnego czasu teren Zakładów stał się dla niego podejrzany; wprawdzie bronił się przed tą myślą, ale bezwiednie wietrzył w każdym pracowniku wroga, a w pokojach administracyjnych szukał oczami ukrytych mikrofonów.

– Wiem, że to nonsens – powiedział do kapitana, kiedy wieczorem usiedli w obszernym, starym mieszkaniu, zajmowanym ongiś przez rodziców dyrektora, a podobno jeszcze i przez dziadków. Dom, parterowy, o niskich podłużnych oknach z kafłowymi piecami i malowaną podłogą, przysiadł ze starości i trzeba go było podpierać, łątać, zatykać dziury. Mimo to Zawadzki nie chciał przeprowadzić się do nowoczesnego lokalu. – Nawet nieładnie, myśleć tak o swoich podwładnych. Załoga jest dobra, uczciwa, pracowita. Tak bardzo chciałbym, żebyście znaleźli tego drania, który wziął się na Zakłady i żeby się okazało, że nie ma on nic wspólnego z moją załogą!

Skierko pokiwał głową, wcale nie przekonany.

– Rozumiem – odparł. – Założmy jednak, że byłoby odwrotnie?

Zawadzki zachnął się, zapalił papierosa.

– Pan już kogoś podejrzewa? Bo ja nie.

– Wolno panu. Od podejrzewania i szukania dowodów winy jestem ja – uśmiechnął się przelotnie. – Paskudne zajęcie, ale ktoś to musi robić. Bo przecież prawda jest taka, że przeciwko Zakładom ktoś prowadzi bezwzględną walkę, nie licząc się z ludzkim życiem i zdrowiem. Moim obowiązkiem jest go wykryć i uniemożliwić dywersję. Dlatego pytam jeszcze raz: czy pan ma choćby najmniejsze podstawy, żeby posądzać o to kogoś z załogi? Rozmawiamy prywatnie.

Szef „C-12” milczał dłuższą chwilę. Aby zyskać na czasie, wyszedł do drugiego pokoju i poprosił żonę o dwie duże, mocne kawy. Zamarudził tam, czegoś szukał, wrócił z kryształową, ślicznie rźniętą karafką i dwoma podobnymi szklaneczkami. W karafce mieniło się coś ni to granatowo, ni to ciemnym rubinem.

– Domowa – powiedział z odcieniem dumy. – Na smorodinie.

– Czarna porzeczką?

– Niech pan wpierv powącha – wyjął korek, podsunął kapitanowi pod nos. Skierko aż westchnął.

– Wspaniała! – pochwalił szczerze. – Moja matka też taką robiła. Miała jakiś tajemniczy przepis, coś tam dodawała.

– Nigdy w życiu! – oburzył się Zawadzki. – Do tej

nalewki nie wolno nic dodawać, czysty owoc i spirytus.
– Przechylił ostrożnie karafkę, napełnił do połowy obie szklaneczki. – Pańskie zdrowie!

Wypili i siedzieli przez chwilę w milczeniu, rozkoszując się smakiem. Pani Zawadzka, siwowłosa szczupła o twarzy pełnej zmarszczek i oczach przygasłych, wniosła kawę. Porozmawiali trochę we trójkę, po czym wycofała się, zamykając drzwi za sobą.

– Żona niezbyt dobrze się czuje – rzekł dyrektor. – Od śmierci naszego syna nie może przyjść do siebie, choć to już prawie sześć lat... – Zamyślił się, zgarbił w fotelu.

– Nie miał pan łatwego życia – zauważył kapitan.

Tamten podniósł na niego oczy, uśmiechnął się ironicznie.

– Ano, nie miałem. Różnie się było: i na wozie, i pod wozem. W pięćdziesiątym pierwszym poszedłem siedzieć. Po Październiku zrehabilitowano mnie, ale długo nie mogłem się pozbierać. I tamtych kilku lat nikt i nic mi już nie przekreśli. Nie wymaże z życiorysu. Mnie osobiście, bo w papierach dawno przekreślili. Ale to przecież nie to samo... Potem były spóźnione studia i praca. Kierat od świtu do nocy, bez wytchnienia. Ostatnie cztery lata z rzędu nie brałem urlopu, idiota. Dorobiłem się zawału, ale dwa zakłady puściłem w ruch. Nasz

jedyny syn, siedemnastolatek, zginął w katastrofie kolejowej. Jechał na pierwsze pomaturalne wakacje.

– To była ta katastrofa pod Tczewem?

– Tak. Pojechałem na miejsce. Musieli go wyciągać spod przewróconego wagonu... Potem żonę odwiozłem do szpitala. Prawie na rok. Myślałem, że będę szedł za drugim pogrzebem. W tym czasie uruchomiłem zakłady pod Toruniem. Tylko to mnie trzymało, ta robota, bo inaczej... No, a nie tak dawno chciano mnie stąd wywieźć na taczkach. I, czy pan da wiarę, że większość załogi nie dopuściła? Wtedy, po raz pierwszy od wielu lat, zamknąłem się w mieszkaniu i spłakałem jak dziecko. – Uniósł się z fotela, nalał do szklaneczek. Pił wolno, zapatrzony gdzieś w kąt pokoju. – Taką mam załogę. A pan chce, żebym kogoś z nich podejrzewał. Trudno, ale to zajęcie zostawiam milicji – uśmiechnął się z przymusem.

– Miał pan satysfakcję, wtedy jak załoga stanęła po pana stronie?

– Satysfakcję... Nie. To było coś więcej. Dużo więcej. – Zastanawiał się, obracał w palcach kryształowy korek od karafki. – Ja mam teraz sześćdziesiąt cztery lata. I czasami porównuję siebie do tych drzew na Nowym Świecie. Zna pan Warszawę?

– O tyle, o ile. Jakie drzewa ma pan na myśli?

– Na Nowym Świecie, przy numerach trzydzieści cztery i sześćdziesiąt cztery, zapamiętałem to dokładnie, rosną dwa drzewa. Na wąskim chodniku, przyrośnięte niemal do muru, zatruwane spalinami, kurzem, jakby opuszczone przez ludzi, ale może i nie, bo jednak żyją: co roku wiosną puszczają zielone liście. I trwają, jak na posterunku, na przekór prawom przyrody, która przecież nie znosi zmory cywilizacji, ginie od niej. A te dwa drzewa są. Ciągłe są. – Roześmiał się, trochę zawstydzony. – Widzi pan, ponieważ one rosną, ja muszę jeszcze puścić w ruch Zakłady w Golewicach. Mam termin, wyznaczony przez komisję rządową, na październik. Tego roku, oczywiście. Zastanawiałem się, czy jednak nie oddać problemu katalizatora do instytutu. Ale żal, bo ci trzej tam w laboratorium męczą się nad tym od paru miesięcy. Właściwie już kończą. Nie mogę, nie mam moralnego prawa odbierać im tej radości.

Skierko spojrział na niego uważnie.

– Powiedział pan: trzej? Przecież jest ich czterech.

Zawadzki wzruszył ramionami.

– Tak, wiem. Ale Ługaja teraz wysyłam do Paryża, ma załatwiać części do maszyn. Posiedzi pewnie ze dwa tygodnie, bo to musi potrwać. Zresztą jako główny

technolog nie mógł pracować tylko w laboratorium, miał wiele innych spraw.

– Jak pan go ocenia?

– Ługaja? Cóż, bardzo dobry fachowiec. A że go tamci nie lubią... Ich sprawa.

Kapitan pożegnał się i wyszedł. Na zakręcie ulicy spotkał patrol milicyjny, porozmawiali chwilę. Noc zapowiadała się spokojna; księżyc w pełni, jak złocisty talerz, oświetlał uśpione miasto, które jakoś wcześniej poszło spać. Z baru „Pod Kogutem” wychodzili ostatni goście, niektórzy na prostych nogach, niektórzy wprost przeciwnie. Na widok patrolu spieszenie przemykali na drugą stronę.

– Zawsze ci sami – mruknął z rezygnacją sierżant.

Skierko patrzył chwilę za oddalającymi się.

– Ten w zielonej koszuli to Gniat?

– Tak. Coraz częściej pije. Zdolny chłop, jak trzeźwy, to ma złote ręce. Wszystko naprawi. Szkoda go, zmarnuje się.

– Pogadajcie z nim, może to co da.

– Nic nie da. Już próbowałem. Ma takie okresy: dwa, trzy tygodnie pracuje i nie ma go w żadnej knajpie. A potem przez kilka dni chleje nieprzytomnie. I znowu robota. Tak w kółko. Jeszcze nigdy nie urządził awantury, nie rozbił szkła, nie wdał się w bójkę. Czasem mi się wydaje, że on po pijaku bardziej uważny niż po

trzeźwemu. Ale przecież długo tak nie wytrzyma.

Kapitan szedł potem wzdłuż parkanu, okalającego rozległe tereny Zakładów. Patrzył na ciemne, milczące hale dwóch gotowych wytwórni – kwasu siarkowego i fosforowego, w których praca mogła się rozpocząć natychmiast, gdyby... Właśnie, gdyby nie różne braki w zamontowanych już maszynach. No i ten nieszczęsny katalizator.

Może lepiej było kupić? – zastanowił się. I odpowiedział sam sobie, że największe braki ma kraj, pozbawiony wskutek restrykcji mnóstwa najpotrzebniejszych surowców, urządzeń, komponentów, a przede wszystkim dolarów. Skąd więc Zawadzki może wziąć pieniądze na kupno katalizatora...

Czuł ogromny szacunek dla tego człowieka, steranego przeciwnościami, upartego jak muł, cierpliwie pchającego do przodu, ciągle do przodu ogromny ciężar nałożonych nań zadań i gotowego ryzykować zdrowie, może nawet życie, aby doprowadzić sprawę do końca. Czuł też niemały podziw i uznanie dla trójki inżynierów, ślęczących dniami i nocami nad robotą, która nagle spadła im na kark po wyjeździe Francuzów i zerwaniu umowy.

Kanalia! – myślał o człowieku, tak podstępnie i zbrodniczo usiłującym im w tym przeszkodzić. – Z pewnością jest ich kilku, ale ktoś tym kieruje, obmyśla

następny cios, chytrze nastawia zasadzki. I płaci. Bo za darmo to można dla idei. Dla kraju w potrzebie. Ale za każdą zbrodnię trzeba płacić. Dużo.

Dochodząc już do swego mieszkania pomyślał nagle: Za co Gniat pije? Ma żonę, syna. Czy zarabia aż tyle?

*

Dyrektor wezwał do siebie Ługaja, aby uzgodnić to i owo przed jego wyjazdem. W gabinecie był też Sosnowiecki i Sawicz, chcieli przypomnieć o załatwieniu materiałów niezbędnych do pracy w laboratorium. Nie mieli wielkich nadziei, że znajdą się i na to pieniądze, zawsze jednak dobrze było wbić Ługajowi w głowę to, co dla nich najważniejsze.

– Daję panu wolną rękę w wyszukaniu odpowiednich firm i zawieraniu wstępnych, nieformalnych umów – mówił Zawadzki. – W naszej placówce paryskiej nie dzieje się dobrze. W tej chwili jest tam tylko Bieliński i sekretarka.

– Przecież było dwóch – zauważył Marian.

– Ale nie ma. Nowak złamał rękę czy nogę, diabli go wiedzą, i leży w szpitalu. Dopłatała mu się podobno żółtaczka. Tak że na ładnych kilka tygodni mamy go z głowy. Bieliński dobry chłopak, ale nie ma jeszcze wprawy. Zwłaszcza w obecnym, trudnym okresie. Z

Francuzami trzeba umieć rozmawiać.

– Znam w Paryżu parę firm – powiedział główny technolog, pociągając nosem, bo się przeziębził. – Myślę, że do dwóch tygodni mi zejdzie. Będę macał ostrożnie, sytuacja rzeczywiście fatalna.

Omawiali potem stronę finansową wyjazdu i kłócili się zażarcie: Ługaj gwałtownie, opryskliwie, z zaczerwienionym nosem i zażawionymi oczami; Zawadzki zimno, spokojnie, z oczywistą przewagą, bo wiedział, na co może pozwolić, a na co nie. Sawicz przysłuchiwał się temu z wyraźną uciechą, jego ciemne oczy pobłyskiwały.

Wreszcie Ługaj niechętnie ustąpił z placu boju, wynosząc skąpą podwyżkę diet służbowych, co i tak było osiągnięciem. Został jeszcze w gabinecie; tamci dwaj wyszli, bo śpieszyli się do laboratorium.

– Jak myślisz, czy on coś załatwi? – spytał Zbyszek, nie precyzując, o co chodzi, ale Sosnowiecki zrozumiał.

– Wątpię – odparł. – Stary nawalił mu tyle innych spraw do załatwienia, że pewnie o naszych zapomni. A te francuskie czujniki tak są nam potrzebne! – westchnął ciężko. – Żebym miał cokolwiek na koncie dewizowym, to bym kupił za swoje.

– A ja nie! – zbuntował się Sawicz. Nagle coś mu

przyszło do głowy. – Słuchaj, gdyby tak zamiast czujników indukcyjnych zastosować oporowe? Są przecież w magazynie. Drobną zmianą metody. Wtedy możemy gwizdać na Ługaja i Paryż.

*

Meres nie widział się już z Ługajem przed jego wyjazdem. Jak tylko się dało, unikali osobistych kontaktów. „Dla bezpieczeństwa” – powtarzał mu wielokrotnie John, który był dla całej czwórki wyrocznią, szefem, instruktorem, a także kasjerem. Z tego samego powodu Brzezowski nie rozmawiał z Ługajem na terenie Zakładów, mijali się obojętnie, co najwyżej technik przed głównym technologiem grzecznie uchylał czapki. Jeżeli jednak przy tej okazji jeden drugiemu zdążył szepnąć parę informacji, robili to tak niedostrzegalnie, że nikt postronny nie mógł zauważyć.

W wilię wyjazdu Ługaja do Francji Meres siedział wieczorem w domu i rozmyślał. Targały nim sprzeczne uczucia, a nie miał się kogo poradzić. Z jednej strony projekt grubasa bardzo mu się podobał, bo dostać za nic ileś tam tysięcy dolarów (taki szmal!), wydawało mu się szczytem pragnień i zaczątkiem wielkich możliwości. Z drugiej strony – przejmował go strach przed Johnem i jego mocodawcami.

Firma, o której mówił Ługaj, była amerykańska. John też był amerykański, razem z całą potężną Centralną Agencją Wywiadowczą, która wprawdzie istniała gdzieś bardzo daleko, za oceanem, ale rozciągnęła swoje macki po całej niemal Europie. Któż więc zaręczy, że te dwie instytucje się nie znają? Ługaj pójdzie, powie co trzeba, tamci każą mu dzień czy dwa poczekać, a tymczasem porozumieją się i...

Meres nie chciał nawet myśleć, co może nastąpić po takim „i”. Przejął go dreszcz, jakby w pokoju powiało grozą. Już chciał zerwać się, mimo konspiracji pobiec do Ługaja i wymóc na nim, że cofnie swój plan. Wstał nawet, podszedł do drzwi, postać chwilę i wrócił na fotel przy oknie. Dwadzieścia tysięcy dolarów! – jęknął. – Może nawet dwadzieścia pięć. Majątek! Wziąć, dobrze zaszyć w ubranie i wyjechać na Zachód. Z taką forszą przyjmą wszędzie.

Nie zdawał sobie sprawy, że właśnie na Zachodzie „taka forsa” była skromną sumą, za którą mógł żyć rok, może dwa. Oszczędnie. Co miało stać się potem, nie zastanawiał się. Sądził, że łatwo zarobi drugie tyle, zakładając jakiś sklep, biuro pośrednictwa czegokolwiek, warsztat naprawczy. W miarę rozsądny i zimno kalkulujący przyszłość tu, w Golewicach, okazywał się zupełnym ignorantem w ocenie sytuacji uciekinierów lub emigrantów na Zachodzie. Sytuacji latem osiemdziesiątego

trzeciego roku, kiedy fala euforycznej sympatii dla „udręczonych Polaków” opadała w Europie z miesiąca na miesiąc. Stawali się jedynie uciążliwymi cudzoziemcami, z którymi nie bardzo było wiadomo co robić. Pakowano ich do baraków, do obozów przesiedleńczych, gdzie sprawiali coraz więcej kłopotów.

Ale o tym Meres nie myślał. Uczepiony od pewnego czasu Johna, ślepo wykonujący jego instrukcje, poczuł się nagle jakby na rozstajnych drogach. A w dwu różnych kierunkach iść nie mógł...

Zrobiło się późno, w oknach pogasły światła. Jeżeli w ciągu kilku godzin nie skontaktuje się z Ługajem, to już nie zdąży. Tamten wyjeżdża samochodem o szóstej rano. Do Warszawy, zaraz potem do Paryża. Ale w Warszawie go już nie złapie. Raptem przypomniało mu się, że gdyby nawet zmusił Ługaja do zmiany projektu, ściągnie na siebie gniew i oburzenie Gniata i Brzezowskiego, którzy zgodzili się na ten projekt z entuzjazmem, licząc na pieniądze, a nie na rezygnację. Co im powie? Że się zląkł Johna?

Nie, aby cokolwiek teraz zmieniać, trzeba mieć ich zgodę. Tej mu z pewnością nie dadzą. A więc niech się dzieje, co chce. Zresztą – myślał, układając się na tapczanie – dlaczego John ma akurat kontaktować się z każdą amerykańską firmą w Paryżu? To nie jego biznes.

Ługaj to człowiek sprytny, rozsądny. Nie będzie narażał ani siebie, ani ich. Chyba... – Nagle poderwał się, przerażony. Ługaj mógł przecież samodzielnie pracować dla CIA, poza plecami Meresa i tamtych. Wówczas jego projekt, tak lekkomyślnie przyjęty, stałby się perfidną pułapką, nastawioną na nich trzech. Rodzajem próby.

A wtedy John nie będzie miał dla nikogo litości.

Zasnął wreszcie, śniły mu się jakieś koszmary, sale tortur, zbudził się z krzykiem. Spojrzał na zegarek, dochodziła ósma. Za późno, żeby skontaktować się z Ługajem, który od dwóch godzin jest w drodze.

– Niech się dzieje, co chce – powtórzył głośno to, o czym rozmyślał w nocy. – Jakoś to będzie.

Żeby oderwać się od tej sprawy, zaszedł w południe do warsztatu Gniata. Nie dekonspirował się w ten sposób, tutaj mógł przyjść każdy, przynosząc zepsuty sprzęt lub maszynę. Meres zabrał z domu turystyczne radio, z którego uprzednio wyjął baterie. Dariusz na widok szefa grupy GET zmarszczył brwi, zaniepokojony.

– Naprawi mi pan radio? – spytał Waldemar, podając mu aparat.

– Co mu się stało?

– Nie wiem. Po prostu nie chce grać.

Gniat wziął odbiornik, obejrzał, przelotny uśmiech

przemknął mu po wargach. Innych klientów nie było, tylko pomocnik dłubał przy maszynie elektrycznej.

– Zostaw to, idź na obiad – powiedział do chłopaka. Kiedy tamten wyszedł, Dariusz spojrzął na Meresa i mruknął:

– O co chodzi? Widzę przecież, że wyjąłeś baterie.

– O ciebie. Znowu łazisz „Pod Koguta”. I chlejesz jak świnia.

Gniat poczerwieniał, spuścił głowę. Nie mógł zaprzeczyć, więc milczał. Meres ciągnął dalej półgłosem:

– Tyle razy obiecywałeś i nie dotrzymujesz. Zdasz sobie sprawę, na co nas narażasz? Człowieku, bo ja będę zmuszony porozmawiać o tobie z Johnem. A wiesz, czym to grozi.

– Zaczekaj jeszcze – burknął. – Teraz naprawdę obiecuję ci, że przestanę. Od dziś. Zrozum, mnie tak czasami coś najdzie, tak za mną chodzi ta woda, jakby za włosy ciągnie do knajpy.

– Ale nie wolno ci pić, rozumiesz, głupcze? Nie wolno! Wygadasz się po pijanemu, ktoś posłyszcy, doniesie... Żeby mi to było ostatni raz, słyszysz? Dowiem się, że piłeś, powiem Johnowi. Niech on z tobą załatwia.

Rozdział 5

Pociąg spóźnił się o czterdzieści minut, czego Ługaj prawie nie zauważył, pochłonięty myślami o czekającym go wyjeździe do Paryża. Znał to miasto z częstych podróży służbowych, co oczywiście wcale nie oznaczało, że zna Paryż.

Kilkudniowe, pośpieszne pobyty wypełnione mnóstwem interesów, zadyszanych rozmów, transakcji, gorączkowych oczekiwań na coś lub kogoś, bieganiem od urzędu do urzędu – nie upoważniały do takiego wniosku. Ani, razu nie odwiedził Luwru, nie zajrzał na Montmartre ani na Wieżę Eiffla, obojętnie przechodził obok Łuku Triumfalnego i Notre-Dame.

– Nie mam czasu – mówił sobie, kiedy późnym wieczorem wracał do hotelu, zmęczony, czując przykry skurcz mięśni w łydkach i szum w głowie. – Może kiedyś, później.

Teraz! – myślał, machinalnie wymijając tłum przechodniów w podziemnych przejściach dworca Centralnego w Warszawie. – Teraz to wszystko odrobinę, wszędzie pójdę, będę zwiedzał bez pośpiechu. Jak tylko dogadam się z Billem albo z tym blondynem, zapomniałem jak mu... Aha, Ronald. Więc z Ronaldem. Z tym nawet lepiej zacząć, jest poważniejszy i chyba więcej znaczy w firmie.

– Jak leziesz, dziadu! – usłyszał łagodne napomnienie, kiedy w zamyśleniu nastąpił na plastikowe torby, rozłożone do sprzedaży tuż obok schodów. – Towar mi kopie, skurwiel jeden. Ślepy czy co?

Nie zareagował. Wszystko było nieważne – tu, teraz. Ważne miało się urodzić daleko stąd, w amerykańskiej firmie „Southwark”, którą niełatwo było odnaleźć na Faubourg St.Honoré, ulicy bogatych sklepów i słynnych galerii obrazów. Ługaj wiedział jednak, jak trafić do „Southwark”, nie oznaczonej żadnym szyldem, ukrytej na jednym z pięter niczym nie wyróżniającej się kamienicy. Wiedział, był tu kilkakrotnie, zawarł interesujące znajomości. Powinny były, musiały mu się przydać – tego był pewny.

W Warszawie zamierzał pozostać dwa, może trzy dni. Tyle będzie wymagało załatwienie formalności i spraw służbowych w ministerstwie. Bilet lotniczy miał już od tygodnia zamówiony. Na Filtrowej mieszkali jego, krewni, czasami u nich nocował, ale uprzykrzył to sobie. Musiał prowadzić długie, nudne rozmowy, ciotka przymawiała się o „drobiazgi” z Paryża, a wymagania miała coraz większe. Próbował tłumaczyć, że skąpy przydział dewiz nie wystarcza nawet na osobiste wydatki, a cóż dopiero na prezenty. Zresztą, zawsze przywoził to i owo matce. W końcu zirytowały go te przymawiania i przeniósł się do hotelu.

Tym razem również zamieszkał w jednym z nich, przy placu Konstytucji. Następnego dnia – był to wtorek – wstał wcześniej i po śniadaniu rozpoczął bieganie po biurach, urzędach i ministerstwie. Kiedy mu na tym zależało, potrafił argumentować rzeczowo, zwięźle, naciskać z energią, tłumaczyć tak, że jego rozmówcy bezwiednie przyznawali mu rację. Potem nie było już większych trudności z wydostaniem koniecznego podpisu, asygnaty bankowej itp.

Samolot do Paryża odlatywał o siódmej rano. We środę wieczorem zamówił taksówkę na piątą trzydziści, spakował walizkę pozostawiając tylko piżamę i przybory toaletowe, zapłacił rachunek hotelowy. Przyszła mu ochota, aby zadzwonić do Meresa, zawiadomić go, że jutro odlatuje, niech się cieszą i czekają na dolary. Powściągnął jednak tę chęć, byłoby to nierozsądne. Zatelefonował natomiast do matki, porozmawiali chwilę o sprawach domowych, niczym więcej. Tu też musiał być ostrożny, matka lubiła plotki, a znajomych i sąsiadek miała dużo.

O piątej tego czwartkowego ranka zbudził go telefon. Zaspany, lecz uprzejmy głos przypominał, że czas wstawać. Zerwał się, ubrał spiesźnie. Dopłacił do rachunku rozmowę z Golewicami. Wiedział, że śniadania o tej porze nigdzie nie dostanie, trzeba było poczekać,

aż poda mu je stewardessa w samolocie. Kiedy wsiadał do taksówki, pomyślał: Może przedostatni raz? Nie chodziło mu bynajmniej o katastrofy lotnicze. Tylko i wyłącznie o Paryż.

W rozmowach z Meresem i tamtymi starannie ukrył swoje prawdziwe zamiary. Owszem, pójdzie do amerykańskiej firmy „Southwark”. Oczywiście, zaproponuje opóźnienie produkcji katalizatora – o rok, dwa. Ale weźmie to wyłącznie na swoje konto. Dogadają się z Ronaldem, to równy gość, zrozumie i zgodzi się. Nie będzie mu w ogóle wspominał o grupie GET. On, tylko on – Waław Ługaj, główny technolog Zakładów „C-12” – mając ogromne możliwości tak ze względu na stanowisko służbowe, jak i doświadczenie chemika, spowoduje, że wszelkie dalsze próby z katalizatorem będą się wlokły, że trzech inżynierowie w końcu stracą cierpliwość, a może też coś im się przydarzy...

Nie wspomni Ronaldowi, że dyrektor Zakładów musiałby wtedy oddać sprawę katalizatora do instytutu. Taka rzecz Amerykaninowi nawet nie przyjdzie do głowy. Natomiast z pewnością zawrze z Ługajem umowę pod znanym skądinąd hasłem: „Pracujemy jak żółwie”.

Dwadzieścia tysięcy dolarów – myślał, kiedy taksówka mknęła aleją Krakowską w kierunku lotniska. – Tylko tyle i tylko dla mnie. Na sto lub osiemdziesiąt

tysięcy nigdy Ronald się nie zgodzi, to oczywiste. Meres uwierzył i tamci. A niech wierzą. Niech czekają. Kiedy wrócę, powiem im, że Amerykanie z radością zapłacą. Za rok lub dwa. Chcą jednak, aby opóźnić, przeszkadzać na wszelkie sposoby. GET się przyłoży, licząc na forszę. Po roku on wyjedzie znów do Paryża, zagarnie dolary i już nie wróci. Ściągnie tylko matkę. Jeżeli jeszcze będzie żyła – dodał z chłodnym wyrachowaniem. – Ostatnio narzekała na serce. Cóż, w tym wieku...

Od dawna sądził, że rozumem, doświadczeniem i sprytem przewyższa nie tylko Gniata i Brzezowskiego, ale i Meresa. Lubił ich zresztą, choć w tym lubieniu tkwiła spora doza lekceważenia. Zupełnie inny był jego stosunek do trzech inżynierów z „C-12”. Dobrze orientował się w ich obojętnej, często niezyczliwej postawie wobec niego, w tym ściśle oficjalnym „panie dyrektorze”, kiedy raz czy dwa razy zaproponował przejście na ty. Nigdy nie poszli razem na obiad czy na kawę, nigdy żaden nie zaprosił go do swego domu, a jego zaprosiny odrzucali pod byle pretekstem, choć zawsze grzecznie. Chwilami łapał się na podejrzeniu, że coś już wiedzą, coś przewąchali i dlatego odsuwają się. – Co knujecie przeciw mnie? – chciał czasem zapytać, ale słowa zamierały mu na ustach. Nie ze wstydu lub żalu, bo nie

czuł się winny, lecz z obawy, że wiedzą naprawdę, a wówczas straci grunt pod nogami.

Wszystko to stało się przyczyną, że zaczął ich nienawidzić. Krył to starannie, wciąż uparcie podkreślał swoją dla nich życzliwość, podsuwał to paczkę kawy, to papierosy zagraniczne, ostatnio angielską herbatę. Dziękowali uprzejmie, ale nie przyjmowali. Mówili, że mają, choć z półsłówki, które wymieniali między sobą, domyślał się, że nie. Głupcy! – myślał, chowając do teczeki wzgardzone prezenty. Czuł się upokorzony. I nienawidził ich coraz bardziej.

Taksówka zatoczyła krąg i zatrzymała się przed Międzynarodowym Dworcem Lotniczym.

*

W sobotę inżynier Jabłoński wsiadł do pekaesu i po dwóch godzinach jazdy znalazł się w dużej, dobrze zagospodarowanej, pełnej historycznych tradycji wsi, gdzie mieszkali jego rodzice. Roboty żniwne dawno były zakończone, na wykopki za wcześnie, więc pracowano w sadzie. Janusz nie odwiedzał rodzinnego domu od kilku miesięcy i zachwyił się widokiem pięknych czerwonozłotych jabłek, dorodnych gruszek i śliwek.

– Obrodziły w tym roku – powiedział z zadowoleniem. – Dajcie mi jutro trochę dla Wolniaków.

– Bierz, ile udźwigniesz – mruknął ojciec, zajęty

układaniem owoców w wiklinowych koszach. Przeznaczono je na sprzedaż.

– Janusz, kup sobie wreszcie samochód! – zawołała siostra.

– Kupię. Kiedyś tam – odparł niefrasobliwie. I poszedł na werandę, gdzie siedział dziadek Jabłoński. Stary liczył sobie osiemdziesiąt cztery lata, ale umysł zachował żywy, bystry, wszystko dojrzał, do wszystkiego się wtrącał, czytał bez okularów i jeszcze wór kartofli na plecy zarzucił. Janusz bardzo lubił dziadka; wyciągał go często na wspomnienia o tym, jak było dawniej. Stary przekomarzał się z nim, udawał naiwnego, błyskał złośliwie oczkami, a tak naprawdę przepadał za wnukiem i był dumny z „inżyniera”.

– Powiedz mi – rozpoczął chytrze, kiedy ten wszedł na ganek i przysiadł na schodkach – żenisz się podobno?

– Jeszcze nie. A jak się ożenię, co mi dziadek kupi na prezent ślubny?

Pytanie pozostało bez odpowiedzi. Stary miał pieśniadze, ale nie lubił wydawać. Pomilczał chwilę, potem zaśpiewał:

– „Wojenko, wojenko, coś zrobiła z nami! Tylu leży w grobie, tylu leży w grobie, a ja za drutami...”
Wiesz, jak siedziałem w tym stalagu i myślałem, że już nigdy stamtąd nie wyleżę, to mnie ratowały piosenki.

Sam układałem różne, inni też. E, co tam teraz złe wspominać. Powiedz jaki dowcip. Polityczny! – zastrzegł się.

– Dobrze. Ale to stary kawał. Rozmawia Polak z Anglikiem. Anglik chwali się, że u nich wielka swoboda i mówi: „U nas na przykład każdemu wolno krytykować rząd brytyjski”.

A na to Polak: „O, wielkie rzeczy! U nas też każdy może krytykować rząd brytyjski”.

Stary zachichotał, pomyślał chwilę i rzekł:

– A to znasz? Ogniomistrz z baterii ppanc uczy kanoniera: „Odpieprzacie zawór, przepieprzacie lufę wyciorem, wpieprzacie pocisk, przypieprzacie iglicą, zapieprzacie zawór, napięprzacie na cel... – Urwał, bo na werandę weszła matka Janusza. – Zosiu, nie masz tam trochę kwasu?”

– Chodź, ojciec, do kuchni – odparła.

Dziadek dźwignął się z fotela, stęknął, popatrzał na wnuka i dokończył:

– A jak spieprzycie, to was porucznik opieprzy! Jasnę? Wiesz, kiedy przyjedzie latem ten Węgier, co był w zeszłym roku po jabłka, każę mu się tego nauczyć na pamięć.

– Przecież on tego nawet nie wymówi! – roześmiał się Janusz.

Następnego dnia wracał zatłoczonym autobusem, kosz jabłek postawił sobie na kolanach i patrzył przez

zakurzone szyby na poźółkłe ścierniska; myślami był już w Golewicach. Cieszyło go, że przez kilka tygodni Ługaj nie będzie pętał się po laboratorium. Od pewnego czasu przychodziły mu do głowy podejrzenia, związane z osobą głównego technologa. Chwilami stawały się tak silne, że wodził za nim czujnymi oczami, patrzył na ręce, kontrolował każdy ruch. Nie złapał go na niczym, ale podejrzliwość nie mijała.

Któregoś dnia Sawicz, zirytowany uwagami Ługaja, mruknął po jego wyjściu:

- Nie pomaga, a tylko przeszkadza!
- Żeby chociaż nie psuł... – wyrwało się wówczas Januszowi.

Sosnowiecki spojrział na niego spod oka. Milczał. Sawicz nie dosłyszał albo zlekceważył to życzenie, bo również nie odezwał się. Teraz Januszowi przypomniał się tamten wieczór. Nie mam żadnych dowodów – myślał. – Jest niesympatyczny, jakby wyobcowany wśród nas, nie znoszę go. Ale to nie powód, żeby... Pewnie się mylę. Nikt nam nie psuje roboty, to widocznie my nie umiemy jej zakończyć.

Autobus zatrzymywał się w rynku, potem jechał dalej. Jabłoński wysiadł, rozprostował kości zdrętwiałe od długiego siedzenia, i zaczął iść w kierunku domu. Była już prawie noc, miasteczko zasypiało. Skręcił w boczną uliczkę, tędy miał bliżej. Kosz zaciążył mu, więc postawił go na chwilę. Z ciemnej bramy wyłoniło się nagle

dwóch mężczyzn. Szli powoli, wyższy trochę kołysał się na boki, ręce trzymali w kieszeniach. Pomyślał, że chyba ich nie zna.

Schylił się po kosz, wyprostował. Stali już przed nim, zagradzając drogę.

– O co chodzi? – spytał. W mroku nie oświetlonej ulicy nie mógł dojrzeć twarzy.

– Pan inżynier Jabłoński? – spytał ten wyższy. Głos miał zachrypnięty, odkaslnął i splunął.

– Tak. Pan z Zakładów?

Pomyślał, że coś się stało, przestraszył się.

– Chyba nic złego tam nie zaszło? – zapytał.

Drugi mężczyzna obejrzał się, zaszedł Janusza od tyłu i raptownie schwycił go za ramiona, wykręcając je aż do bólu. Wyższy postąpił krok naprzód, Jabłoński poczuł jego oddech, przesycony alkoholem. Szarpnął się, kosz wyslizgnął mu się z ręki, jabłka rozsypały po chodniku i potoczyły na jezdnię.

– Spokojnie! – odezwał się ten z tyłu, był silny, nie rozluźnił chwytu.

– O co wam chodzi?! – Inżynier błyskawicznie rozważył sytuację: pusta ulica, noc, ich dwóch, on sam. – Czego się czepiacie?

– Zaraz się dowiesz – mruknął któryś z napastników.

Wciągnęli, go do bramy. Wił się, wykręcał, kopnął jednego w kostkę, ale oberwał pięścią w zęby i nie mógł

sobie poradzić. Krzyknął, wtedy zatkali mu usta jakąś szmatą. Próbował uderzyć głową w brzuch tego, który znalazł się tuż przed nim. Usłyszał jęk, przekleństwo i zrozumiał, że trafił. Zaraz potem uczuł na gardle chłodny dotyk stali. Zabijają! – pomyślał. Ogarnął go dziki, zwierzęcy strach przed śmiercią, zwłaszcza taką, pod bandyckim nożem. Teraz bał się szarpać, aby ostrze nie zagłębiło się w szyję.

Nagle – to były sekundy – coś jak piorun spadło na kark jednego napastnika, wytrąciło mu nóż, który upadł z brzękiem na ziemię. Drugi bandyta zawył z bólu, chwycił się za brzuch, zgiął, jeszcze szybciej wyprostował. Na chodniku zakotłowało się...

I cisza. Janusz ze zdumieniem rozglądał się dokoła, pomacał obolałe ramiona, jeszcze nie wierzył, że tamci uciekli. Ale w bramie było pusto. Na ulicy też. Ani śladu napastników, ani tajemniczego wybawiciela. Może dwóch, bo jeden chyba nie dałby sobie rady.

Stał jeszcze parę minut, czekał. Może się zjawią? W końcu pozbierał jabłka i, rozmyślając nad przedziwnym wydarzeniem, ruszył w stronę domu. Kim byli bandyci? To łatwiej odgadnąć. Wymienili jego nazwisko, a więc wiedzieli kim jest, widocznie obserwowali. Może jeszcze w autobusie?

– Zasadzka w bramie – mruknął do siebie. Wybrali doskonałe miejsce i czas. Nie miał żadnych wątpliwości, że jest to kolejna próba „uderzenia w katalizator”, jak ze Zbyszkciem nazwali te wszystkie zamachy na nich.

Ale ci – ozy ten – przed którym uzbrojeni, silni, podnieceni wódką mężczyźni uciekli tak od razu, jakby ich wymiotło z bramy... Przecież nie uratowała go milicja. Patrol ujawniłby się z miejsca, zatrzymał tamtych, zabrał wszystkich razem do komendy. Składanie zeznań, legitymowanie, pisanie protokołu zajścia. Milicjanci nie znikliby jak kamfora.

Więc – kto? Na pewno ktoś życzliwy. Skąd się wziął tak nagle? Janusz przystanął, ogarnięty nowym zdumieniem. Czy to możliwe, że był obserwowany przez dwie wzajemnie się zwalczające siły? I kim jest ta druga?!

W domu, leżąc na tapczanie, prawie do rana przewracał się z boku na bok, rozważał dziesiątki coraz to bardziej niezwykłych możliwości. W końcu doszedł do wniosku, że nic nie rozumie i tego supła nie rozwiąże. Zasnął, kiedy czas było wstawać, i spóźnił się do laboratorium.

– Zaspałem – burknął na widok wymownych spojrzeń kolegów. – Zdarza się. Zresztą... – Urwał, machnął ręką. – Potem wam coś opowiem.

- Znowu kurki odkręciłeś? – zadrwił Sawicz.
- A tobie do łóżka nie wsadzili nitrogliceryny?

Pod wieczór wyprowadził ich za miasto, przysiedli na łące i dopiero wtedy opowiedział. Nie był już pewny ścian, lokali, nawet ulicy.

– Musisz jak najszybciej zawiadomić kapitana Skierkę – rzekł Sosnowiecki. – Właściwie trzeba było iść od razu, w nocy.

– Marian ma rację – zauważył Zbyszek. Zerwał źdźbło trawy, pozuł chwilę i wzruszył ramionami. – Co tu się dzieje w tych Golewicach? Jedni napadają, drudzy bronią, a my jak ofiary losu biernie czekamy, kto następny. Nie podoba mi się taki układ sił. Idź do kapitana, może coś wyjaśni. Przecież niepodobna, żeby milicja nie mogła znaleźć i zatrzymać paru bandziorów! Golewice to nie Londyn.

Poszli wszyscy trzej, nastawieni nieufnie i bojowo. Ale przed samą komendą zatrzymali się.

– Ja jestem zbyteczny – mruknął Sosnowiecki. – Nic przecież nie wiem prócz tego, co mi Janusz powiedział. Zajrzę jeszcze do laboratorium. Chodź, Zbyszku. Szkoda czasu na gadanie.

Sawicz westchnął ciężko, klepnął Jabłońskiego po ramieniu i odeszli. Kapitan siedział w dyżurce, rozmawiał o czymś z podoficerem. Na widok inżyniera przerwał, podniósł się z krzesła.

– Witam – uśmiechnął się przyjaźnie. – Przejdźmy do mnie.

– Pan już wie? – spytał Jabłoński. Wolał, żeby tamten rozpoczął rozmowę. Znowu mu się zdawało, że Skierko zlekceważy jego relację; przecież nie potrafił niczego udowodnić.

– O czym?

– O napadzie na mnie. Wczoraj, późnym wieczorem.

– Najważniejsze, że jest pan zdrow i cały. Ukradli coś?

Opowiedział, śledząc uważnym wzrokiem twarz kapitana. Ale nie mógł z niej nic wyczytać prócz spokojnego zainteresowania. Skierko zanotował dzień, godzinę i miejsce napadu, poprosił o pobieżny choćby rysopis sprawców.

Tego jednak Janusz nie zrobił z tej prostej przyczyny, że ciemność ulicy, a później bramy, jak również szok, który przeżył, czując nóż na gardle, zatarły w jego pamięci obraz bandytów.

– Tyle wiem, że jeden był wyższy. Od obu jechało alkoholem. Musieli to być raczej młodzi i silni mężczyźni. Wie pan, broniłem swego życia, wtedy człowiek na ogół nie przygląda się napastnikom. Zresztą wszystko odbyło się błyskawicznie... Kapitanie, intrygują mnie nie bandziory, bo o tych nietrudno, ale ten nieznan

obrońca, jeden czy dwóch, nie wiem. Czy to byli pańscy ludzie? To znaczy – poprawił się – milicjanci?

Skierko zaprzeczył ruchem głowy. Znów coś zanotował, a potem odrzekł:

– Gdyby to byli funkcjonariusze naszej komendy, wydarzenie nie rozplynęłoby się w powietrzu.

– Dobrze. Więc – Janusz raptem rozżościł się, poczerwieniał – jak długo tego będzie, panie kapitanie? Dlaczego nie jesteście w stanie zlikwidować tej tajemniczej szajki łobuzów, tego gangu spod ciemnej gwiazdy! Ostatecznie, my, inżynierowie, pracujący nad niesłychanie ważnym zadaniem technologicznym, powinniśmy mieć zapewnione bezpieczeństwo. Podstawowe, najprostsze bezpieczeństwo życia i zdrowia! Od tego...
– Urwał, zaciął wargi.

– Od tego jest milicja – dokończył oficer. – Ma pan zupełną rację.

Milczeli chwilę, Jabłoński patrzył na Skierkę spode łba i bardzo niezyczliwie. Do diabła, róbże coś! – myślał. – Postawili cię tu na stanowisku, kierujesz dużym zespołem ludzi fachowych, oblatanych w śledztwie, masz do dyspozycji technikę kryminalistyczną. I co? I nic. Miesiące mijają, sprawa ani o włos nie posunęła się naprzód. Jeżeli nie potrafisz, niech przyjdzie ktoś inny.

– Panie Januszu – odezwał się kapitan z akcentem

przyjaźni w głosie, co zdumiało inżyniera. – Niech pan ma do nas trochę zaufania. To już długo nie potrwa.

– No, ale... Robicie coś?

Skierko uśmiechnął się.

– Nasza robota to nie katalizator – odparł. – Na pozór wcale jej nie widać, nie da się ująć w rękę, pokazać. Dopiero zakończenie wszystko wyjaśni.

*

O dużym magazynie nie ma co marzyć – myślał Brzezowski, od kilku dni śledząc jego zabezpieczenie, potrójne zamki i zmieniających się trzy razy na dobę strażników przemysłowych. Prócz nich w środku tkwił przez wiele godzin główny magazynier z dwoma pomocnikami. Nie znał żadnego; strażnicy byli młodzi, uzbrojeni, w dodatku miesiąc temu przysłano skądś nowych, obcych.

Pozostawał więc mały magazynek podręczny, w którym prócz najrozmaitszych substancji chemicznych, używanych do produkcji nawozów sztucznych, znajdowała się również w niewielkiej ilości nitrogliceryna techniczna i inne estry kwasu azotowego i alkoholi.

Magazynek miał tylko jeden zamek, a strzeżono go tak naprawdę od świtu do nocy. Potem strażnik szedł spać do dyżurki. W dodatku on tego strażnika i jego

dwóch zmienników dobrze znał. Spotykali się w mieście, czasem popili, często gawędzili o czymkolwiek. Wszyscy trzej przekroczyli pięćdziesiątkę i wzdychali do emerytury. Pochodzili z okolicznych wiosek, jeden dojeżdżał pekaesem, tamci w tygodniu nocowali w hotelu robotniczym, na niedzielę urywali się do rodziny.

I właśnie niedzielną noc Brzezowski wybrał na swoją wyprawę do podręcznego magazynku. Dowiedział się, że strażnik, któremu wypadła nocna służba, przyjechał ze wsi zmęczony i niewyspany, bo uczestniczył w chrzcinach siostrzeńca, wyprawianych hucznie niczym wesele. Można więc było z całą pewnością liczyć na jego twardy sen w dyżurce. Zwykle zamykał się od wewnątrz, aby nikt mu nie przeszkodził. Tak działo się od dawna, magazynek używany był tylko w dni robocze, a i to nie zawsze.

Aby dostać się do wnętrza, należało wpiernić drzwi wejściowe, przejść obok dyżurki, wślizgnąć się na krótki korytarz, a potem półki z pojemnikami, pudłami, metalowymi kanistrami, rozmieszczone po obu stronach przestronnego pomieszczenia, leżały w zasięgu ręki, tylko brać i wybierać. Oczywiście, jeżeli ktoś dobrze orientował się, co każdy pojemnik zawiera i jak się należy obchodzić z jego zawartością. W przeciwnym wypadku całość wraz z delikwentem wylatywała w powietrze.

Brzewowski nie życzył sobie przedwczesnej eksplozji ani też osobistego w niej udziału. Opracował idealny, według niego, plan wysadzenia laboratorium. On sam jednak znajdować się będzie wtedy w bezpiecznej odległości, Inscenizator, reżyser i widz – w jednej osobie.

Niedzielnny wieczór zastał go w mieście. Jadł kolację w barze „Ludowym”, spotkać tam można było wielu znajomych, a o to mu chodziło. Dosiadał się do stoliczków, rozmawiał, kręcił po sali, pogadał z bufetowym, wypił tylko jedno piwo, od wódki wymawiając się chorobą nerek. W końcu osądził, że widzieli go wszyscy i w razie czego zaświadczą zgodnie, iż całutką noc spędził w knajpie. Kiedy temperatura sali wzrosła na tyle, że biesiadnicy, dobrze podpici, przekrzykiwali się, wrzeszczeli, stoły zalali piwem, w którym pływały niedopałki, a w zadymionym powietrzu już mało kogo można było rozpoznać – Brzewowski wymknął się niepostrzeżenie z knajpy.

W domu przebrał się w ciemny, roboczy drelach, wziął torbę z zestawem odpowiednich narzędzi, przygotowanych mu przez Gniata, i z dwoma szczelnymi, plastikowymi pojemnikami. Miał tam również rękawiczki, latarkę i kilka niezbędnych drobiazgów.

Nie ryzykował wejścia przez którąś z bram; jedne zamykano na noc, innych strzegli strażnicy. Ale poprzedniego dnia wypatrzył niewielkie przejście obok bocznic kolejowej. Strażnik chodził tamtędy z psem dość regularnie, mniej więcej co czterdzieści minut. Pomiędzy wagonami utworzyła się luka, przez którą postanowił się prześlizgnąć. Teren w tym miejscu był nie oświetlony, postarał się o to w sobotę i liczył na to, że dozór zlekceważy brak żarówki.

Bał się tylko, że w mieście po drodze napotka patrol milicyjny. Spytają, dokąd idzie, zajrzą do torby... nie znajdował żadnego wiarygodnego wyjaśnienia. Postanowił więc przemknąć się podwórkami i przez ciemny park okrążyć miasto aż do dworca, skąd polna dróżka mogła go zaprowadzić do zakładowej bocznic. Tak też zrobił. Przy wagonach znalazł się kilka minut po północy. Włazł do jednego – były otwarte i puste – przyczał się i czekał na strażnika. Ważny był zresztą nie tyle człowiek, ile pies. Takie czujne zwierzę – myślał – gorsze niż fotokomórka. Psi nos nie da się niczym zwieść, nie sposób go wyłączyć ani zepsuć.

Usiadł przy zasuniętych drzwiach, zrobił maleńką szparkę i patrzył. Mijały minuty, dokoła panowała cisza. Przeszedł kwadrans, potem pół godziny. Podniósł się bezszelestnie, bo mu nogi ścierpły, zresztą zbliżał się

czas obchodu terenu. Przylepiony do drzwi, wypatrywał i nadśluchiwał szelestu kroków albo szczekania psa.

Wreszcie doleciało go kichnięcie, tak bliskie, że cofnął się w, popłochu w głąb wagonu. Strażnik otarł się niemal o drzwi, przystanął. Nie ma psa! – pomyślał Brzezowski z radością. Dostrzegł przez szparę błysk zapalki, potem doleciał go słaby zapach dymu. Ale kroków nie słyszał. Stoi, łobuz! – przestraszył się. – Czyżby coś zauważył? Cholera, ani drgnie!

Upłynęło kilka minut, jemu zdawało się, że godzina, kiedy strażnik szurnął plecami po drzwiach wagonu, odkaslnął i ruszył dalej. Brzezowski, upewniwszy się, że już nie może być dostrzeżony, zaświeceił latarkę i spojrzął na zegarek. Jeżeli nic w rozkładzie pracy wartowników nie zmieniło się, ma przed sobą czterdzieści minut na wykonanie zadania. Poczekał dwie minuty, ostrożnie rozsunął ciężkie drzwi. Gdzieś daleko zabłysła jeszcze raz zapalka, widać strażnikowi zgasł papieros.

Ciekawe, dlaczego chodzi bez psa? – myślał, przesuwając się ostrożnie pomiędzy wagonami w kierunku magazynku. Nie zaprzętał sobie jednak głowy tak pomyslnym zbiegiem okoliczności, najważniejsze było przed nim i na tym należało skupić całą uwagę. Po krótkim czasie dostrzegł zarys długiego, parterowego budynku.

Przystanął, rozejrzał się uważnie, czy nie zobaczy,

nie usłyszy nic podejrzanego. Potem uspokojony zbliżył się do magazynku. Nie miał okazji, aby dorobić klucz „na pasówkę”, to było zbyt ryzykowne. Natomiast wiedział, że we drzwiach siedzi zamek tak zwany bezzastawkowy, bardzo łatwy do otwarcia dla złodzieja. Gniat zrobił mu zgrabny wytrych prostej budowy, z trzonem, uchem i łopatką.

– Jeżeli strażnik zamknął się od wewnątrz i zostawił klucz z tamtej strony – pouczal Brzezowskiego – musisz przedtem użyć tego oto wichajstra.

Pokazał mu specjalny przyrząd, za pomocą którego dawało się bez większego wysiłku wypchnąć klucz, aby następnie włożyć wytrych.

– Upadnie na beton i będzie hałas – zauważył pirotechnik.

Dariusz wzruszył ramionami.

– To postaraj się zawczasu, aby tam leżał dywanik – mruknął.

Teraz Brzezowski pomyślał przelotnie, że dywanika z pewnością nie ma, no i trudno. Jakoś musi sobie poradzić. Wyjął z torby narzędzia, nałożył cienkie rękawiczki. Wpierw delikatnie spróbował, czy klucz siedzi w zamku, i odetchnął z ulgą. Klucza nie było. Może i strażnika nie ma w dyżurce? Wiedział, że nie jest to nigdy ten sam, który obchodzi teren przy bocznicy. Ale może tak się akurat złożyło, że tamten zachorował,

zwolnił się czy z innej przyczyny po prostu nie przyszedł do pracy i „magazynowy” go zastępuje?

W takim razie trzeba się śpieszyć. Włożył wytrych, pokręcił, zamek zaskoczył. Powoli otwierał drzwi, potem szybkim ruchem wślizgnął się do środka, zamknął je – znowu wytrychem – i spojrzał w prawo, gdzie znajdowała się otwarta dyżurka. Świeciła się tam mała biurowa lampa na stole, znak, że ktoś tu był niedawno i ma zamiar wrócić. Zasłane kocem łóżko wyglądało na nie używane tej nocy. Na stole obok lampy stał kubek, jakieś zawiniątko w papierze, pewnie jedzenie. Żadnego śladu psa.

Doskonale! – ucieszył się. Skręcił w krótki, szeroki korytarz. I zmartwiał. Zamiast swobodnego przejścia do pomieszczenia z regałami i półkami ujrzał metalowe, świeżo widać wstawione drzwi, a w nich dwa zamki, jeden nad drugim. Wystarczyło spojrzeć, aby zorientować się, że najtrudniejsze do otwarcia, typu yale. Oczywiście i one nie są dla wytrawnego złodzieja przeszkodą, ale po pierwsze – Brzezowski nim nie był, po drugie – nie miał w torbie narzędzia, który by yale otworzył. Takiej niespodzianki nie przewidzieli.

Bez większych złudzeń zaczął wprawdzie próbować wytrychem, ale po paru minutach zaklął i odłożył narzędzie. Kiedy tak medytował niezdecydowanie, nagle

coś mu przyszło do głowy. Przeraził się, gwałtownie odwrócił i skoczył do drzwi wyjściowych. Ręce mu drżały, wytrych nie chciał wejść w zamek. W końcu szarpnął mocno, skaleczył się rozdzierając rękawiczkę, drzwi otworzyły się. Wybiegł na chodnik, posłuchał, czy strażnik nie nadchodzi, potem przemknął się ostrożnie do boczniczy.

W domu znalazł się po godzinie.

– Czegoś się złąkł? – spytał Mer es na drugi dzień, kiedy spotkali się w barze kawowym i siedzieli obok siebie za półkolistą ladą.

– Tam mogła być fotokomórka – odparł cicho. – Fotografia w podczerwieni, coś takiego. Jeżeli była, jestem skończony. Mają mnie jak na widelcu.

– Nonsens – burknął Meres. – Skąd ci to przyszło do głowy?

– Nie wiem. Te metalowe drzwi...

Dwa dni później, zupełnie przypadkowo, dowiedział się od znajomego strażnika, że w obawie przed kradzieżami dyrektor kazał wstawić do magazynku nowe, mocne drzwi. Dlatego wyznaczono tylko jednego z nich do obchodzenia terenu, a w dyżurce wolno zjeść kolację, odpocząć chwilę, byle tylko nie spać. Zaryzykował wtedy i półzartem zauważył, iż przed złodziejami najlepiej ochroniłaby, powiedzmy, fotokomórka.

– Na to nie ma na razie pieniędzy – odparł znajomy strażnik.

Chciał go jeszcze spytać, co się stało z psem, i w porę ugryzł się w język. Tamten zdziwiłby się pewnie, zaczął coś podejrzywać.

– Skąd wobec tego weźmiesz potrzebne środki? – Meres szeptał mu do ucha, choć w barze panował gwar i grała „szafa”.

– Nie wiem – odparł. – Trochę tego mam w domu. O więcej muszę gdzieś się postarać.

*

Zawadzki kończył naradę. Zaprosił na nią kilkunastu inżynierów i techników, przedstawicielei samorządu robotniczego i dwóch delegatów związkowych. Podsumowali pracę „C-12” w pierwszym półroczu. Co było można zrobić po katastrofalnym w skutkach wyjeździe Francuzów i zablokowaniu dostaw – zrobiono. Reszta zależała od dwóch najistotniejszych teraz spraw: zakupu za granicą brakujących maszyn i części oraz zakończenia pracy nad katalizatorem. Sosnowiecki, w imieniu pozostałych, obiecał: za cztery tygodnie.

Dyrektor westchnął, popatrzał na trójkę inżynierów, na ich wymęczone, poszarzałe twarze i rzekł:

– Wiecie, co bym zrobił, gdybym mógł? Zamknąłbym was w laboratorium na te trzydzieści dni. Spanie na miejscu, wyżywienie dostarczane wyłącznie z milicyjnej

stołówki albo z kasyna. Przed drzwiami laboratorium stanęłyby warta, nie puściła nikogo.

– Ługaja – szepnął Sawicz do Janusza. – O, to byłoby dobrze!

Zawadzki dosłyszał, wargi mu drgnęły, ale nie zareagował. Reszta zebranych, która w ogóle nie wiedziała o próbach unicestwienia „katalizatorowej trójki”, szmerem i szeptami wyraziła zdziwienie.

– Tak bym zrobił, żebyście pracowali na okrągło – dodał dyrektor. – Bez miłosierdzia. Oczywiście, nie mogę tego zrobić. A szkoda.

Roześmieli się, padło kilka dowcipów. Po naradzie trójka inżynierów, trzymająca się od pewnego czasu razem niczym bracia-trojaczki, wyszła na spóźniony obiad. Jadali go u Sosnowieckich, tak postanowili tydzień temu. Agnieszka mężnym sercem przyjęła na siebie dodatkowe obowiązki. Sawicz i Jabłoński oddali do wspólnego gospodarstwa kartki żywnościowe i w miarę możliwości pomagali w sprawunkach.

Tego dnia znów powrócili w, rozmowie do dziwnego wydarzenia, w którym czołową rolę odegrał nieznanый pogromca napastników. Janusz po raz któryś z rzędu, trochę już zniecierpliwiony, zrelacjonował tamtą noc, a następnie rozmowę z kapitanem Skierką.

– Wiecie, co mi potem przyszło na myśl? – spytał i, nie czekając na odpowiedź, mówił dalej: – Kapitan

powiedział, że to już długo nie potrwa. Czyli że coś tam jednak robią, prowadzą śledztwo, chociaż nic nam nie mówią. Rozumiem, że tajemnica, chociaż – wzruszył ramionami – wszystko przecież nas trzech dotyczy. Ale jeżeli tak, to chyba orientują się, kim mógł być mój wybawca. A mimo to Skierko udaje kompletnie nieorientowanego.

– Przed tobą – rzucił Zbyszek. – W ogóle przed nami.

*

Inżynier Sawicz mieszkał na trzecim piętrze nowoczesnego bloku, wybudowanego przez Zakłady na osiedlu „Słoneczna”, niezbyt daleko od Sosnowieckich. Zajmował M-2 i był zadowolony, że ma cały lokal dla siebie. Zanim przyjechał do Golewic, gnieździł się z rodzicami i rodzeństwem w dwóch niedużych pokojach na ulicy Słowackiego w Poznaniu. Ciasnota i różnice w upodobaniach sprawiły, że w pewnym okresie stał się kłótniwy, nerwowy, uciekał z domu.

Tutaj mógł nareszcie żyć jak chciał. Obdarzony dobrym smakiem i w miarę oszczędny, umebłował mieszkanie skromnie, lecz wygodnie. Ojciec podarował mu jeden z dwóch ocalałych w pożodze wojennej obrazów, mało znane płótno Chełmońskiego: trójka rozszalałych

karych koni, bijących kopytami w śnieg, niskie sanie z ledwo widocznym zarysem człowieka, okutanego w futro baranie, noc, rozświetlona księżycem i ogromna, bezkresna równina z dalekim jeziorem, połyskującym lodem.

Zbyszek kochał ten obraz, zżył się z nim od dzieciństwa; dostał go, kiedy położył przed ojcem dyplom magistra inżyniera chemii. Teraz „Kare konie” wisiały nad tapczanem na honorowym miejscu, budząc podziw gości. Sawicz myślał niekiedy, że ożeni się tylko z taką kobietą, która potrafi ocenić i polubić obraz. Oczywiście, musiałyby mieć jeszcze parę innych zalet.

Z laboratorium wrócił późno, zmęczony i śpiący. Wziął prysznic w miniaturowej łazience, przyrządził sobie kanapki, ale nie dojadł, bo sen go zmorzył. Zdrzemnął się w fotelu, obudziło go ujadanie psa na skwerze. Sam sobie sterem, żeglarzem, okrętem – mruknął, wynosząc śmieci do zsypu. Wyłączył ściszony telewizor, ziewnął, aż w szczękach zabolało, i poszedł spać.

Telefon, stojący na małym stoliku przy tapczanie, zadzwonił ostro, natarczywie. Trwało jednak dobrą chwilę, zanim Zbyszek rozbudził się z mocnego snu, otworzył oczy i zapalił nocną lampkę. Popatrzał na zegarek; było dwanaście po drugiej, za oknem ciemno.

Telefon dzwonił bez opamiętania. Znowu kogoś struli albo się rozbił – pomyślał cennie. Ujął słuchawkę.

– Sawicz...

– Masz tylko dwie rzeczy do wyboru – odezwał się obcy, męski głos.

– Kto mówi? – zdziwił się, wytrzeźwiały i czujny.

– Dwie rzeczy. Albo natychmiast zaprzestasz pracować nad katalizatorem, albo zginiesz.

– Co ty powiesz! – dostosował się do tonu tamtego.

– No, no. Myślałby kto, że się złękę.

– Ja nie żartuję. Zginiesz, powtarzam. Już raz przez ciebie ktoś się przeniósł na drugą stronę. Miałeś to być ty. W samochodzie. Rozumiesz?

Ciemne oczy inżyniera zwęziły się, brwi zbiegły w jedną krechę.

– Kanalia! – syknął. – Zabiłeś niewinnego człowieka.

– Przez pomyłkę. W wielkich sprawach muszą być ofiary.

– Twoje sprawy to zbrodnie. Podłe, bandyckie zbrodnie!

– Przesada! Zresztą, nie ma o czym mówić, nikt go nie wskrzesi. Słuchaj, a może spróbujemy się dogadać? Milczysz? Zaproponuję ci współpracę. Płacimy w zielonych. Dużo. Tyle nigdy w Zakładach nie zarobisz... Zgadzasz się?

Gniew chwycił go za gardło, ale postanowił nie kończyć rozmowy. Niech ten po drugiej stronie słuchawki ujawni to i owo. Zastanowił się przez chwilę, czy by nawet nie umówić się, nie pogadać, dowiedzieliby się wreszcie, kim jest ich wróg.

– Odezwij się, inżynierku!

– Owszem, możemy porozmawiać – odparł spokojnie. – Przyjdź do mnie, powiedzmy, jutro wieczorem. Jeżeli znasz numer telefonu, to i adres.

– Masz mnie za idiotę? Już widzę, jak lecisz rano do komendy i proponujesz im zasadzkę w twoim mieszkaniu.

– Więc gdzie chcesz się spotkać?

– Wolnego, inżynierku! Do forsy ci się śpieszy? Na to trzeba zasłużyć. Zacznijmy na przykład od maleńkiej awarii w laboratorium. Albo jeszcze lepiej. Dostarczysz mi w umówione miejsce pojemnik z nitrogliceryną czy innym środkiem wybuchowym. Nie musimy się spotykać ani rozmawiać, bo ci nie wierzę. Położysz pojemnik i pójdziesz sobie do domu. Za litr względnie kilogram zapłacę dwa tysiące dolarów.

– Przypuśćmy, że to zrobię?

– Wtedy ocenię cię pozytywnie – tamten roześmiał się krótko, urywanie. – Słuchaj jednak dalej. W miejscu, które wskażę do umieszczenia pojemnika, będzie się

znajdowała specjalnie skonstruowana mina. Nie wybuchnie w trakcie podkładania bo nie chodzi mi o twojego trupa... na razie, lecz o materiał. Ty tylko połóżysz i odejdziesz bezpiecznie. Natomiast każdy, kto chciałby później zatrzymać człowieka, który zabierze pojemnik, spowoduje pośrednio eksplozję.

– Nie rozumiem! Co znaczy: pośrednio?

– Po prostu. Jeżeli pojawi się milicja, ten człowiek posłuży się miną i materiałem w pojemniku, co razem wywoła potworną eksplozję. Zginą wszyscy w pobliżu.

– Ale on sam też zginie!

– Oczywiście. Mówiłem przecież, że muszą być ofiary. Chcesz go ocalić, to nie kontaktuj się z glinami.

Sawicz milczał. Nagle zrozumiał, że nie potrafi wciągnąć nikogo w zasadzkę, nie zna zasad postępowania z terrorystami, bandytami czy diabli wiedzą kim. Może straszliwie poplątać, może sam zginąć.

– Namyśliłeś się, inżynierku?

– Owszem.

– I co mi powiesz?

Zebrał się w sobie, przywołał na pamięć wszystkie najgorsze przekleństwa, jakie kiedykolwiek słyszał, i poczęstował nimi rozmówcę. Potem rzucił słuchawkę.

Rozdział 6

– Panie Meres! Jest pan tam?

Budził się powoli, miał wrażenie, że wyczołguje się gdzieś z głębokiej, dusznej jaskini pełnej koszmarów. Słyszał głos, ale jeszcze go z niczym nie kojarzył.

– Panie Meres! Umarł pan czy co?

Wreszcie ocknął się, usiadł na tapczanie. Ktoś dzwonił do furki i nawoływał na przemian. Waldemar poczłapał do okna, spojrzął w dół. To był listonosz. Znał go od lat; ciągle ten sam, tylko coraz mniej żwawy i coraz niecierpliwszy, jak to starsi ludzie.

Rozchylił okno, zawołał, że już schodzi. Wciągnął spodnie, machinalnie zerknął na zegarek: dwunasta. Przespał cały ranek, zmordowany wczorajszymi imieniami i wielkim pijaństwem u znajomych. Zabrał portfel, staremu należało się parę groszy za to wyczekiwanie. Zeszedł na dół, otworzył.

– Już myślałem, że pana szlag trafił! – powitał go przyjaźnie roznosiciel poczty.

– Nie tak prędko, panie Leśkiewicz. Jeszcze chcę trochę pożyć.

– Depesza – wyjął z torby papierek, podał. – Zagraniczną.

Meresowi zabłyśły oczy. Chwycił blankiet, rozwinął.

Jedno spojrzenie na maszynowy tekst wprawiło go w stan euforii, z której wyrwał go gderliwy głos listonosza:

– Pan podpisze. Tu – podsunął książkę pokwitowań i długopis.

Nakreślił jakiś zygzak, wyjął z portfela pięćdziesiąt złotych, ale zaraz zamienił na setkę. Niech ma stary! – pomyślał. Doręczyciel uklonił się dwa razy, wcisnął banknot do kieszeni, a potem odszedł tak szybko, jak mu na to pozwalały zmęczone nogi. Bał się, że tamten rozmyśli się albo powie, że się pomylił.

Waldemarowi jednak ani w głowie było zajmować się napiwkami dla listonosza. Pognął na górę, usiadł i raz jeszcze uważnie przeczytał depeszę: „Siostra zdrowa już jest w domu”.

Podpis: „Danka”. Tak się umówili, żadne tam: Wacek czy Ługaj, po prostu nie istniejąca Danka.

– „Już jest w domu” – szepnął, czując, że zalewa go ogromna radość. – To znaczy, że chwyciło sto tysięcy, a nie osiemdziesiąt. Cholera, ale się facet uwinął!

Obejrzał dokładnie blankiet. Z Paryża wysłano depeszę wczoraj o piątej po południu. Obliczył dni, na Warszawę zostawiając w przybliżeniu dwa do trzech. Wyszło mu, że Ługaj dogadał się z amerykańską firmą w ciągu mniej więcej tygodnia. Może nawet szybciej, bo przecież musiał w tym czasie załatwiać też interesy służbowe „C-12”.

Położył się, chciał pomarzyć, jak to będzie, kiedy do jego rąk dostanie się dwadzieścia pięć tysięcy „zielonych”. Pomyślał jednak, że trzeba zawiadomić tamtych dwóch. Potem wyskoczą z pretensją, że coś ukrywa. Ubrał się, na klina pociągnął pół szklanki dobrego koniaku, przegryzł kawałkiem kiełbasy mocno czosnkowanej, żeby zabić zapach alkoholu. Dariusz powie: Mnie pouczasz, a sam chlejesz. Depeszę schował do portfela, rozejrzał się, z czym by tu pójść do warsztatu, nie mógł w kółko nosić radia. Gniat miał u siebie tego szczeniaka, któremu coś za chytrze z oczu patrzy. W końcu wsunął do torby suszarkę do włosów.

Dariusz pracował z chłopcem nad silnikiem starego mercedesa. Obaj tak się przykładali do roboty, że musieli stanąć nad nimi i potrząsnąć ramieniem Gniata, dopiero wtedy, technik odwrócił głowę, zły, że mu przeszkadza. Ale radosna twarz Waldemara kazała mu zapomnieć o silniku. Wstał, wytarł ręce w szmaty, zaprosił do kantorku. Chłopiec został przy mercedesie, taka dłubanina sprawiała mu absolutną rozkosz.

– Ługaj? – spytał Dariusz, zamknąwszy drzwi. Więcej nie musiał mówić, czekali na wiadomość z godziny na godzinę i z dnia na dzień.

Waldemar bez słowa podał mu depeszę. Gniat przeleciał ją oczami, zaklął z satysfakcją i westchnął.

Popatrzyli na siebie, Meres mrugnął przyjaźnie.

– Jak powiedział, tak zrobił – rzekł, chowając blaski. Nie chciał go zgubić, to był dowód, radość i zapowiedź sukcesów.

– Wiesz, teraz ci powiem, że nie wierzyłem Ługajowi. Myślałem: zalewa, może chce nam zaimponować zagranicznymi znajomościami.

– Przecież ma te znajomości z racji swoich służbowych wyjazdów. Gdyby nie pracował w Zakładach... – Zamyślił się na chwilę. – Co innego wypadki turystyczne, wtedy ciężko cośkolwiek załatwić. Byłem dwa razy w Wiedniu, raz w Rzymie, z wycieczką. Nic nie wart taki wyjazd. Nie znasz nikogo, łazisz po muzeach, brakuje ci forsy na porządną restaurację, przewodnik popędza, żeby plan wykonać. Wacek jako główny technolog miał kolosalne możliwości. Siedział zwykle tydzień, dwa, spotykał się z różnymi facetami, nawiązywał mnóstwo kontaktów. No i opłaciło się.

Wieczorem zaszedł do Brzezowskiego, radosna wiadomość paliła go i zapomniał o konspiracji. Mirosław ucieszył się, wyciągnął butelkę, ale Meres nie chciał pić. Odwykł od zwykłej wódki, rozsmakował się w najlepszych koniakach, kupowanych w Peweksie. Posiedzieli, pogadali, a potem technik zmarkotniał.

– Boję się, że to zbyt długo potrwa – westchnął, nalewając sobie do obtłuczonej musztardówka – Zanim

wyplacą... Ja bym chciał już, zaraz!

– Co ci się tak śpieszy?

Mirosław wychylił duszkiem alkohol, twarz mu poczerwieniała. Wstał, przeciągnął się, podszedł do okna.

– Patrzę na Zakłady – mówił ze wzrastającym podnieceniem – i widzę, jak to wszystko płonie! Jak wylatują w powietrze kominy, cegły, żelazo, jak się wala ściany budynków... Czy ty mnie rozumiesz? Wielka, potężna eksplozja! Ogień huczy jak sto diabłów, lecą wozy straży pożarnej, ale nic się już nie da uratować, zostanie tylko popiół, resztki fundamentów, poskręcane od żaru maszyny... W magazynie są przecież gazy techniczne, nitrogliceryna, kwasy, saletra amonowa...

– Słuchaj, czemu ty mi to mówisz? – przerwał Meres, zaniepokojony. – Schowaj swoje marzenia na później. Pamiętaj, że wysadzenie Zakładów w powietrze to ostateczność. Bardzo ryzykowna, niebezpieczna. Jeżeli uda nam się opóźnić o rok czy dwa roboty nad katalizatorem, to eksplozja wcale nie będzie potrzebna, bo forszę dostaniemy i tak.

Wydawało się, że Brzezowski go nie słucha. Odwrócony do okna, wpatrzony w przestrzeń, mruzczał coś do siebie. Nagle podszedł do stołu, oparł się rękami, pochylił i, prawie dotykając twarzą do twarzy Waldemara, powiedział groźnie:

– Nie będzie potrzebna, mówisz? Ostateczność, mówisz? O, nie! Chcesz tego czy nie chcesz, eksplozja będzie! Ja to zrobię, ja! Wysadzę w powietrze te całe śmierdzące Zakłady i to będzie mój paszport, moja wspaniała wiza do Stanów. Rozumiesz? To mi otworzy drogę za ocean.

Meres milczał, oszołomiony. W końcu rzekł ze zdziwieniem:

– Dlaczego myślisz, że... W ogóle, dlaczego akurat do USA? Nie masz tam nikogo znajomego, co będziesz robił?

– To co oni. Będę pracował nad udoskonalaniem bomb, rakiet, min, wszystkiego, co wybuchu. Co niszczu. Tak jak oni.

– Śmieszny jesteś! – wybuchnął Meres, naprawdę rozgniewany. – Nie wyobrażaj sobie, że ze swoją znajomością chemii możesz być dla Amerykanów interesującym nabytkiem. Kim ty jesteś? Prostym technikiem, bez znajomości języków. Nawet się z nimi nie dogadasz.

– Uczę się angielskiego.

– I co? Dużo umiesz? Ty głupcze! Wielki piroman z Golewic. Przestań pić, bo... – Urwał, machnął ręką. Wstał, w przypiływie gniewu porwał ze stołu butelkę z wódką, trzasnął nią o ścianę. Pysnęło szkło, struga

alkoholu pociekła na podłogę. Brzezowski jakby oprzytomniał, przetarł ręką spoconą twarz. Patrzyli na siebie chwilę, a potem Meres rzekł:

– Chłopie, opanuj się. Odstaw wódkę, bierz jakieś środki uspokajające. Ługaj wróci, zażąda od ciebie precyzyjnej miny, uprzedzał cię. Jak mu ją zrobisz w takim stanie nerwów? Pamiętaj też, że lada dzień może tu zjawić się Amerykanin z tej firmy paryskiej, Wacek też o tym mówił przed wyjazdem. Taki zagranicznik z pewnością będzie chciał się z nami zobaczyć, porozmawiać, a oni mają dobre oko. Zaraz pozna, że jesteś nerwus, i odsunie cię od roboty. Jeżeli nie dostaniesz dolarów, za co wyjedziesz?

– Masz rację – mruknął Mirosław. Kopnął w kąt kawałki szkła, przyniósł z kuchni ścierkę i wytarł mokrą podłogę. Pożegnali się, Meres wyszedł.

W domu zaczął na zimno rozważać sytuację. Nie po raz pierwszy zląkł się, że Brzezowski doprowadzi do jakiegoś spięcia w grupie, porwie się na nie przewidzianą i nie uzgodnioną z nimi akcję, czym zepsuje całą robotę. Trzeba go będzie uciszyć – pomyślał. – Na dobre. Tylko czy możemy się bez niego obejść? A, jeżeli naprawdę Amerykanie zażądają wysadzenia Zakładów w powietrze, co wtedy? Ani on, ani Gniat nie mieli nigdy do czynienia z materiałami wybuchowymi. Ługaj,

gdyby nawet potrafił, nie będzie chciał. Jest zbyt ostrożny, boi się ryzyka.

A więc? Myślał tak, rozważał różne warianty sprawy, w końcu postanowił czekać na powrót Waclawa. Niech zadecydują razem. Z tego wszystkiego wybił się ze snu, przewracał na pościeli, klął, chodził po mieszkaniu. Nad ranem zażył tabletkę nasenną i znowu zbudził się koło południa.

Trzy dni później pracowity listonosz przyniósł mu list polecony z Paryża. Tym razem Ługaj doniósł w kilku oględnych zdaniach, że niedługo zawita do Golewic ciotka Malwina. Było to hasło o przyjeździe wysłannika amerykańskiej firmy. Meres, podniecony i niespokojny, zawiadomił o tym pozostałych członków GET, surowo nakazując powstrzymanie się od alkoholu i wszelkich indywidualnych poczynań. Mirosławowi polecił uprzątnąć mieszkanie, na ile tylko się da.

*

Wiele było niewiadomych w tej zapowiedzi z Paryża. Meres nie mógł sobie miejsca znaleźć. Krążył po mieście, obserwował kawiarnie, wstępował do jedynego w Golewicach czynnego hotelu (drugi był w permanentnym remoncie), to znów siedział w domu, czekając na telefon lub dzwonek u drzwi, wyglądał przez okno,

czy ktoś obcy nie stoi za furtką, denerwował się i czekał, czekał...

Czy przyjedzie samochodem? – myślał. – Może pociągiem, tak bezpieczniej, w tłumie podróżnych. Golewice znajdowały się w turystycznych folderach dla cudzoziemców z racji bardzo starego, pięknego zamku, odnowionego niedawno i przeznaczonego na dom kultury. Od wiosny do jesieni turyści odwiedzali miasto, zapelniali ulice gwarem obcojęzycznym, wdrapywali się na górę zamkową, kupowali miejscowe widokówki. A teraz mógł znaleźć się wśród nich ten jeden oczekiwany, o którym Meres nie wiedział nic – poza określeniem: Amerykanin z Paryża.

Do jego przyjazdu postanowił wstrzymać wszelkie działania, wymierzone przeciwko trójce inżynierów z Zakładów. Zwłaszcza że dotychczasowe nie dały spodziewanych rezultatów. Żaden z tych trzech nie wycofał się z pracy nad katalizatorem. Żyli, na ogół cieszyli się zdrowiem i każdego ranka podążali do laboratorium. Meres po wyjeździe Ługaja nie miał wprowadzić informacji o stanie robót, gdyż Brzezowski nie dysponował przepustką do podziemnego pomieszczenia. Technik kręcił się jednak po terenie Zakładów, to i owo podparczył, niejedno usłyszał i ważniejsze wiadomości nocami przekazywał szefowi grupy. Toteż Waldemar orientował się, że proces technologiczny szybko posuwa się

naprzód, i coraz bardziej się denerwował. Czasami chwyciła go chęć zlikwidowania owej niezmordowanej trójki – ot, tak bez żadnych dyspozycji „z góry”, na własną rękę. Miał ukryte dwa pistolety, kilka magazynków; wystarczyło przyciąć się wieczorem, kiedy zacząną opuszczać Zakłady, wymierzyć dokładnie...

Bał się jednak, że mogło to nie zgadzać się z planami Amerykanina z Paryża. Nie pochwałą – to nie zapłacą. John ze swej strony zagrozi zerwaniem umowy, co również oznaczało koniec z dolarami. No więc dobrze. Będzie czekał na „Malwinę”.

Któręgoś wieczora, znudzony i podenerwowany, zaszedł do kawiarni hotelowej. Jak na nieduże miasto Golewice – pewnie ze względu na zagranicznych turystów – wyposażyły się w kilka wcale ładnych i nieźle zaopatrzonych w trunki lokali gastronomicznych. Do najlepszych należała właśnie kawiarnia w hotelu „Metropol”. Grał w niej sześciuosobowy zespół, o późnej godzinie występowała nawet striptizerka, choć ten i ów miał ostatnio pretensje, że dziewczyna tyje i traci smukłą linię, a w dodatku robi się wulgarna. Ogół jednak zadowalał się „blondyną przy kości” i nie pragnął zmiany.

Meres wypatrzył wolny stolik i przebił się do niego przez tłum, podrygujący na środku sali w takt ogłuszającej muzyki (zespół miał cztery wzmacniacze), kiedy

jakaś para ubiegła go. Zirytowany, siadł przy ladzie barowej, zamówił dry martini z lodem i słone paluszki. Potem sączył powoli wermuty rozglądając się po stolikach. Ukłony lub zaproszenia kwitował uśmiechem, ale nie ruszał się z miejsca. Nie chciało mu się rozmawiać o byle czym, a o tym, co go najbardziej interesowało – nie mógł.

Jakiś mężczyzna, siedzący obok niego na hokerze, poprosił:

- Jeszcze raz szkocką z lodem.
- Służę uprzejmie – odparł barman.

W głosie nieznajomego było coś, co kazało Walde-
marowi spojrzeć na niego uważnie. Może lekki obcy
akcent. Może biały elegancki sweter z cieniutkiej wełny
i spodnie z szarego tropiku, bez wątpienia jedno i drugie
zagraniczne, w dobrym gatunku. Przeleciał po nim
wzrokiem raz, drugi. Tamten nie zareagował. Ale w
pewnej chwili zbyt szybkim ruchem sięgnął po swoją
paczkę pall mallów i trącił kieliszek z wermutem, zanim
Meres zdążył go pochwycić. Szkło zachybotало, kilka
kropeł alkoholu wylało się na ladę.

– Sorry – powiedział nieznajomy; Zaraz się poprawił: – Bardzo przepraszam.

- Nie szkodzi – odparł Meres.

Przez kilka minut obserwowali się ukradkiem, potem

tamten uprzejmym ruchem wyciągnął w jego kierunku papierosy. Waldemar przyjął, podziękował, zapalił obcemu i sobie.

– Pan chyba nie Polak? – zagadnął w końcu. Mężczyzna zaczął go intrygować.

– Nie.

– Anglik?

– Amerykanin. Ale mieszkam we Francji.

Meres drgnął. Czyżby?... – pomyślał. Patrzył na wąską, lekko opaloną twarz nieznanego, na jego gęste, czarne włosy, układające się na karku w gładkie, równo przystrzyżone pasma. Amerykanin nie nosił wąsów ani brody, na oko można mu było dać trzydzieści kilka lat, choć przeczyły temu delikatne zmarszczki wokół oczodołów. Właściwie twarz ta nie miała żadnych cech charakterystycznych, łatwych do zapamiętania; rysy przeciętne, oczy szare, głęboko osadzone i jak gdyby bez wyrazu.

– Mówi pan, jaki na cudzoziemca, bardzo dobrze po polsku. Gdzie pan się nauczył?

– W Paryżu – odrzekł i wybuchnął śmiechem. – Widać było to możliwe. Zresztą miałem przez jakiś czas żonę Polkę. Teraz już zapominam słów. – Odwrócił głowę, pomachał komuś ręką. – Hello, Jenny!

Meres spojrział na salę. Zespół odłożył instrumenty, miał przerwę. W stronę baru szła lekkim, wdzięcznym krokiem dziewczyna. Na jej widok Waldemar poczuł,

że serce bije mu gwałtownie, a krew uderza do głowy. Miała na sobie kolorową, króciutką suknię, mocno wyściętą na plecach, sandałki ze złotej skórki, kilka bransoletek na śniadych rękach. Drobna, bardzo młoda twarz o regularnych rysach niemal ginęła pod wspaniałą grzywą jasnych włosów, opadających falami na ramiona. Szła przez salę, może nie zdając sobie sprawy, że ściąga wzrok i westchnienia mężczyzn przy stolikach, w barze i w przejściu, że wodzą za nią zachwyconymi oczami kelnerzy, chłopcy z orkiestry, nawet szatniarz wychylił się i z błogim uśmiechem spoglądał w jej stronę. Zespół nagle podjął instrumenty, cicho zagrał marsz powitalny. Dziewczyna popatrzała w ich stronę, chyba zrozumiała, bo pozdrowiła grających ruchem ręki.

– Hello, Ken! – powiedziała do Amerykanina, kładąc mu na ramionach szczupłe dłonie. – How are you?

Zaczęli rozmawiać po angielsku, Waldemar zerwał się i zrobił jej miejsce, przesiadłszy się o jedno krzesło. Podziękowała uśmiechem, srebrne bransolety przy każdym ruchu wydawały cichy, melodyjny brzęk.

– Excuse... przepraszam, czy pan mówi po angielsku? – spytał Amerykanin, przechylając się w jego stronę. – Jenny nie zna polskiego.

Był to moment, w którym Waldemar pobłogosławił podjętą ongiś decyzję studiowania obcych języków.

Angielski opanował stosunkowo najlepiej, mógł rozmówić się po francusku i niemiecku. Toteż odpowiedział z radością, że owszem, może bez kłopotów przyłączyć się do rozmowy, jeżeli państwo sobie tego życzą. Amerykanin rzucił od niechcienia:

- Ken.
- Waldemar. Najlepiej krótko: Waldi.
- Jenny – odezwała się dziewczyna. Śmiała się ciągle, pełna radości życia, pokazując równe rzędy drobnych, białych zębów.

Kilka osób opuściło kawiarnię, wobec czego Meres zaproponował, aby przesiąść się do stolika, tak będzie wygodniej. Wybrał nieco oddalony od orkiestry, grali stanowczo za głośno. Rozmowa potoczyła się, jak zwykle między ludźmi dopiero co poznanymi, o wszystkim i o niczym. Amerykanin oświadczył, że jest głodny. Meres przywołał kelnera, spojrzął na dziewczynę; był gotów wydać na jej kolację cały posiadany przy sobie majątek.

– O, gosh!... – jęknęła, próbując rozszyfrować kartę potraw. Marszczyła przy tym tak zabawnie czoło, że obaj wybuchnęli śmiechem. Wspólnie ustalili menu – sandacza w galarecie, pieczywo, masło, bulion z pasztecikiem i bryzol dla pani, golonkę dla panów. Ken powiedział, że w Paryżu nigdy nawet nie próbował golonki („jeżeli mają coś takiego w menu”), ale kiedy w Warszawie przyjaciele namówili go, rozsmakował się w tej

potrawie, choć przyznaje, że jest tłusta i ciężko strawna.

W trakcie kolacji Waldemar kilkakrotnie miał na końcu języka zwrot o Malwinie, może nie od razu hasło, ale gdyby coś napomknąć, zobaczyć, jak tamten zareaguje? Jednakże nie mógł się zdecydować. Zresztą, krępowwała go dziewczyna, nie wiedział, czy jest wtajemniczona i czy naprawdę nie rozumie po polsku. W końcu zaryzykował.

– Miałem w Paryżu ciotkę Malwinę – rzekł półgłosem, zwracając się do Kena.

Amerykanin lekko kiwnął głową, może na znak, że słucha co do niego mówią, ale całkowite zainteresowanie skierował na golonkę.

– What its Malwina? – spytała Jenny. Zdawało się, że jest trochę urażona, iż mówią przy niej po polsku.

Waldemar szybko wyjaśnił, że chodzi o jego krewną, i zbagatelizował sprawę. Próbował jednocześnie pochwycić wzrok Kena; udało mu się dopiero kiedy ten skończył jeść i podniósł oczy znad talerza. Znowu jednak jak na początku nie można było nic z nich wyczytać. Szare, kompletnie bez wyrazu, o połyskujących złotawo źrenicach. Mocno kontrastowały z uśmiechem i wyraźną życzliwością, nawet serdecznością, bijącą z twarzy Amerykanina.

Co on ma w tych oczach? – pomyślał Waldemar. Przyszło mu na myśl określenie, które gdzieś przeczytał: oczy

posągu. Albo lepiej – obrazu. Nieruchome, dziwne. Poczł dreszcz niepokoju. Jeżeli Ken nie ma nic wspólnego z paryską firmą i Ługajem – zastanawiał się – to robię kardynalne głupstwo, siedząc przy stoliku z amerykańskimi turystami, diabli ich wiedzą zresztą, czy to są turyści, i ściągają na siebie uwagę bezpieczeństwa. Postanowił, że wkrótce pożegna się, odejdzie i na tym znajomość się skończy. Tych dwoje nie będzie przecież zimować w Golewicach.

Kiedy tak rozmyślał, uczuł w swej dłoni drobne, ciepłe palce dziewczyny. Jenny patrzyła na niego spod długich rzęs, o coś pytała. Ocknął się, otrząsnął z myśli o szybkim pożegnaniu, ta mała jest prześliczna i nie ma mowy, aby wszystko miało się dziś zakończyć. Ostrożnie spojrzął na Kena; do jakiego stopnia jest nią zajęty? Krewny, mąż, narzeczony czy po prostu partner w turystycznej wycieczce?

Orkiestra zaczęła grać melodię z „Ojca chrzestnego”. Waldemar wstał, poprosił Jenny do tańca. Na parkiecie od razu zrobił się niesamowity ścisk, więc prawie stali w miejscu, poruszając się tylko rytmicznie w takt muzyki.

– Pójdzie pani ze mną na spacer? – spytał, zdobywając się na odwagę. Dziewczyna onieśmielała go, takiej nie sposób zwyczajnie poderwać na kolację i parę stów. Jenny miała klasę, urodą zostawiała daleko w tyle

jego dotychczasowe partnerki, które zmieniał często i bez żalu, na ogół brutalnie wyrzucając z mieszkania. Zdawał sobie sprawę, że tutaj dużą rolę odgrywa fakt, iż Jenny jest Amerykanką. Nie miał jeszcze zagranicznej dziewczyny. Zwłaszcza takiej!

Zaprzeczyła ruchem głowy.

– Dlaczego? – spytał, przyciskając ją do siebie. Ze zdumieniem zauważył, iż zareagowała inaczej, niż się spodziewał. Z siłą, o którą nigdy by jej nie posądzał, odsunęła się na taki dystans, na jaki pozwalał tłum innych par.

Uśmiechnęła się przy tym leciutko.

– Obraziłem panią? Przepraszam, ale jest pani cudowna, nie mogę się opanować.

– Trzeba – odpowiedziała.

Zdawało mu się, że mówiąc to spojrzała na stolik, za którym Ken samotnie kończył golonkę.

– To dla pani ktoś bliski? – spytał, ruchem głowy wskazując Amerykanina.

– Bliski? – powtórzyła w zamyśleniu. – O, yes.

Tańczyli kilka minut w milczeniu. Gorączkowo zastanawiał się, jakby jej tę bliskość wyperswadować. W końcu odezwał się przekornie:

– Ale jego ma pani zawsze. Tam, w Paryżu. A ja jestem tutaj. Na krótko. Niech się pani oderwie od Ke-na, chociaż na parę dni. Mieszkam we własnej willi

jestem sam. Możemy wyskoczyć gdzieś za miasto. Znam okolice, jest trochę do zwiedzania – ciągnął, obserwując wyraz twarzy dziewczyny. Nie wiedział, co lubi, czym ją zainteresować. – W domu mam stereo, mnóstwo płyt. Koniak francuski. Mam samochód, volvo.

Roześmiała się.

– Powtarza pan: mam, mam. Czym pan chce mi za imponować? Wozem? Płytami?

Zmieszał się, zagryzł wargi. Prawda, że u nich tam wszystko super i hi-fi.

– Więc dobrze – powiedział desperacko. – Zawiozę panią do głuchej wsi, na mleko prosto od krowy i kartofle ze słoniną. Będziemy spać w stodole na sianie, myć się przy studni. Zadowolona?

Nie zdążyła odpowiedzieć, bo orkiestra skończyła grać. Wrócili do stolika.

– Ken, darling – odezwała się z powstrzymywanym śmiechem – Waldi proponuje nam wyjazd do prymitywnego folkloru, taki skansen, gdzie śpi się w stodole i pije mleko prosto od krów.

– Nie skansen! – zaprzeczył. – Prawdziwa wieś polska.

– Trudno już taką znaleźć – ziewnął Amerykanin. – Jeździłem po waszych wsiach. Chłopi postawili murywane domy, założyli wodociągi, kupowali samochody,

pralki, lodówki. Chciałem sfotografować chałupę ze słomianą strzechą i żurawiem studziennym, o jakiej opowiadała mi żona. W takiej, wsi, gdzie dzieci chodzą boszo nawet zimą, a na przednówku jedzą „postne”, tak mówiła. Ale...

– What its „postne”? – spytała Jenny, gdyż wymógł to słowo po polsku. Słuchała z zaciekawieniem.

– Bez tłuszczu, Ale już nie mogłem znaleźć.

– Bo pewnie jeździłeś nie tam, gdzie trzeba – żywo zareagował Meres. – Przecież nie byłeś wszędzie.

– Of course. – Znowu ziewnął. Rozejrzał się za kelnerem. – Płacić!

– Ja stawiam – Waldemar wyjął portfel.

Ken machnął ręką lekceważąco.

– Schowaj to, stary. Jeden mój dolar to prawie siedemset waszych złotych. Mam tego mnóstwo. – Rzucił na stół kilka tysięcy złotych, podsunął kelnerowi nie licząc. Ten zgiął się w ukłonie, zaprosił go następnego dzień, żegnał całą trójkę długo i serdecznie.

Wyszli przed hotel. Noc była ciepła, rozświetlona księżycem.

– Gdzie mieszkasz? – zainteresował się Amerykanin.

Waldemar podał adres i objaśnił, jak tam dojechać, bo zdawało mu się, że chcą go odwiedzić czy odprowadzić. Nie mylił się. Ken zniknął na parę minut, po czym

podjechał przed chodnik czerwonym jaguarem z francuską rejestracją.

– Wsiadajcie – uchylił drzwiczki. – Waldi koło mnie, pokażesz drogę.

Szkoda – pomyślał, bo dziewczyna została sama na tylnym siedzeniu. Nie mógł jednak protestować, po prostu nie wypadało. Rzucił więc tylko w jej stronę rozżalone spojrzenie, na co odpowiedziała uśmiechem. Wciąż nie wiedział, co naprawdę myśli, czy boi się Kena, czy go kocha. A niech to diabli!

Amerikanin ruszył z miejsca ostrym zrywem, wykręcił w lewo i pomknęli na przedmieście. Po trzech minutach Meres powiedział:

– Zatrzymaj. To jest moja willa.

– Całkiem do rzeczy – Ken grzecznie wyraził opinię o piętrowym, nieco odrapanym pudełku. Dwa wilczury wypadły zza domu, rzuciły się do furtki z głośnym ujadaniem. Waldemar wysiadł, uspokoił je; poznały pana, odbiegły w ogród. Pochylił się nad ręką Jenny, ucałował gorąco; nie broniła.

– Zobaczymy się jeszcze? – spytał Ken.

– Z największą przyjemnością – odparł, uradowany. Sam nie miał odwagi zaproponować, stracił wobec tej pary cały tupet i lekceważący ton, jaki zazwyczaj przybierał. – Może umówimy się od razu?

Ken zamyslił się, spojrzął na Jenny.

– Jutro i pojutrze nas nie będzie – powiedział. – Wrócimy tu w sobotę po południu. Dam ci znać. A psy mnie nie zjedzą? – zażartował, gdyż wilczury znowu wróciły i przytykały do sztachet niespokojne nosy, powarkując cicho.

– W dzień są uwiązane. Zresztą, zadzwoń do furki. Będę wyglądał przez okno. Mieszkam na piętrze – wskazał okna.

– A na dole?

– Moi lokatorzy. Pracują od świtu do nocy na plantacjach truskawek, porzeczek, ogórków i czego tam jeszcze. Zamożni ludzie – dodał, nie wiadomo po co. Ale Ken zaciekawiał się.

– Dużo zarabiają?

– Owszem, sporo. Na tych rzeczach najłatwiej się u nas dorobić. Sprzedają owoce i warzywa w mieście, trochę nawet wysyłają za granicę. Mają kilka samochodów. Kończą budowę własnej willi, potem się tam przeprowadzą.

– No, dobrze. Więc do zobaczenia, Waldi!

Odjechali, a Meres stał jeszcze długo i spoglądał za czerwonym jaguarem, wdychając od czasu do czasu. I nie wiedział tak naprawdę, czy bardziej, wdycha za śliczną dziewczyną, czy też za wspaniałym samochodem. Jedno było warte drugiego.

Następnego dnia Meres ospale zabierał się do uprzątnięcia bałaganu w mieszkaniu, niezamiatanym od paru tygodni, kiedy usłyszał dzwonek przy furtce. Skrzywił się, nie potrzebował żadnych wizyt. Pomyślał, że to pewnie któraś z dawnych, a odpalonych „sympatii” dopomina się o powrót do stołu i łoża. Chciał udać, że go nie ma w domu, ale zreflektował się: a jeżeli wiadomość od Ługaja?

Podszedł do okna. Na chodniku stał jakiś mężczyzna w brązowych, za szerokich, trochę wymiętych spodniach i podobnej marynarce. W za dużym kapeluszu na głowie wyglądał z góry jak bardzo przyzwoity strach na wróble.

Cóż to za dziwadło? – zdziwił się. Pewnie interesant do Królikowskich; tak się nazywali jego lokatorzy z parteru. Wychylił się z okna i zawołał:

- Pan do kogo? Królikowscy na plantacji.
- Do pana Meresa – odparł obcy, nie podnosząc głowy.
- W jakiej sprawie? Jestem zajęty.
- Mam dla pana przesyłkę.

Od Ługaja? – chciał zawołać i ugryzł się w język. Krzyknął, że schodzi, tylko się ubierze. Wciągnął spodnie i białą sportową koszulkę z idiotycznym napisem „I love you”; o mało przez nią nie pobił pewnego pedała, który wziął napis do siebie. Wzwał sandały, spieszenie zbiegł do holu, otworzył drzwi. Z łazienki wyłoniła się

najmłodsza latorośl Królikowskich (widać zasnęła) i w popłochu uciekła do sypialni.

Meres podszedł do furtki, wpuścił nieznanego, wprowadził na górę. Przybysz zdjął kapelusz, potem okulary przeciwsłoneczne. Przesunął palcami po twarzy, pozbawiając się w ten sposób rudawych wąsów i krótko ściętej brody. Waldemar patrzył na to jak zahipnotyzowany, dopóki w strachu na wróble nie poznał Kena. Wybuchnął śmiechem.

– Coś ty z siebie zrobił za straszyciło? – zawołał. – Te okropne spodnie! Ale przecież miałeś wyjechać? Co się stało?

Amerikanin rozejrzał się, wziął spod ściany krzesło, usiadł i powiedział półgłosem:

– Malwina wygrała milion.

Meres osłupiał. Otworzył usta, uszczypnął się nieznacznie, poruszył wargami; wyglądał, jak zawodnik na ringu, który dostał właśnie potężnego sierpowego i za chwilę się rozłoży. Ken uśmiechnął się. Powtórzył, tym razem głośniej:

– Malwina wygrała milion.

– Malwina... Malwina nigdy nie gra na loterii! – Waldemar odzyskał przytomność umysłu, nagle przypomniał sobie hasło i odzew.

– W porządku. Usiądź, porozmawiamy.

– Człowieku, ale dlaczego... Mogłeś wczoraj... Gdybym wiedział – jękał się, zmieszany.

– Co mogłem wczoraj? Zastanów się! Byliśmy we trójkę.

– Jenny nie wie?

– Absolutnie nie. Posłuchaj. Nie mogłem, przyjść tutaj w eleganckim ubraniu, nie mogłem przyjechać jaguarem, bo natychmiast ściągnąłbym na ciebie domyśły lokatorów, sąsiadów, a zwłaszcza milicji. Zapewniałeś mnie, że ci z parteru są przez cały dzień poza domem, a tymczasem ktoś z nich przed chwilą był w łazience.

– To przypadek. W zasadzie nigdy to się nie zdarza.

– Ludzie wpadają właśnie wskutek przypadków, bo ich nie przewidują. Ja jestem przewidujący. Dlatego przyszedłem w przebraniu. Wyglądam jak przeciętny, trochę zaniedbany obywatel, moja osoba nie wzbudzi w nikim zainteresowania.

– Portier w hotelu mógł zauważyć. Tacy nie mieszkają w „Metropolu”. Zresztą oddawałeś mu klucz od pokoju, a to już z pewnością go zaniepokoiło.

– Nie oddawałem klucza. W pokoju została Jenny. Ja zmieszałem się na korytarzu z grupą polskich turystów, która schodziła do holu. Nie obawiaj się o mnie, nie pierwszy raz występuję w podobnej roli. Teraz jednak przejdźmy do właściwego tematu. Aha, jeszcze jedno. Gdzie mogę się schować, gdyby ktoś do ciebie przyszedł?

– Nikogo nie wpuszczę.

– Gdzie? – powtórzył Ken ostrzej. Twarz mu się zwężyła, Meres przestraszył się i odrzekł spieszenie:

– W drugim pokoju. Albo w kuchni. Ale ja nikomu nie otworzę. Zresztą, poczekaj!

Wybiegł, aby sprawdzić, czy najmłodsze z rodu Królikowskich już się ulotniło. Skontrolował łazienkę, kuchnię i wszystkie parterowe pokoje, na wszelki wypadek zajrzał do piwnicy, a potem zamknął furtkę na dwie zasuwki i spuścił psy. Wszedł na piętro, otworzył drzwi i znieruchomiał. Zobaczył wymierzony w siebie pistolet.

– Sam jesteś? – warknął Amerykanin, nie odkładając broni.

– Sam, oczywiście! W całym domu prócz nas nie ma żywej duszy.

Ken zabezpieczył pistolet, wsunął za pasek od spodni.

– Ostrożności nigdy za wiele – mruknął.

– A gdybym wrócił z milicjantem, do którego z nas byś strzelił? – spytał Waldemar.

Bał się, ale ciekawość przemogła.

– Mam pełny magazynek – odparł przedstawiciel firmy z Paryża takim tonem, jakby chodziło o dostawę owoców cytrusowych.

Meres przybladł. Bardzo drogie te dolary – pomyślał i wyszedł do kuchni, aby zaparzyć kawę. Ken stanął w progu, obserwował jego ruchy, potem sam nalał sobie

do filiżanki, po-wąchał cukier, posmakował i dopiero wtedy wsypał.

– Czy ty myślisz, że ja chcę cię otruć? – wykrzyknął Meres, teraz już rozgniewany. – Przecież działamy wspólnie, jesteśmy po jednej stronie. Co ci Ługaj naopowiadał?

Ken nie wyjaśnił bliżej swego zachowania, machnął tylko ręką jakby dla zakończenia sprawy. Usiedli wreszcie i Amerykanin rzekł:

– Teraz mów wszystko, po kolei. Ilu was jest w grupie GET, co dotychczas zrobiliście, aby przeszkodzić w wyprodukowaniu katalizatora, i co zamierzacie robić dalej. Jestem upoważniony przez moją firmę „Southwark”... dla twojej wiadomości: mieści się ona przy ulicy Faubourg Saint Honoré. Więc jestem upoważniony do wszelkich rozmów z tobą i całą grupą GET. Chcę również obejrzeć Zakłady, ale to już moja sprawa.

– Jasne – odrzekł Waldemar, któremu nagle wróciła odwaga. – Wolałbym tylko wiedzieć, a mówię to w imieniu grupy, co otrzymamy za nasz wkład pracy w opóźnienie produkcji „C-12”. Sądząc z depeszy Ługaja, twoja firma zgodziła się na zaproponowaną jej sumę. To znaczy, żeby nie było nieporozumień, sto tysięcy dolarów. Tak?

Ken uśmiechnął się.

– Oczywiście. Ale nic nie dostaniecie z góry. Firma

jest oszczędna, płaci tylko za konkretne działania. Czekam na informacje o grupie i o dotychczasowej robocie – przypomniał.

Meres zamyślił się na chwilę, porządkując w głowie fakty; potem zaczął mówić. Wymienił liczbę napadów na inżynierów, opowiedział o wywołaniu pożaru; o umieszczeniu pewnej trucizny w samochodzie Sawicza. Tu zaciął się i wyjaśnił, że niestety inżynier pożyczył wóz komuś innemu, który się zabił w katastrofie, ale tego nie dało się przewidzieć. Z pewnym zdziwieniem przedstawił następnie nieudany napad na inżyniera Jabłońskiego.

– Napuściliśmy na niego, dwóch mocnych chłopaków spoza grupy, mamy kilku takich w rezerwie, do cięższej roboty.

– I co?

– Obaj nie potrafią wytłumaczyć, co wtedy zaszło. Mieli już inżynierka w garści, ciemna brama, prawie noc, pusta ulica. Aż tu raptem ktoś na nich skoczył, nie wiadomo skąd się tam wziął, jeden czy dwóch, i załamał chłopców tak, że do dziś siedzą w domu i leczą się.

– Milicja?

– Wykluczone. Milicjanci przecież nie znikliby jak kamfora, w takich wypadkach zawozi się wszystkich do komendy, przesłuchuje, sprawdza dokumenty.

– Mówisz, że ci dwaj siedzą w domu? To znaczy, że milicja nie zna ich nazwisk ani adresów. Znaczący to

również, że ten inżynier ich nie rozpoznał, bo inaczej zwróciłby się do milicji ze skargą, czy jak tam to się u was nazywa. Więc kto to był?

– Nie mam pojęcia. Może po prostu jakiś przechodzień... bo ja wiem, zapaśnik czy bokser, zobaczył, że kogoś leją i dla wprawy wmieszał się w interes. A potem zmył się, bo kto lubi stawać za świadka w sądzie? Nie udało się też jednemu z grupy, Brzezowskiemu, kiedy nocą chciał dostać się do takiego podręcznego magazynku w Zakładach.

– Po co?

– Po jakiś środek wybuchowy. Ługaj wam nie mówił, że chcemy wysadzić w powietrze laboratorium?

– Owszem, określił to jako niezły atut w grze. My jednak uważamy, że należy to zrobić dopiero wówczas, kiedy wszystko inne się nie uda. Kto to jest, ten Brzezowski?

– Technik. Pracuje w Zakładach. W swojej piwnicy założył małe laboratorium chemiczne; potrafi konstruować najróżniejsze miny, zapalniki, granaty, zna się na tym jak mało kto. Trochę tylko się obawiam... – urwał, zerknął niespokojnie na Amerykanina.

– Czego?

– Widzisz, Mirek to urodzony piroman. Chodzi więc o to, aby, przedwcześnie i bez porozumienia z resztą grupy nie zainicjował jakiejś eksplozji. Pali się do tego!

Ken zamyślił się na chwilę.

– Nie wolno mu tego zrobić. Popsuje całą robotę. Założmy, że mu się nie uda, że ktoś go złapie na zakładaniu kabli czy miny, wtedy wyśpiewa milicji wszystko, co wie o grupie.

– Lepiej, żebyś ty z nim pogadał. Jemu bardzo zależy na forsie. Jak mu powiesz, że za taki wyskok nie dostanie ani grosza, to podziała.

– Spróbujemy. Kto, jest czwarty w grupie?

– Dariusz Gniat. Prowadzi prywatny warsztat naprawczy. Bardzo zdolny i oddany sprawie.

– A ta rezerwa, jak ich określiłeś?

– E, to są raczej pionki. Nie wiedzą nic o grupie, płacimy im za to czy tamto, nie pytają dlaczego, biorą pieniądze i są zadowoleni. Użyliśmy ich do napadów i pożaru. Mikrokapsułkę z trucizną sam umieściłem, bo to za delikatna robota dla tamtych.

– Mówiłeś, że Brzezowskiemu nie udało się wejść do magazynu. Dlaczego?

– Coś się nagle zmieniło. Wstawili stalowe, mocne drzwi, do których nie miał odpowiednich narzędzi ani wytrychów. Będzie próbował w tych dniach jeszcze raz. Czy ty chcesz spotkać się i z Gniatem, nie tylko z Brzezowskim?

– Tak. Zawiadom ich, bardzo ostrożnie, żeby byli przygotowani na którąś noc. Zatelefonuję do ciebie pod

wieczór. Nie wspominaj żadnemu z nich, że mieszkam w hotelu i występuję tam jako zagraniczny turysta. Z dziewczyną. – Spojrzał przelotnie na Waldemara i dodał: – Od dziś nie wolno ci przychodzić do „Metropolu”, nie wolno szukać Jenny. Ani mnie zresztą. Ja sam wyznaczę następne spotkanie. Jeżeli zobaczymy się przypadkowo w mieście, nie kontaktujemy się. Rozumiesz? Owszem, wymiana ukłonów, bo już widzieli nas na wspólnej kolacji, ale nic więcej. To na razie wszystko. By! – wyciągnął rękę na pożegnanie. – Odprowadź mnie, bo psy biegają.

Tej nocy Waldemar długo rozmyślał nad spotkaniem z Amerykaninem. O dziewczynie postanowił, a raczej musiał, zapomnieć. Trudno, kiedyś może spotka ją w Paryżu. Ładnych dziewczyn dużo na świecie, nie tę to inną dostanie do łóżka. Najważniejsze, to dobrze rozegrać z amerykańską firmą... jak on powiedział? „Southwark”. Diabli wiedzą, co to za instytucja. Ługaj wie, ale Ługaja nie mą. Siedzi w Paryżu. Takiemu to dobrze!

Rozdział 7

– O, merde!

Colette przysiadła na dywanie, wytrząsnęła na niego całą zawartość torebki, zaklęła po raz drugi. Żeby nie

wiem jak liczyć, sprawdzać, szukać – na nic. W portfelu było nędzne dwa tysiące franków i ani centyma więcej. A do kolejnej wypłaty prawie dwa tygodnie. Co ja zrobiłam z pieniędzmi? – myślała gorączkowo. – Pewnie mi ukradli w metro. Quels salaudes!

Podniosła się, poprawiła opadające ramiączko koszulki. Usiadła na tapczanie, wzięła notes i maleńki złożony ołówek, prezent od szefa na gwiazdkę. Złoto było fałszywe, szef skąpy. Kiedy zsumowała wydatki, okazało się, że pochłonęły nie tylko pensję, ale i niemal wszystkie oszczędności. No tak, najmodniejsze czółenka od „Mme Françoise” z ulicy Faubourg St. Honoré, czerwona torebka z prawdziwej skóry – tamże i oszałamiające perfumy „Nina Ricci”. Wystarczy, żeby nie mieć nawet na obiad.

Stanąła przed lustrem, przyjrzała się swojej twarzy.

– Salope! – wykrzyknęła i tej drugiej w lustrze pokazała język. Trzeba być rzeczywiście ostatnią fładrą, żeby tak się ogołocić z gotówki. Co teraz zrobić? Zaliczki nie dadzą, nie ma nawet co próbować. Pożyczyć nikt nie pożyczy. Owszem, Duroc. Ale zażąda w zamian tego, czego mu Colette dać nie chce, bo ją brzydzi. Jest stary, tłusty i głupi.

Nagle coś jej się przypomniało. Uśmiechnęła się, zańczyła z radości. Potem nakręciła długą, paryski numer

telefonu. Kiedy po tamtej stronie usłyszała męski głos, odezwała się miękko:

– Ici Colette!

– Bonjour, Colette. Miło mi, że dzwonicz. Co u ciebie?

– Kłopoty...

– Mogę pomóc?

– Jeżeli nie ty, to nikt – westchnęła.

Roześmiał się.

– Aż tak źle? Pewnie jesteś bez forsy.

– Zgadłeś, Michel. Możesz mnie skontaktować z twoim przyjacielem Bernardem?

W słuchawce przez chwilę panowała niepokojąca cisza.

– Allo, Michel? – zawołała przestraszona, że odmówi. – Bardzo chcę się z nim zobaczyć. Czy nie ma go w Paryżu?

– Dowiem się. Czekaj na mój telefon.

– Kiedy zadzwonisz?

– Może za kwadrans, a może dopiero w nocy.

Jednakże odezwał się po dziesięciu minutach. Porwała słuchawkę. Michel zawiadamiał, że Bernard spotka się z nią w kawiarni „Mikado” niedaleko placu Alma, o dziewiątej wieczór. Upewniła się jeszcze, że dzisiaj, podziękowała. Kilka godzin spędziła w łazience i przed lustrem, postanowiwszy olśnić Bernarda tak, aby nie pożalował co najmniej siedmiu tysięcy franków.

Wiedziała, że jest ładna, ale jej dość przeciętna uroda potrzebuje oprawy. Kiedy wyszła z domu, dostrzegła uznanie w oczach mijających ją mężczyzn. Na zaczepki umiała reagować dosadnym słowem lub gestem. W innej sytuacji być może spróbowałaby zainteresować się zamożnym cudzoziemcem w eleganckim wozie, tacy na ogół nie skąpią dolarów. Teraz jednak śpieszyła się do Bernarda. To było pewniejsze.

Czekał już przy stoliku w głębi sali. Był szczupły, miał twarz o twardych, męskich rysach i oczy czarne, które najczęściej spoglądały kpiąco, a ironiczny uśmiech wykrzywiał wargi. Colette przyzwyczała się do tego grymasu, mimo iż znali się zaledwie kilka miesięcy i widywali rzadko. Nie zdarzyło się dotąd, aby ona pierwsza zażądała spotkania, chociaż zostawił jej kiedyś telefon Michela. Toteż po przywitaniu spytał wprost, co takiego zaszło, że zadzwoniła. W głosie jego nie było serdeczności, zresztą nie liczyła na nią. Potrzebowała Bernarda, a on – sądziła – potrzebował jej.

– Zostałam bez pieniędzy – odparła szczerze. – Możesz mi dać?

Zastanawiał się, patrząc na nią. W kąciku warg tkwił na wpół wypalony gauloise; uznawał tylko ten gatunek papierosów.

– Ile chcesz? – spytał niewyraźnie.

Zawahała się. Powie za mało – źle, za dużo – wyśmiej, nie da nic. W końcu powiedziała ostrożnie:

– Urządza mnie siedem tysięcy. Co chcesz za to?

Przyglądał jej się przez chwilę. Podeszedł kelner.

– Petit crème – rzuciła na odczepne, było jej wszystko jedno co pije, aby tylko dostać forszę. Bernard odczekał, aż filiżanka z białą kawą stanie przed dziewczyną na stoliku, a potem rzekł cicho:

– Miałas mnie zawiadomić, gdybyś zmieniła miejsce pracy.

– Przecież nie zmieniłam – odparła zdziwiona. – Jestem ciągle u tych Amerykanów w firmie „Southwark”. Jako maszynistka, wiesz przecież.

– Bon. Teraz przyjrzyj się uważnie zdjęciom i powiedz mi, czy znasz tego człowieka. Pochyl głowę. Nie bierz do ręki, pracuj oczami.

Schyliła się, patrzyła. Fotografie przedstawiały tegoż mężczyznę średniego wzrostu: na wprost, z profilu, z bliska i nieco dalej, na ulicy i w jakiejś kawiarni.

– Znasz go?

– Tak. To znaczy nie wiem, jak się nazywa, ale widziałam go kilkakrotnie u nas, w firmie. To jest Polak. O, tutaj – pokazała wzrokiem – na tym zdjęciu idzie przez Faubourg Saint Honoré, poznaję szyld sklepu,

gdzie kupowałam torebkę. Dwa domy od naszej firmy.

- Do kogo przychodził?
- Do szefa. Zawsze. Kontaktował się tylko z nim.
- Kiedy widziałaś go ostatni raz?

Zamyśliła się, obliczała w pamięci.

– Chyba w marcu. Albo na początku kwietnia. Szefa chwilowo nie było, więc siedział w sekretariacie i czekał. Ciągle się pocił, wycierał twarz taką wielką chustką – zachichotała. – Dlaczego myślałaś, że zmieniałam pracę?

– Bo dzwoniłem do ciebie do domu i powiedziano mi, że przeprowadziłaś się, nie podając adresu. Po prostu, znikłaś.

– Prawda. Ale nie chciałam, żeby inni do mnie dzwoniли, przychodzili. Dlaczego telefonowałaś?

- Właśnie dlatego – spojrział na zdjęcia.
- Zależy ci na tym facecie?

Wzruszył ramionami. Nie odpowiedział. Piła kawę, przyglądając mu się z natężeniem. Da czy nie da? Co tu jeszcze dorzucić, żeby dał?

– On nie mieszka w Warszawie – przypomniała sobie. – Nie znam polskiego, ale mówił dosyć dobrze po francusku. Wychodził z gabinetu szefa, żegnali się i on mówił, że jak wróci do... czekaj, taka trochę dziwna nazwa. Podobna do twoich papierosów.

- Do gauloiseów? – zdziwił się. – Może Golewice?
 - O, właśnie! Ty byłeś w Polsce? Kim ty w ogóle jesteś? Na glinę nie wyglądasz. Czemu interesują cię jacyś Polacy?
 - To proste. Pracuję w prywatnym biurze detektywów. Interesują nas niewierne żony i wiarołomni mężowie, kochankowie i szantażyści, dłużnicy i psychopaci. Wystarczy?
 - A ten grubas to kto?
 - Biuro nie zdradza tajemnic swoich klientów. Za to można wylecieć z pracy. Powiedz mi, Colette, nie słyszałaś przypadkiem, o czym rozmawiali z twoim szefem?
 - Nie. Drzwi do gabinetu były zamknięte. Wtedy tylko powiedział, że jak wróci do tych... Golewice, dobrze mówię? Więc jak wróci, to zacznij. Ale nie powiedział, co ma zacząć. Pewnie mój szef dał mu jakąś robotę w Polsce.
 - Ta rozmowa to była w marcu czy na początku kwietnia? Przypomnij sobie.
- Myślała głęboko, wydymając wargi i marszcząc brwi. Praca umysłowa sprawiała jej pewne trudności. Nagle ożywiła się, zawołała radośnie:
- Wiem! Już wiem.
 - Ciszej! – syknął. – Mów cicho.
 - Teraz sobie przypomniałam, że ten grubas przyszedł w dniu moich urodzin. Dostałam wtedy od Edith

czekoladki, a od kolegów dużo kwiatów, aż nie mogłam wszystkich zabrać i zostawiłam sprzątacze.

– Kiedy masz urodziny?

– Czwartego kwietnia.

– I on w wskazał ruchem głowy – przyszedł właśnie tego dnia?

– Tak! Na pewno tak. Bo – roześmiała się – jak siedział w sekretariacie i czekał na szefa, to mu Edith powiedziała, że to moje święto, I on wstał, pocałował mnie dwa razy w rękę. Polacy tak robią. Są grzeczniejsi wobec kobiet niż Francuzi.

– Dużo ich znasz, tych Polaków? – zadrwił.

– Paru. Bernard, pomożesz mi? – zajrzała mu błagalnie w oczy.

– Pomogę.

Wyjął portfel, odliczył banknoty. Wodziła wzrokiem za ruchem jego rąk, westchnęła z żalem. Cztery.

– Proszę – podał jej franki, schował zdjęcia. – Więcej nie mogę. Daj mi teraz swój domowy telefon i adres. Jeżeli zmienisz, zawiadom mnie od razu. Chcę być z tobą w kontakcie.

– A czy... – zawahała się, przysunęła bliżej. – Do siebie mnie nie zaprosisz? Nie podobam ci się?

Pogłaskał ją po ramieniu jak kota. Przypomniał sobie nagle oczy bardzo niebieskie i bardzo kochane, oczy, za

które dałby życie. Twarz mu złagodniała. Dziewczyna zrozumiała, że pomyślał o innej.

– Masz swoją dziewczynę – mruknęła. – Gdzie jest? W Paryżu?

– Daleko. Czas na mnie. Dziękuję, Colette.

*

Na rogu Avenue Marigny i ulicy du Cirque, w małym przytulnym barze siedział przy szklance piwa szcuple, czarnooki mężczyzna. Miał na sobie spodnie z szarej flaneli i granatową marynarkę sportowego kroju, w sam raz na ten dzień pochmurny, za chłodny jak na kończące się lato. Sączył powoli piwo, spoglądał na zegarek. Czekał na kogoś lub na coś. Od czasu do czasu wyciągał z paczki świeżego gauloisea.

Punktualnie o jedenastej do baru wszedł tęgi blondyn średniego wzrostu. Miał twarz rumianą, w połowie zasłoniętą przez ogromne ciemne okulary. Rozejrzał się i bez słowa przysiadł do stolika, przy którym czarnooki kończył swoje piwo i kolejnego papierosa.

– Jak poszło? – spytał przybysz. Obejrzał się na barmana, pokazał palcami: mała kawa, uśmiechnął się. Barman skinął głową; blondyn był tu już dwa razy i zawsze zamawiał; to samo.

– Dobrze – odparł mężczyzna z gauloisem. – To sprytna dziewczyna.

- Nagrałeś?
- Oczywiście. Przychodził do nich kilkakrotnie, między innymi czwartego kwietnia. Łącznie z naszymi obserwacjami daje to jednoznaczny obraz sytuacji. Kiedy wracasz? Zabierz to – podał mu maleńką taśmę magnetofonową.
- Jutro. Słuchaj, Bernard, co mam jeszcze załatwić? Jego towarzysz zamyślił się na chwilę.
- Trzeba, żebyś poszedł do biura przedstawicielstwa Zakładów „C-12”, ściślej mówiąc: ich Zrzeszenia.
- Po co?
- Najpierw powiedz mi, czy oni cię znają. Choćby z widzenia?
- Nie. Nigdy tam nie byłem. Dla pewności wymień mi nazwiska osób, które w tym interesie pracują.
- Roman Bieliński, magister ekonomii, trzydzieści sześć lat, z Warszawy. Zatrudniony od dwóch miesięcy, przedtem w ministerstwie. Andrzej Nowak, stary handlowiec z emhazetu, ale aktualnie leży w szpitalu, więc nie musisz się nim zajmować. Sekretarka, Iwona Karczevska z Łodzi, czterdzieści osiem lat, rozwiedziona, pracuje u nich dwa lata. Przedtem w którymś łódzkim biurze handlowym. Znasz kogoś z nich?
- Blondyn zaprzeczył ruchem głowy.

- Żadnego. Jej też nie. Po co mam iść? I jako kto?
- Wy tłumaczę ci. Posłuchaj.

W godzinę później do przedstawicielstwa Zrzeszenia, niedużego biura, usytuowanego przy ulicy Clichy, wszedł tęgi blondyn w ciemnych okularach. W sekretariacie zobaczył panią z gatunku tych, co to „z tyłu liceum, z przodu muzeum”, choć co prawda to muzeum było bardzo starannie zakonserwowane. Musiała często odwiedzać zakład kosmetyczny i fryzjera. Ubrana ze skromną elegancją, rzuciła na wchodzącego uważne spojrzenie i spytała nienaganną francuszczyzną, czego sobie życzy.

– Dzień dobry pani – odparł po polsku, uśmiechając się. – Jestem Ługaj, główny technolog z Zakładów „C-12”. Mam przyjemność z panią Iwoną Karczewską?
– Ucałował jej dłoń.

– Tak. Witam pana, miło mi poznać. Dyrektor Zawadzki zawiadomił nas o pańskim przyjeździe. Nasz kierownik, pan Nowak wprawdzie nieobecny...

– Słyszałem, że złamał nogę? – wtrącił z ubolewaniem.

– Ach, żeby tylko! Złapał wirusa żółtaczki, biedny człowiek. Ale jest zastępca, pan magister Bieliński.

Magister ukazał się właśnie we drzwiach gabinetu, zwabiony rozmową.

– Ługaj – przedstawił się blondyn, – Cieszę się, że pana poznaję. Tak się złożyło, że chociaż przyjeżdżałem już kilkakrotnie do Paryża, nie miałem okazji zaznaczyć się z państwem.

– No, ja jestem tu dopiero od dwóch miesięcy – odparł Bieliński. – A pani Iwona często wyjeżdża do kraju, ale zawsze do Warszawy. To wspaniały pracownik, zapewniam pana! Trzy obce języki perfekcyjnie, co równie ważne, umiejętność pokonywania niechęci, uprzedzeń, różnych przeszkód w pertraktacjach z Francuzami.

– Od dwóch lat jest to niemal ciężka orka – westchnęła. – Restrykcje pozamykały nam drogę do wielu firm.

– Oj, to niedobrze! – zasmucił się blondyn. – Bo ja przywożę mnóstwo zapotrzebowań od dyrektora Zawadzkiego. I, właśnie chcę pana prosić, panie magistrze, o pomoc. Może podzielimy się robotą?

Usiedli w gabinecie, wypili kawę. Blondyn zostawił Bielińskiemu spis najpilniejszych spraw do załatwienia, resztę biorąc na siebie.

Dodał, iż będzie musiał wyjechać do Bordeaux i Nantes, a może jeszcze gdzie indziej, dlatego nie zdąży już wpaść do biura po raz drugi.

– Będę wdzięczny, jeżeli nada pan teleksem wiadomość do Zawadzkiego, że przyszedłem, przekazałem

i pracuję jak dziki osioł! – roześmiał się. – Zajmie mi to jeszcze sporo czasu.

– Dobrze – odparł Bieliński, nieco zasepiony. Nie bardzo wiedział, czy uda mu się pomyślnie przeprowadzić transakcje z Francuzami, twardo stawiającymi opór. Liczył przede wszystkim na panią Iwonę, a także na rychły powrót Nowaka, na co jednak nie było szans.

Pożegnali się, blondyn wyszedł. Na ulicy odetchnął z ulgą. Pomyślał, że chyba się udało. Nerwy miał przez cały czas napięte; dla rozluźnienia wstąpił do pobliskiego baru i wychylił dwa kieliszki anyżówki. A chociaż nie był policjantem, podzielał w tym, wypadku gust i zwyczaje komisarza Maigreta.

Pani Iwona sprzątnęła z gabinetu filiżanki po kawie.. Bieliński sporządził notatkę o wizycie Ługaja, poprosił o przekazanie do Warszawy.

– Sympatyczny ten technolog – zauważyła. – Ciekawe, słyszałam kilkakrotnie, że w Zakładach „C-12” jest nie lubiany.

– Z ludźmi różnie bywa – odparł z roztargnieniem. Martwił się, że wszystkiego nie załatwi.

*

Dyrektor Zawadzki odetchnął z ulgą. Z Paryża nadzedł teleks od Bielińskiego. Magister donosił, że wczoraj zjawił się w biurze magister Waław Ługaj z

Zakładów. Przekazał dużo (o wiele za dużo, jak można się było domyślać z tonu radiogramu, przetykanego gęsto utyskiwaniami) spraw do załatwienia, sobie zostawiając tylko trochę. Podobno to „trochę” miało jednak największą wagę, czego Bieliński nie mógł sprawdzić i w co musi uwierzyć w ciemno. Postara się sprostać, nałożonym zadaniom dla dobra Zakładów „C-12”.

Po tych wzniosłych zapewnieniach nastąpiło zakończenie, które Zawadzki odczytał na głos, w obecności trójki inżynierów od katalizatora.

– Słuchajcie, bo to pouczające. Bieliński tak pisze: „Pan Ługaj zrobił na nas bardzo korzystne wrażenie i okazał się człowiekiem ogromnie sympatycznym”.

Trójka wybuchnęła zgodnym, zgryźliwym śmiechem, a Sawicz powiedział:

– Oni go pewnie widzieli pierwszy raz w życiu.

– Chyba tak – zgodził się dyrektor. – W każdym razie Bieliński. Bo Nowak go zna, jeżeli pamiętam, z puławskich „Azotów”, ale Nowak jeszcze w szpitalu. Śmiejecie się w myśl zasady, że nikt nie jest prorokiem w swoim kraju. Myślę, że uprzedziliście się do Wacława. Wciąż tylko nie wiem dlaczego.

Inżynierowie spojrzeli po sobie. Jabłoński wzruszył ramionami.

– Najważniejsze, żeby załatwił w Paryżu te części –

odezwał się Marian. – Z czujnikami damy sobie radę. Dyrektorze, mogę w imieniu naszej trójki obiecać zakończenie prac nad katalizatorem... no, za dwa tygodnie. Powiedzmy, w połowie września.

– Wtedy będę wiedział, że drugim zawałem już się tak bardzo nie przejmę.

– Źle pan się czuje? – Sawicz patrzył na niego z niepokojem. Lubił szefa, cenił go, choć często koty darli.

Zawadzki uśmiechnął się, machnął ręką lekceważąco.

– Tak tylko powiedziałem. Marian, więc za dwa tygodnie ruszamy? Powiem w kadrach, żeby ściągali załogę. Brakuje nam czterystu ludzi. Jak zaczniemy amoniak, ci, którzy są, nie wystarczą. Nadgodziny nas nie urządzają. Są za drogie.

Wyszli do laboratorium. Oni nie liczyli godzin, chociaż tych „nad” mogliby sobie wypisać Bóg wie ile. Zmęczeni, niedospani, pozbawieni letniego wypoczynku, twardo ślęczeli nad cholernym katalizatorem. Z zaciekłym uporem, z ambicją rozhuśtaną do najwyższych granic, nie potrafili zająć się niczym innym. Agnieszka z coraz większą troską obserwowała bladą, zapadłą twarz Mariana. Jabłoński nie pojechał już ani razu do rodziców na wieś, choć wiedział, że czekają na niego każdej niedzieli, zwłaszcza dziadek. Zbyszek

Sawicz zapomniał o domu rodzinnym w Poznaniu i nie nawiązał od paru miesięcy żadnej bliższej znajomości z dziewczyną, czemu sam się dziwił.

– Potem – mówił, każdy z nich. – Jak skończymy.

*

W połowie nocy do willi Meresa przyszedł Gniat, a w kilka minut po nim Brzezowski. Jak zwykle siedzieli przy słabym świetle i zasłoniętych oknach w gabinecie Waldemara. Zwołał ich do siebie na godzinę przed umówionym spotkaniem z Kenem w obawie, że mogą się spóźnić, Amerykanin chciał poznać wszystkich członków grupy GET, zorientować się, do czego są zdolni i do jakiego stopnia można na nich liczyć. Brakowało tylko Ługaja, ale Ken ku zdziwieniu Meresa wyjaśnił, że go zna.

– Przecież widzieliśmy się w Paryżu – dodał.

– Prawda – przyznał Waldemar z zażenowaniem – Mówiąc szczerze, to właśnie jemu zawdzięczamy twój przyjazd i współpracę z firmą „Southwark.

– Of course – przytaknął Ken. I więcej już o Ługaju nie mówili, gdyż sprawa była oczywista.

Meres chciał przygotować swoich kompanów do rozmowy z przedstawicielem paryskiej firmy. Czuł się w dużym stopniu za nich odpowiedzialny, czego nie

omieszkał od pewnego czasu podkreślać, aż zirytował Gniata.

– Nie jestem gówniarzem! – wybuchnął przy pierwszej okazji. – Do GET wstąpiłem dobrowolnie, odpowiadam za siebie i za to, co robię.

Teraz Waldemar, wspomniawszy tamte słowa, mówił do obu w miarę koleżeńskim tonem, aby znowu nie wywołać awantury. Z Brzezowskim łatwiej dawał sobie radę; wystarczyło obiecać mu parę wybuchów, aby siedział spokojnie i słuchał poleceń. Gniat był indywidualistą, przywykł we własnym warsztacie pracować tak, jak chciał; nawet w wojsku nie służył ze względu na płaskostopie. „Żadnych szefów!” – było jego dewizą życiową. Wyjątek, o czym mało kto wiedział, stanowiła uległość wobec żony; kłócili się wprawdzie do upadłego, w końcu jednak wygrywała Małgorzata, a on musiał ustąpić.

– Za dwie minuty pierwsza – powiedział Meres. – Zaraz przyjdzie.

– Nie mówiłeś nam, gdzie zamieszkał? I w jakim charakterze? – spytał Dariusz, jak zwykle podejrzliwy i trochę zazdrosny.

– Nie wiem – odparł. Pomyślał, że jeżeli Ken zechce, sam powie o swoim podwójnym wcieleniu. – Chyba będzie... – urwał. Przy furtce dostrzegł zarys

czyjejs sylwetki, niewyraźnej w mroku nocy. – Jest – mruknął, jednocześnie z dźwiękiem dzwonka. Zbiegł na dół, a po chwili wprowadził do mieszkania mężczyznę w ortalionowym, podniszczonym płaszczu i w kapeluszu na głowie.

Gniat i Brzezowski, nieco rozczarowani wyglądem Amerykanina, wstali z miejsc. Gospodarz zdjął z niego, okrycie, powiesił w przedpokoju razem z kapeluszem. Wtedy zobaczyli, że przybysz ubrany jest w wytworny, jasnobezowy garnitur, że spod mankietu błysnął złoty schaffhausen, a na palcu gruby złoty pierścień z brylantem. Ken obrzucił ich uważnym spojrzeniem, podał każdemu rękę. Usiedli, Waldemar przyniósł butelkę koniaku i kieliszki.

– Well. Cieszę się, że mogę panów poznać – odezwał się dobrą polszczyzną, ale z gardłowym obcym akcentem. – Zanim przystąpimy do konkretnej rozmowy na temat waszej współpracy z firmą, którą reprezentuję, chciałbym usłyszeć kilka zdań o każdym z panów. Tak dla lepszej orientacji. My się już znamy – zwrócił na Meresa szare, głęboko osadzone oczy. – Więc pan – spojrzał na Gniata. Tym razem Waldemar wytrzymał spojrzenie Kena, chociaż ciągle nie rozumiał, dlaczego jego wzrok wydaje mu, się taki dziwny. Może dlatego, że oczy miał jakby lekko przymglone, nieruchome...

Dariusz poprawił się na krześle, odchrząknął; nie był

przygotowany na wygłoszenie życiorysu, to i owo wolałby z niego pominąć, nie miał już jednak czasu na przemyślenie. Zacinając się, pokaszłując, opowiedział w końcu o sobie. Dorzucił kilka słów pochwalnych pod adresem aktualnej polityki Stanów Zjednoczonych i ich przywódcy, zapewnił o oddaniu Sprawie, a także – co nie przyszło mu bez oporów – o posłuszeństwie wobec firmy „Southwark”. Ponieważ prawie nie znał angielskiego, wymówił nazwę tak, jak się pisze i Amerykanin poprosił o przetłumaczenie, gdyż nie zrozumiał.

Brzezowski lakonicznie streścił swój krótki życiorys, wyjaśnił, że od trzech lat pracuje w Zakładach „C-12” jako technik i już miał na tym zakończyć, kiedy oczy mu rozbłysły i znów go poniosło. Stało się to, czego najbardziej obawiał się Waldemar: skromnemu technikowi zamajaczyła w wyobraźni Wielka Eksplozja... Mówił, mówił, podniecał się, już nie tylko zakłady, ale pół, kraju legło w gruzach wskutek straszliwego wybuchu, po którym nastąpić miały dalsze.

Ken słuchał z twarzą nieprzeniknioną, jednakże Gniat, obserwujący go uważnie, dostrzegł ledwie dostrzegalne skrzywienie warg, ni to pogardliwy uśmiech, ni to niedowierzenie. Trącił Meresa, burknął coś. Waldemar odetchnął głęboko, otworzył usta, ale Amerykanin go uprzedził.

– A jak pan sobie wyobraża dalsze swoje losy w kompletnie zniszczonym kraju? – spytał.

Brzezowski popatrzał na niego mało przytomnie i umilkł.

– On ma nadzieję... – zaczął Dariusz, ale urwał. Niech tamten mówi za siebie.

– Nadzieję na co? – Ken był dociekliwy.

– Na pańską pomoc – Mirosław odzyskał mowę i przestał robić wrażenie szaleńca.

– Konkretnie. Jak pan sobie tę pomoc wyobraża?

– Sądzę, że mógłbym bardzo się przydać w pańskim kraju. Mam na myśli Stany Zjednoczone.

Nastała chwila ciszy. Amerykanin wyjął paczkę chesterfieldów, poczęstował kolejno wszystkich trzech, sam zapalił, przez cały czas nie spuszczać oczu z Brzezowskiego. W końcu rzekł:

– Oczywiście, zna pan doskonale język angielski i ma pan wyższe wykształcenie techniczne wojskowe. Tak? Bo w przeciwnym wypadku nie otrzyma pan nawet wizy wjazdowej.

Technik-piroman pobladł, wargi zaczęły mu dygotać. Zaciągnął się głęboko dymem, aż policzki zapadły i odparł cicho:

– Tak. To jest... nie. Uczę się angielskiego.

Ken momentalnie przeszedł na angielski i zasypał Mirosława potokiem słów, a potem wyraźnie czekał na

odpowieź. Niestety, z tego wszystkiego technik zrozumiał jedynie: „bardzo” i „wczoraj”, bo poprzedniego dnia wbił je sobie do głowy z samouczka. Wyjąkał więc po polsku, że jeszcze nie jest przygotowany do egzaminu. Miał to być żart, ale Ken zmarszczył brwi i nacierał dalej:

– Pytałem o wykształcenie techniczne wojskowe. Co pan ukończył?

– Mówiłem już, że technikum chemiczne.

– Nic więcej?

– Nie zdążyłem.

– W wojsku pan służył?

– Tak, zostałem powołany.

– W jakim rodzaju wojsk?

– W piechocie.

– Jako chemik? – zdziwił się Amerykanin.

Brzezowski poczerwieniał, wahał się z odpowiedzią. W końcu odparł cicho, że po dwóch miesiącach wstępnego przeszkolenia został dyscyplinarnie zwolniony, przekazany prokuratorowi i odsiedział półtora roku.

– Niesprawiedliwie! – wybuchnął, czując, że w oczach zagranicznego gościa pogrąża się coraz głębiej.

– Ja wcale...

– Nic mnie to nie, obchodzi – przerwał Ken. – Żeby nie było niejasności: po tym, co usłyszałem, nie ma pan szans na wyjazd do USA. Potrzebują tam ludzi innego

rodzaju. Natomiast być może powiodłoby się panu w RFN. Dla nas tacy jak pan potrzebni są tutaj, w Polsce. Well, zakończmy na tym sprawy personalne. Co przewidujecie na najbliższe dni? – zwrócił się do Meresa.

– Chcemy kontynuować akcję likwidacyjną wobec trzech inżynierów, zatrudnionych przy katalizatorze. Właśnie jutro zakładamy zasadzkę na Sawicza, to jest jeden z nich. Ten, w którego samochodzie umieściliśmy mikrokapsułkę...

– Co to jest? – zainteresował się Amerykanin.

– Silny środek trujący w ampułce – wyjaśnił Waldemar i chciał jeszcze coś dodać, ale przerwał zaskoczony ostrym pytaniem:

– Trucizna? Skąd ją mieliście?

Meres raptem zmieszał się, zakaszłał. Mikrokapsułki otrzymał od Johna, lecz tamten zastrzegł, że jest to absolutna tajemnica i w żadnych okolicznościach nie miał prawa jej ujawnić, nawet teraz, w rozmowie z Kenem. Przez chwilę trwało milczenie, które, przerwał Brzezowski.

– Ja mu dałem – oznajmił spokojnie. – Sam zrobiłem.

Gniat i Meres spojrzeli na niego ze zdziwieniem; ten ostatni błyskawicznie pojął, że to kłamstwo nie chwyci. Brzezowski i takie ampułki, kompletna bzdura!

– Podaruj sobie te wygłupy – uciszył „wynałazcę”.

– A tobie powiem, skoro chcesz koniecznie wiedzieć – zwrócił się do Kena. – Ja sam wpadłem na taki pomysł, kiedy organizowaliśmy naszą grupę GET. Kupiłem truciznę u jakiegoś marynarza w ubiegłym roku na wybrzeżu. Nawet nie wiem, kto to był: Duńczyk czy Szwed? Nieważne, grunt, że sprzedał i dokładnie wytłumaczył, jak się tym posługiwać.

Amerykanin słuchał i nagle zapytał:

– Czy ten obcy człowiek sam zaproponował ci kupno? Tak zwyczajnie i bez obaw, że nie trafi z tego powodu w ręce waszej milicji?

– Nie, to odpada – zapewnił Waldemar, kłamiąc jak z nut. – Poznałem go w knajpie, popiliśmy zdrowo i tak dla zgrywy powiedziałem mu, że chciałbym po cichu załatwić pewnego cwaniaka, który doczepił się do mojej dziewczyny. Spluwa lub nóż zostawiają ślad. Tamten zrozumiał, w czym rzecz, i puścił farbę: zapłacisz, zrobi się. No i zapłaciłem.

– Ile masz jeszcze tych ampulek? – głos Kena stał się szorstki.

– Na kilku kolejnych klientów w każdym razie starczy – odparł Meres. – Mam ten zapas dobrze ukryty, tu, w moim domu. Skrytka jest absolutnie pewna, nikt poza mną jej nie zna...

– Brawurujesz, Waldi – padły skandowane słowa. – Pojęcia nie masz, czym to grozi. Domyślam się, jaka

trucizna jest w tych ampułkach. Niepotrzebnie narażasz i siebie, i nas wszystkich. Jeśli substancja pod wpływem niewielkich nawet wstrząsów przetrawi cienką osłonę, sam staniesz się jej ofiarą. Czy ty rzeczywiście tego nie rozumiesz?

Meres drgnął, Gniat zerwał się z miejsca, marszcząc brwi.

– Niech pan siada – uspokoił go Ken. – Na razie wszystko jest w porządku. Zastanowię się, gdzie przemieścić truciznę, ale jeszcze nie dzisiaj. Radzę jednak nie ruszać ampułek bez mojej wiedzy.

Odczekał parę minut, uśmiechnął się przelotnie. Wypił łyk koniaku i spytał już łagodniejszym tonem:

– Jakiego rodzaju ma być ta zasadzka na inżyniera... Salicza, tak?

– Sawicza. – Meres skwapliwie przeszedł do przyjemniejszego tematu. – Brzezowski skonstruował minę, niewielką, ale o dużej sile wybuchowej. Działa przy pomocy zapalnika elektrycznego.

– Co to za mina? – przerwał Ken. – Jaki materiał?

– Tovex 200 – odparł Brzezowski z pewną dumą. – Inicjowanie ostrym zapalnikiem elektrycznym. Przygotowałem ją tak, że wybuchnie pod naciskiem, a podłączenie do prądu sieciowego.

– Tovex 200 jest produkcji pewnej amerykańskiej firmy – zauważył Ken ze zdziwieniem. – Skąd pan to wziął?

– Jakieś., chyba z dziewięć lat temu stosowano ten materiał wybuchowy w dwóch polskich kopalniach miedzi. Dostałem go. – Brzezowski umilkł, nie chciał więcej wyjaśniać.

– Dobrze. Gdzie to chcecie umieścić?

– Przy drzwiach wejściowych do jego mieszkania, pod wycieraczką. Sawicz zajmuje lokal na końcu korytarza, ostatnie drzwi. W pobliżu jest lampa oświetleniowa, do niej podłączę. Inżynier podejdzie, musi nogą nastąpić na wycieraczkę. Jeden krok wystarczy.

– A jeżeli przed jego przyjściem zapędzi się tam ktoś inny, na przykład dziecko? Albo pies sąsiadów?

– Na pewno nie. – Teraz mówił Meres. – Zbadaliśmy sytuację. Na tym piętrze nikt nie ma psa. A dzieci sąsiadów jeszcze są na wakacjach. Nam przecież zależy na likwidacji Sawicza, a nie obcych ludzi. Już raz – urwał, nie chciał wracać do tamtej sprawy. Ale Ken nie uznawał niedomówień.

– Wiem. Zginął jakiś technik. Mówiłeś mi. Przygotowaliście się starannie? Przecież przy zakładaniu miny może pana zauważyć któryś z lokatorów? – zwrócił się do Brzezowskiego.

– Kwestia jednej minuty – odparł technik-piroman.

– Zrobię to pod wieczór, Sawicz zwykle wraca około dziewiętnastej albo trochę później. Dom jest tak zbudowany, że jego mieszkanie znajduje się jakby oddzielnie, za zakrętem korytarza. Idealne warunki do wybuchu! – roześmiał się.

– Mamy jeszcze inne plany – rzekł Meres. – Dyrekcja Zakładów wysyła w tych dniach kilku pracowników do najbliższych, a może i do dalszych miejscowości w poszukiwaniu nowych ludzi. Brakuje im paruset do roboty. Otóż my ich uprzedzimy. Już jutro wyjedzie z naszej grupy GET czterech cwanych chłopaków...

– Co to: cwanych? – przerwał Ken. – Ja nie mówię po polsku tak jak ty.

– No, bystrych, sprytnych. Są rodem z Golewic lub z okolicy, mają mnóstwo znajomych. Będą agitować za niezgłaszaniem się do C-12”. Argumentów mają sporo. Ot, choćby ten, że warunki pracy w chemii są ciężkie, a dyscyplina ostra. Co prawda tutejsza załoga dobrze zarabia, ma różne dodatki zdrowotne, ale o tym nie będą mówić.

– To pewni ludzie?

– Tak. Za forszę zrobią wszystko.

– Pomysł kapitalny – pochwalił Ken. – Daj mi ich nazwiska, żebym mógł wciągnąć na listę.

– Jaką listę? – spytał Gniat ze zdumieniem.

– Płatników firmy – odparł Amerykanin. – Są to niezbędne formalności, ja też muszę mieć w ręku dowody, aby mój szef zgodził się wypłacić tym chłopakom dolary. Słowa nie wystarczą.

– Jasne – zgodził się Meres. – Zapisz: Kowalczyk Zbigniew. Borniak Tadeusz. Nowak Daniel i mój imiennik, Waldemar Kędziński. Może ci przeliterować?

– Nie, już mam. Na tym skończymy dzisiejsze spotkanie. – Ken podniósł się, spojrzął na zegarek. – Późno, trzeba trochę pospać. Do zobaczenia, panowie!

*

O piątej po południu w ostatnie dni sierpniowe słońce przygrzewało niczym w środku lata i susza usadowiła się na dobre w wiejskich studniach, małych potokach i stawach.

Golewice miały wodociąg, zasilany z wielkiego zbiornika wodnego, toteż póki co nie odczuwały skutków posuchy. Mieszkańcy bloków na osiedlu „Słoneczna” po pracy pędzili co tchu na swoje działki, podlewać grządki i krzaki. W domach trwała błoga, nie zmaczona ujadaniem psów i wraskiem dzieci, poobiednia cisza.

Brzezowski, ubrany w roboczy kombinezon, z teczką wypchaną narzędziami tak dalece przypominał hydraulika, że na ulicy kilkakrotnie zaczepiano go w nadziei,

że coś tam dokręci, odkręci czy naprawi. Odpowiadał, że jest zajęty, albo udawał, że nie słyszy. Wszedł do bloku, w którym mieszkał inżynier Sawicz, rozejrzał się, stwierdził, że od poprzedniego dnia nic się nie zmieniło żadnej ekipy malarzy, monterów SPEC, żadnego remontu, nic z tych rzeczy. Uspokojony wszedł na trzecie piętro. Tam postać parę minut przy oknie, nadłuchiwał odgłosów z mieszkań; gdzieś głośno grało radio, darło się niemowlę, szczękały garnki w kuchni.

W korytarzu, biegnącym pod ostrym zakrętem i zakończonym lokalem numer szesnaście, nie słyhać było nikogo. Gniat czekał na dole i w razie gdyby Sawicz ukazał się na horyzoncie, powinien biegiem dopaść na trzecie piętro, uprzedzić kolegę. Brzezowski miał do Darka zaufanie, wiedział, że nie narazi go na zgubę. Zabrał się więc do tego, co miał wykonać.

Wpierw w ciągu kilku sekund umieścił jeden koniec kabla w przewodzie lampy korytarzowej. Potem bardzo ostrożnie połączył drugi z miną, która wyglądała jak podłużny przedmiot wielkości pudełka zapalek. Włożył ją delikatnie pod słomiankę – oznaczało koniec roboty.

Popatrzał potem na zegarek: no, przesadził wtedy w nocy. Nie minutę mu to zabrało, lecz sześć. Mniejsza z tym. Poprawił wycieraczkę koniuszkami palców, bo leżała trochę krzywo. Stwierdził raz jeszcze, że inżynier

w żaden sposób nie może otworzyć drzwi bez postawienia nogi na słomiance. Chyba żeby czegoś się domyślał, ale to wykluczone.

Spojrzał na lampę, czy nie widać zwisającego kabla, w tej części korytarza panował jednak mrok. Lampa nie zapali się wieczorem, o to już się postarał. Kiedy Sawicz przyjdzie, pomyśli, że żarówka wysiadła. Albo w ogóle nie zdąży już nic pomyśleć.

Zebrał narzędzia, wsunął do teczki. Nałożył ciemne okulary, cicho zszedł na dół. Gniat przechadzał się niebdałym krokiem po chodniku, zezując na prawo i lewo. Kiedy dostrzegł Brzezowskiego, twarz mu się rozjaśniła.

– W porządku? – spytał.

Mirosław kiwnął tylko głową. Był zdenerwowany, on jeden znał siłę wybuchu tovenu 200; kiedy miał w rękę minę, ręce mu nie drżały, dopiero teraz strach dał znać o sobie. Gniat spojrzał na niego uważnie, powiedział:

– Idziemy „Pod Koguta”. Musisz sobie gołnąć, to się uspokoisz.

– Waldek mówił, żeby nie pić – burknął, chociaż czuł, że bez kieliszka, albo lepiej bez ćwiartki, nie wytrzyma.

– Co tam Waldek! – zirytował się kolega. – Z Amerykaninem mówią sobie ty, to już myśli, że może nam rozkazywać. Chodź!

Brzezowski zakłopotał się, pokazał na kombinezon.

– W tym?

– Masz zmartwienie? Do „Metropolii” nie wszedł-
byś, ale „Pod Koguta” w sam raz. No, idziemy!

Kiedy siedzieli już w kącie knajpy, Dariusz rzekł ci-
cho:

– A wiesz, widziałem tego Kena w restauracji hote-
lowej. Był z fajną dziewczyną, klasa babka! Też Ame-
rykanka, mówił do niej: Jenny. Widać tam mieszkają.
Nie wiem, czy to jego żona czy zwyczajnie, taka do
podróży i zabawy. Ładna, aż mi się do niej oczy śmiały.

– Podszedłeś?

– Nie. Przecież zabronił. Nawet się nie ukloniłem.
A szkoda!

*

Gdzieś w środku nocy Meres postanowił zobaczyć
na własne oczy, jak wygląda trzecie piętro bloku, w
którym mieszka inżynier Sawicz. Mieszkał! – poprawił
sam siebie. – Jeżeli go nie rozerwało na strzępy, to do-
gorywa w szpitalu. Teraz zajmiemy się tamtymi dwoma.

Zdziwiło go wprawdzie, że nie słyszał ani jednego
sygnału straży pożarnej lub karetki; pomyślał jednak, że
osiedle „Słoneczna” jest dość oddalone od jego willi.

Narzucił płaszcz nieprzemakalny, bo noc była chłodna, zanosił się na deszcz. Wyszedł, zamknął furtkę na dwa klucze (niedawno założył nowy, specjalny zamek) i spacerowym krokiem zaczął iść w stronę osiedla.

W mieście było cicho. Mało kto przemykał się ulicami, tylko w pobliżu hotelu kręciły się jakieś sylwetki i stało kilka samochodów. Miał wielką ochotę wstąpić, zaprosić Kena na wspólny spacer, pokazać zniszczone wybuchem piętro, czarne od pożaru, okna mieszkania numer szesnaście. Wiedział jednak, że nie wolno mu tego zrobić. Szedł więc dalej, aż zobaczył osiedle. W świetle latarni białe, wielopiętrowe bloki i pawilony handlowe wyglądały jak śpiący kamienny las. Uliczka, przy której mieszkał Sawicz, znajdowała się w głębi, przy skwerze, gdzie zwykle bawiły się dzieci.

Nagle Waldemar zaniepokoił się. Chociaż od chwili wybuchu, według jego obliczeń, upłynęło już co najmniej sześć godzin, przy tamtym domu powinny jeszcze stać wozy straży pożarnej, radiowóz, powinna kręcić się gromada gapiów i lokatorów z sąsiednich bloków. Tymczasem dokoła panowała niczym nie zmacona cisza i spokój. Przyśpieszył kroku; po chwili znalazł się przed czymś, co miało być ruiną i grobem inżyniera, a co nie nosiło najmniejszych śladów uszkodzenia ani pożaru. Dom stał taki sam jak wczoraj, jak dziesięć lat temu,

kiedy go zbudowano – no, może trochę tu i ówdzie odrapany, z wyraźnie nową rynną na jednym rogu.

Meres zatrzymał się i patrzył w górę, na okna trzeciego piętra. Wiedział, które należą do mieszkania Sawicza. Inżynier nie spał pewnie, bo przez żółtawe zasłony przebijało się światło.

– Jak to możliwe?! – szepnął, zaciskając pięści w kieszeniach płaszcza. Czyżby Brzezowski w ostatniej chwili zląkł się, zrezygnował albo też ktoś czy coś uniemożliwiło mu założenie miny?

Stał jeszcze kilka minut, choć nie miał już wątpliwości: żadnego wybuchu nie było. Potem odwrócił się na pięcie i tak szybko, jak, mógł bez wzbudzania czyjegóż zaciekawienia, poszedł prosto do mieszkania Brzezowskiego. Długo stukał i dzwonił, zanim technik mu otworzył.

– Co się stało? – wymamrotał, przecierając oczy. – Po coś przyszedł?

Waldemar poznał, że Mirosław jest pijany. Musiał niedawno się położyć i alkohol jeszcze z niego nie wyparował. Popchnął go w głąb pokoju, zatrzasnął drzwi i rzucił wściekłym głosem:

– Założyłeś minę?!

– Oczywiście. A co, byłeś tam?

– Byłem, kretynie. Nic nie wybuchło, dom stoi, jak stał, Sawicz siedzi sobie w mieszkaniu. Coś ty właściwie

zrobił, cholerny debilu? No, mów? – wrzasnął. – Założyłeś?!

Brzezowski oprzytomniał, sięgnął po papierosa, zapalił. Nie odzywał się przez chwilę, w końcu odparł stanowczym tonem:

– Słuchaj, ty mi od debilów nie wymyślaj. Ja swoją robotę znam. Założyłem tovox 200 pod słomiankę, podłączyłem do prądu, musiało wybuchnąć.

– Ale nie, wybuchło! – Meres wypluł z siebie wiązkę ciężkich przekleństw, opadł na krzesło. – Cała twoja robota na nic.

Milczeli jakiś czas, w końcu Brzezowski rzekł:

– W takim razie widzę tylko jedną możliwość. On się zorientował, może szedł z latarką i zobaczył kabel. Wyjął go z kontaktu... oni tam są pewnie ostrożni i czujni po tych wszystkich napadach. Więc zaczął szukać, znalazł minę i zabrał. Przecież to jest inżynier. Fachowiec.

– To trzeba było jakoś inaczej ten kabel... Nie mogłeś na baterie?

Mirosław wzruszył ramionami.

– Mogłem. Ale do sieci lepiej.

– Taki numer więcej nie przejdzie – mruknął Meres ze złością. – Każdy z nich będzie węszył przed drzwiami, rozglądał się, badał ściany, lampy i wszystko, co na drodze. A żeby to szlag trafił!

Rozdział 8

Piękny jest zajazd „Pod Złotym Lisem” na krańcach gminy Załęże. Zbudowany na wzór góralski, choć okolica równa jak stół, piętrowy, drewniany, z daleka wabi oczy podróżnych, którzy najczęściej wstępują tam w drodze z Warszawy na północ.

Jeżeli natrafili na porę wczesnoobiadową, czar „Złotego Lisa” nie znika. Meble w ludowym, nieco tylko zwichniętym stylu, barwne serwety, wycinanki, absolutny folklor łącznie z hożymi kelnerkami w szumiących spódnicach i kolorowych gorsetach, przybranych cekinami. Potrawy również stylowe, co prawda po cenach horrendalnych, ale kto ma na wycieczki krajoznawcze, na samochód, ten z łatwością płaci setki złotych za kaszanekę staropolską, za zrazy po chłopsku itp. Drogo, zacisznie i dostojnie.

Inaczej natomiast działa się zwykle w zajazdzie w godzinach wieczornych. Stoliki okupowały tabuny mężczyzn w sile wieku, z rzadka przetykane dziewczętami w wieku niedojrzałym, ale z doświadczeniem. O tej porze za mawiano wprawdzie tu i ówdzie gorące dania, te najtańsze, przede wszystkim jednak piwo, wzmocnione „żytem”. Pito pod ogórek, pod pomidora lub zwyczajnie – pod extra mocne czy klubowe. Kelnerki nie nadążały ze sprzątaniami i stoliki wyglądały jak po tygodniowej libacji.

W takiej atmosferze i wśród takich ludzi Tadeusz Borniak czuł się najlepiej. Od paru lat nie mieszkał już w Załężu, ale tu się urodził, tu staczał pierwsze bójki, czasami chadzał do szkoły, zawsze na mecze piłki nożnej i siatkówki, prowadzone z zacięciem przez miejscowe drużyny. Dzisiaj dobiegał trzydziestki, urządził się nieźle u sadownika w Golewicach, a od pewnego czasu próbował sił we współpracy z działaczami wielkiej polityki. Borniak na polityce się nie rozumiał, wspomnianym działaczom wierzył ślepo; dla niego jedynie ważnym był fakt, że płacili. I to dobrze. Nie pytał więc, dlaczego i co ma z tego wynikać. Kiedy go potrzebowali, przychodził, dowiadywał się, w czym rzecz, ile dostanie, jaki termin. Potem robił to, co mu kazano, dostawał pieniądze i znikał. Co prawda ostatnio mu się nie powiodło, a wspominał to z przykrym zażenowaniem. Tego inżyniera miał już w ręku, razem z Danielem mogli mu porozrzucać wszystkie kości tak, aby ich potem żaden chirurg nie potrafił złożyć do kupy. Ktoś się jednak w to wmieszał (Daniel, przesądny z natury, podejrzewał siłę nieczystą) i Tadeusz przez dwa tygodnie przykładał kompresy na zboląły brzuch.

Do Załęża przyjechał dzisiaj swoim starym fiatem, zaparkował przy zajeździe i wszedł do środka. Pora była przedwieczorna, przy stolikach pełno. Borniak pamiętał,

że od jutra rana ma przeprowadzać agitację antychemiczną, jak to określił Meres. Podjął się tego zadania, bo obiecano dolary, choć nie powiedziano ile. Borniak znany był z tego, że „miał gadane”. Słowa płynęły mu z ust wartkim potokiem, pouczenia przeplatał słonymi kawałami, umiał zabawić, przyciągnąć, zachęcić lub odstraszyć, zależnie od potrzeby.

– Dam sobie radę – zapewnił Meresa. – Ani jeden sk...n nie ośmieli się pracować w golewickich Zakładach! W razie czego dam po mordzie albo całkiem uciśnię. Mnie tam obojętne.

Rozejrzał się po sali, dostrzegł znajome twarze. Przysiadł się to tu, to tam, wypijał kufel piwa, zakąsał setką i ogórkiem. Po godzinie nie bardzo już rozróżniał, z kim pije i gdzie jest, ale to nie było ważne. Czuł błogie działanie alkoholu, wykrzykiwał do kogoś, trącał się kieliszkiem, rozlewał piwo na stole. Oczy mu zachodziły mgłą, toteż nie od razu spostrzegł czyjś, gniewny wzrok, i obcą twarz X ogromnymi czarnymi wąsami. Machnął ręką, chcąc przepędzić natręta, ale twarz zbliżyła się – groźna, napastliwa.

- Co jest? – wybełkotał. – Czego chcesz?
- Oddaj forszę! – usłyszał rozzłoszczony bas.
- Jaką forszę? Odczep się.
- Oddaj po dobroci, a nie, to ci gnaty porachuje!

– Żebyś ja ci czego nie porachował! – Trochę wytrzeźwiał, dźwignął się z krzesła i przypatrzył czarnym wąsom. – Nie znam człowieka – oświadczył wyniośle. Zaniepokoiło go, że obok wąsatego stało jeszcze paru innych. Też obcych i też wyraźnie nieprzyjaznych.

– Pół roku minęło, jak pożyczyłeś ode mnie czternaście patyków. Na tydzień – huczał rozeźlony bas. – Po knajpach się włóczysz, żresz, pijesz za moje. Dawaj szmal!

Borniak potarł czoło, próbując przypomnieć sobie ten dług, o którym nie miał pojęcia. Czternaście tysięcy? Takie g...? Tyle zarabia w dwa dni u sadownika.

– Nieporozumienie – ostrożnie wyraził swoją opinię, bo tych kilku za plecami wąsatego bardzo mu się nie podobało. – Ja od nikogo takiego barachła nie pożyczałem.

Potem poszły w ruch ręce, nogi, głowy („bykiem”), pisnęły zatrwożone kelnerki, spadło kilka wycinanek z żyrandola, mieszając się ze szczątkami szkła i porcelany. Trwało to jednak bardzo krótko, może cztery minuty, bo jak spod ziemi wyrosła na sali milicja.

Borniak, wytrzeźwiał i posępny, próbował wytłumaczyć władzy, że nic o żadnym długu nie wie, wąsatego nigdy nie widział. W odpowiedzi tamten wymownym gestem pokazał wielki guz na ciemieniu, poszarpaną

marynarkę i duży palec lewej ręki, z którego kapłała krew.

– Być może pomyliłem tego pana z kim innym – mówił z zalem – ale on mi bez przyczyny tak dołożył, jakbym mu jaką krzywdę zrobił. Wydaje mi się, panie kapralu, że to nieładnie z jego strony.

Władza myślała krótko, zdecydowała szybko. Borniak został umieszczony w posterunkowym areszcie. Poinformowano go, że na drugi dzień stanie przed kolegium. Chyba żeby nie zdążyło się zebrać tak od razu, bo członkowie mają swoje gospodarskie i domowe sprawy, co należy uwzględnić. Wtedy sprawa trochę się opóźni. Nie ma co się denerwować, areszt jest czysto wysprzątany, żadnych insektów nie ma, a posiłki przynoszą regularnie. Jeżeli obywatel chce, może też dostać drugi koc, choć na dworze ciepło.

Wściekły i przeraźliwie zdumiony Borniak dokładnie po czterdziestu ośmiu kodeksowych godzinach stanął przed kolegium orzekającym, które w poczuciu dobrze spełnionego obowiązku ukarało go grzywną, dodając, że w razie nieposiadania gotówki może odsiedzieć. Nie miał już przy sobie nawet tysiąca złotych, gdyż lekkomyślnie wydał pieniądze „Pod Złotym Lisem”. Wrócił więc do aresztu i pozostał w nim przez tydzień. Kiedy kara się skończyła, oddano mu sumiennie pasek

od spodni, scyzoryk z trzema ostrzami, pilnik i parę innych drobiazgów. Pouczono go też, że przez najbliższe miesiące ma się nie pokazywać w tej okolicy, gdyż robi złe wrażenie.

*

Daniel Nowak, mężczyzna o przyjemnej aparycji – kędzierzawy blondyn słusznego wzrostu, i Zbigniew Kowalczyk chudy, ciemnowłosa z wypukłymi bladymi oczami, obdarzony mimo mizernego wyglądu ogromną siłą fizyczną (w przeciwieństwie do umysłowej) wyjechali z Golewic wczesnym rankiem, tak aby w porze przedobiedniej zdążyć do wsi Mosty Wielkie. Daniel miał tam szwagra i mnóstwo znajomych. Następnego dnia zamierzali odwiedzić rodzinną wioskę Kowalczyka i jeszcze kilka innych w okolicy.

Meres postarał się dla nich o zapas benzyny, gdyż wybrali się samochodem Nowaka, niedawno kupionym na warszawskiej giełdzie. W pewnym sensie był to wóz służbowy; miał być używany do wszelkich akcji grupy GET. Dlatego Nowak zapłacił za wartburga tylko jedną trzecią żądanej sumy, resztę wyłożył szef grupy.

Samochód, w bardzo dobrym stanie, lśnił zielonym lakierem i obaj wysłannicy agitacji antychemicznej

czuli się w nim doskonale. Prowadził Daniel, a jego towarzysz drzemał lub pogwizdywał.

W Mostach Wielkich znaleźli się około dziesiątej rano. Nowak zaparkował wóz na podwórzu szwagra, po czym zaczęli we trójkę – bo i szwagier się przyłączył – obchodzić najbliższe domy. W miarę jak szli zbierała się przy nich coraz liczniejsza gromadka słuchaczy, zaciekawiona, co też powiedzą na temat Zakładów „C-12”.

Daniel, inteligentniejszy od Zbigniewa i bardziej oblatany w zagadnieniu, nie mówił wprost: nie angażujcie się do tej roboty! Jakby od niechcienia wspominał swoje dwa, przepracowane w Zakładach lata, wyciągając na światło dzienne wszystkie trudności, bóle i złe strony zagadnienia. Kiedy chciał podeprzeć słowa mocnym argumentem, pokazywał na Kowalczyka.

– Patrzcie, jak ten chłopak wygląda – mówił z udawanym współczuciem. – Przy wzroście metr osiemdziesiąt waży zaledwie czterdzieści kilo. Zakłady wydarły mu całą siłę, chemia nie oszczędza organizmu! Choruje na wątrobę, nerki, śledzionę, a w dodatku mózg mu się kurczy.

Słuchacze zamierali z wrażenia, próbując wyobrazić sobie, jak wygląda skurczony mózg i co z tego wynika. Kowalczyk, który nigdy w chemii nie pracował i cieszył

się dobrym zdrowiem, wzdychał żałośnie, potakując koledze.

Gromadka zainteresowanych powiększała się, szepotali między sobą, wytrzeszczali oczy na agitatorów. Pewien sukcesu Daniel zamierzał właśnie uderzyć frontalnie, nie ukrywając już swojej misji, kiedy dostrzegł, że ten i ów odwraca głowę w stronę krańca wsi, skąd dobiegał szum silników i jakby muzyka.

– Co tam jest? – spytał szwagra, niezadowolony z, nieuwagi zebranych.

– Nie wiem – odparł krewniak. – Tak, jakby... O, do pioruna!

Nie musiał kończyć. Szum silników wzmógł się, buchnęły trąby i łoskot bębnow. Wszystkie głowy jak na komendę obróciły się w tamtą stronę, a po chwili przy agitatorach nie było już nikogo.

– Wojsko! – powiedział szwagier. – Pewnie jadą z manewrów i zatrzymali się przy plebanii.

– Dlaczego przy plebanii?

– Bo stary proboszcz to kombatant. Nie pamiętasz? – zdziwił się. – Na dwunastego października zawsze wkłada, mundur. A orderów i medali to ma więcej niż niejeden generał. Wikarego tak wymusztrował, że mu tego dnia gra na organach „Czerwone maki”, „Okę” i takie różne. Stary jest, ale się dobrze trzyma. Jak raz zachorował, to ludzie dzień i noc pod plebanią sterczeli,

a baby w kościele leżały krzyżem i płakały. Kiedy wyzdrowiał, to mu kwiatów nanieśli do kościoła, aż świętych obrazów nie było widać.

Szwagier mówił, ale widać już było, że same nogi zaraz go poniosą tam, skąd dobiegały dźwięki wojskowego marsza.

– Długo oni będą tu stać? – spytał Kowalczyk.

– A kto ich wie! Mogą i tydzień, jak im tak wypadnie. Cześć, Daniel! – I już szwagra nie było.

Dwaj agitatorzy poczekali kilka minut. Zbigniew znowu wzdychał, choć nie było audytorium, ale się przyzwyczaił. W końcu Nowak mruknął:

– Nic tu po nas. Jedziemy dalej. – I zawrócił na szwagrowskie podwórze.

Łatwiej było jednak powiedzieć niż wykonać. Kiedy doszli do gospodarstwa krewniaka, nie zobaczyli samochodu. Na próżno rozglądali się, szukali, najpierw w podwórzu, potem coraz dalej. Wrócił szwagier, ręce załamał, w jakimś sensie czuł się winny. Nikt z domowników nie wiedział, co się stało, bo wszyscy pobiegli na plebanię. Piękny, nowiutki zielony wartburg znikł jak kamfora. W piachu drogi nie sposób ustalić kierunku śladów kół; szwagier mieszkał trochę z boku od głównej, brukowanej ulicy, biegnącej przez wieś.

– Trzeba na milicję – szepnął przestraszony, że odpowiedzialność spadnie na niego.

– Też wymyślił! – krzyknął Daniel. – Będą pytać, co robiliśmy, po co przyjechałem. Wkopiemy się na całego.

– Jak to? Do rodziny przyjechałeś! – zaperzył się szwagier.

– Bałwanie, przecież ludzie powiedzą, o czym im klarowałem. A za coś takiego można mieć nieprzyjemności.

Orkiestra wojskowa grała teraz „Chabry z poligonu”. Kowalczyk gwizdał do wtóru, miał muzyczne ucho. Z domów powychodzili rozradowani staruszkowie i zwa-wo podreptali w stronę plebanii. Daniel przyglądał się temu wszystkiemu, czując, że go krew zalewa, bo wizja „zielonych” rozwiąła się bezpowrotnie. Meres uprzedził go, że musi sprawę załatwić we dwa dni, bo potem przyjadą wysłannicy Zakładów i będą agitować „za”.

– Z wojskiem nie wygrasz – stwierdził szwagier. – Jedźcie do innej... Prawda, nie macie czym. Chyba na piechotę?

– Ja nie idę! – zastrzegł się Kowalczyk. – Zaraz nogi odparzę.

Popołudniowym pekaesem wrócili do Golewic.

*

Waldemar Kędzierski postanowił agitować w trzech wioskach. Wczesnym rankiem wsiadł do autobusu i po

godzinie znalazł się w Łukiewnikach. Znał tutaj kilka rodzin, swego czasu miał nawet narzeczoną. Była to pierwsza narzeczoną, potem tak się złożyło, że naliczył ich cztery i zrezygnował ze wszystkich. Twierdził, że nie odpowiadały jego psychice.

Ta pierwsza zdążyła już wyjść za mąż, nie obawiał się więc żadnych incydentów w związku z przyjazdem. Dla pewności jednak zaczął z drugiego końca wioski. W odróżnieniu od Daniela nie kluczył chytrze, aby stopniowo wyjaśniać, po co przyjechał. Uderzył z miejsca, kiedy w jednym ze znajomych domów zeszło się kilku nastu mężczyzn, aby posłuchać przybysza.

– Ludzie! – wołał z zapalem. – Nie dajcie się zaciągnąć do roboty w Zakładach chemicznych „C-12”. To jest diabelska praca, w dodatku za grosze. Kto chce zarobić, niech pójdzie do prywatnego warsztatu, tam dostanie pięć razy więcej. Co ja mówię: dziesięć razy więcej! Chemia to śmierć.

Mówił tak długo, chrząkał, pryskał śliną, aż odsuwali się na bezpieczną odległość. Wreszcie jeden ze starszych zapytał:

– A co tam produkują? Bo tego tośmy się jeszcze od pana nie dowiedzieli.

– Nawozy sztuczne – odparł Waldemar, choć wołałby tej kwestii bliżej nie wyjaśniać.

Zebrani zaszemrali, popatrzyli na siebie.

– Nawozów nam brakuje – rzucił któryś.

– W chemii dobrze zarabiają – dodał inny. – Mam brata, to wiem.

– Jak w tej fabryce zabraknie ludzi do roboty, to co damy na pola?

– Ten miastowy głupio gada – orzekli.

I rozeszli się.

W drugiej wiosce chłopci nie raczyli nawet posłuchać. Powiedzieli, że sami wiedzą, co robić i nikt ich nie będzie namawiał albo odmawiał. Waldemar zrezygnował z dalszej agitacji; zadanie przerastało jego możliwości. Sądził, że wystarczy dziesięć minut, aby każdy przyznał mu rację. Okazało się, że wieś ma własne poglądy i cudzych nie pragnie.

Meres był zrozpaczony. Wszystkie plany rwały się w rękach. Zanim zdążył ochłonąć po smętnych relacjach Nowaka i Kowalczyka, którzy nie tylko nie wykonali roboty, ale stracili nowy samochód – z Załęża od znajomego przyszła wiadomość o kolejnej klęsce. Najlepszy, najpewniejszy agitator siedzi w areszcie za bójkę w knajpie.

Potem wrócił zgnębiony Kędzierski i odmówił współpracy.

– Ja się do tego nie nadaję – oświadczył. – Kiedy mam jakiemuś gnojowi rozwalić łeb, to rozwalę. Ale słuchać mnie nie chcą.

– Co ja powiem Kenowi? – jęczał Meres. – Przecież on nam nie da złamanego grosza!

Gniat i Brzezowski nie odzywali się, świadomi klęski. Amerykanin wyjechał na parę dni, ale wiedzieli, że wróci i zażąda sprawozdania z dywersyjnej działalności. Dowie się, że nie tylko nie udał się zamach na Sawicza, tak świetnie opracowany i precyzyjnie przygotowany. Dowie się, że z agitacji antychemicznej nic nie wyszło. Tylko straty i wstyd. Co wtedy powie?

*

Czerwony jaguar zatrzymał się cicho przed małą, ustronną willą na bocznej uliczce Żoliborza. Kierowca wyłączył silnik i siedział jeszcze chwilę, jakby zastanawiając się, czy wysiąść. Dał dwa delikatne sygnały klaksonem.

Odezwał się brzęczyk, brama otworzyła się, ukazując wjazd do garażu. Jaguar mieścił się w nim z łatwością.

Ken przeszedł wewnętrznymi schodami do holu, potem na piętro. Drzwi do pokoju po prawej stronie były lekko uchylone, dobiegał stamtąd szmer głosów. Był zmęczony długą jazdą, nie mógł jednak pozwolić sobie na odpoczynek. Skręcił w korytarz, wszedł do łazienki. Wziął letni prysznic, potem zimny, aż skóra poczerwieniała. Zmienił koszulę, oczyścił zakurzone spodnie. Przed lustrem bardzo ostrożnie wyłuskał spod powiek

szkła kontaktowe, wypłukał je i osuszył cienkim ręcznikiem, potem schował do specjalnego etui Marszcząc czoło, aby naciągnąć skórę, zdjął czarną perukę, układającą się na karku w długie pasma. Roztrzaskał i przyczesał krótko ostrzyżone włosy. Odbicie pokazało mu teraz jakby inną twarz z ciemnoniebieskimi oczami o znużonych rysach i lekko zaczerwienionych białkach; źle znosił szkła kontaktowe. Z wieszaka zabrał marynarkę, przerzucił ją przez ramię i poszedł do pokoju.

Siedziało tam dwóch mężczyzn. Starszy, siwowłosy z dużym nosem o brązowej od słońca twarzy, pełnej drobnutkich zmarszczek, i szczupły, śniady, z czarnymi oczami. Na wpeł wypalony gauloise przykleił mu się do warg, lekko skrzywionych w ironicznym, uśmiechu. Starszy nosił szary, trochę wymięty garnitur, był bez krawata. Młodszy wolał widać dzinsy, przetarte na kolanach i żółtawą koszulkę z krótkimi rękawami.

– Jesteś – mruknął siwowłosy, kiedy Ken wszedł do pokoju. – Jak poszło?

– Nie najgorzej – odparł, siadając w głębokim fotelu. Nalał sobie sodowej z syfonu, pił wolno, małymi łykami.

– Znowu gardło? – spytał śniady mężczyzna.

Potwierdził ruchem głowy. Odstawił szklanke, uśmiechnął się i odetchnął z wyraźną ulgą.

– Może nawet zupełnie dobrze – poprawił poprzednie stwierdzenie. – W każdym razie mamy już całość rozpracowaną.

– To znaczy?

– Kończymy za cztery, pięć dni.

– Poczekaj, Stachu – czarnooki ożywił się, wyciągnął rękę po nowego gauloise'a. – Przecież ja tam w Paryżu, nie wszystko wiedziałem. Przyjechałem wczoraj, a ty mówisz ogólnikami. Pułkownik pozwoli, że będę przesłuchiwał? – spojrzał na siedzącego obok oficera.

Siwowłosy roześmiał się.

– Zgoda, Bernardzie – mruknął. – Przesłuchaj go, bo i ja jestem ciekaw wiadomości z ostatnich dni. À propos, Stachu, gdzie zostawiłeś żonę? Przyjechała z tobą?

– Przyjechaliśmy razem, odwiozłem ją do domu. Myślę, że do Golewic już jej nie będę zabierał. Skończyła się Jenny, obiekt cichej admiracji ze strony Meresa... A swoją drogą bardzo mi pomogła. Samym faktem obecności. Jej angielszczyzna jest lepsza od mojej, stwierdziłem to z niemalym żalem! Muszę się podciągnąć w językach.

Pułkownik Gniewicz sięgnął po fajkę, ubił starannie tytoń, zapalił i między jednym a drugim pyknięciem powiedział:

– Ano, musisz. Przyjdzie czas, że przerwujemy cię

do Londynu. Trzeba ci wiedzieć – zwrócił się do Bernarda, który nosił zupełnie inne imię, ale takie przybrał we Francji – że nasz „R-8” wcielał się już nie tylko w skórę Amerykanina, wysłannika firmy „Southwark”. Dwa lata temu bardzo wprawnie odegrał rolę paryskiego clocharda, co nam umożliwiło rozpoznanie kontaktów między jednym ze szpiegów a zakamuflowaną placówką CIA.

– Mówiłem wtedy po francusku żargonem włóczęgów i uważali mnie ze swego – roześmiał się „R-8”. – Sypiałem pod mostami, nosiłem brodę, przestrzegałem zasady, aby myć się tylko w niedzielę, a i to nie w każdą. Powtarzałem sobie od czasu do czasu: honni soit qui mal y pense. Na szczęście, obeszło się bez choroby.

– Stachu, przywołuję cię do terazniejszości – upomniał go Bernard. – Co zaszło w Golewicach? A raczej, do czego nie dopuściłeś?

– Przede wszystkim do zamachu na inżyniera Sawicza. Kiedy Brzezowski założył minę i odszedł, jeden z naszych ludzi błyskawicznie uprzątnął wszystko...

– To było niebezpieczne – przerwał pułkownik. – Ryzykowałeś życie tego pracownika, kapitanie.

– Nie! Wyzaczyłem sapersa, dobrego fachowca.

– W porządku. Co dalej?

– Meres rozesłał w teren czterech „agitorów”, wybranych spośród całej bandy. Mieli za zadanie

powstrzymać ewentualny nabór do pracy w Zakładach. Obiecałem dolary, ale trzeba było przeciąć to działanie. Jeden z nich po drodze w knajpie wdał się w bójkę... no, trochę mu to chłopcy umożliwili. Skierko skontaktował się z miejscowym posterunkiem, oczywiście nic bliżej nie wyjaśniając. Patrol wszedł na salę w odpowiednim momencie. Facet przesiedział potem tydzień w areszcie.

– A tamci trzej?

– Dwóch pojechało samochodem do wioski Mosty Wielkie. Porozumiałem się wtedy z porucznikiem Kowalskim z pobliskiego garnizonu. Był dyskretny, zresztą i tak nie mogłem uzasadnić swojej prośby, ale uwierzył mi na słowo. Kiedy ci dwaj rozpoczęli swoją robotę, Kowalski zajechał na plebanię z orkiestrą. Proboszcz, kombatant, przyjął ich otwartymi ramionami, a miejscowa ludność wołała słuchać muzyki wojskowej niż gadania, czemu wcale się nie dziwię. Żeby jednak coś się potem nie odmieniło, na wszelki wypadek nasi odstawili agitatorski samochód aż do Golewic. Po paru dniach milicja miała „odnaleźć” wóz i zwrócić go właścicielowi, co już pewnie zrobiła.

– Pozostał jeszcze czwarty wysłannik.

– Tak. Jego też oczywiście mieliśmy na uwadze, ale okazało się to zbyt bezsensowne. Chłopi w dwóch wioskach uświadomili go, że nawozy są im potrzebne, a co za tym idzie Zakłady powinny mieć wystarczająco liczną

załogę; A teraz, pułkowniku, chciałbym dowiedzieć się, jak poszło z Ługajem?

Gniewicz uśmiechnął się pod wąsem.

– Wytrzymaliśmy go do ostatniej godziny – odparł.
– Przyjechał już na lotnisko, wysiadł, wszedł do holu. Dopiero wtedy poprosiliśmy go do pomieszczeń WOP, a stamtąd został przewieziony do ministerstwa. Był tak zdumiony, że z początku nie mógł mówić. Potem dość długo udawał, że nie ma pojęcia o żadnych powiązaniach z grupą GET ani z firmą „Southwark”. Pokazałem mu wtedy zdjęcia z Paryża, które Bernard nam dostarczył. To było pierwsze uderzenie. Jeszcze się wypierał. Wyjaśniłem, że odkąd wszedł w nasze pole obserwacji niejaki John, wysłannik Centralnej Agencji Wywiadowczej, stopniowo poznawaliśmy jego agentów w Polsce. Tak doszliśmy do Waldemara Meresa.

– Ale przecież Ługaj nie kontaktował się z Johnem?

– Ługaj nie. John widywał się i przekazywał instrukcje, pieniądze i wyposażenie do aktów dywersji wyłącznie Meresowi. Mogliśmy z miejsca zatrzymać tego ostatniego, dowodów było sporo. Sądziłem jednak, co okazało się prawdą, że Meres nie działa sam. Dlatego podchodziliśmy do tej sprawy bardzo ostrożnie i z dużą dozą cierpliwości, co w pracy kontrwywiadu jest

nieodzowne. Powoli, systematycznie zacieśniałmy oczka sieci. W obserwacji znalazł się Dariusz Gniat, potem Brzezowski. Najtrudniej było dotrzeć do Ługaja; memu zastępcy wydawało się po prostu niemożliwe, żeby człowiek na tak wysokim stanowisku w Zakładach poszedł, na współpracę z grupą terrorystyczną. Ale w pewnym momencie Ługaj, dotąd bardzo ostrożny, nagle stracił czujność. Zaczął nocami spotykać się z Meresem. Przychodził również wtedy, kiedy byli tam już Gniat i Brzezowski.

– Są dowody?

– Tak. Zdjęcia w podczerwieni, kilka taśm. Z początku nie mogłem powiązać napadu na inżyniera Sosnowieckiego i pożaru w jego mieszkaniu z tamtą grupą. Dopiero mikrokapsułka zaalarmowała nas. Stało się jasne, że grupie chodzi o niedopuszczenie do produkcji nawozów, w każdym razie o opóźnienie ile się da. A w tym celu musieli uniemożliwić opracowanie katalizatora.

– Napad na Ługaja to fikcja?

– Oczywiście. W rozmowie ze Skierką popełnił drobny błąd, mówiąc, że opatrzyli go w Pogotowiu. Skierko jest dociekliwy. Sprawdził i okazało się, że wcale go tam nie było. Zestawił to z faktem, że bandaż na czole rzekomej ofiary jest pokrwawiony od zewnątrz,

a na palcu opatrunek, i wyciągnął słuszny wniosek: lipa.

– Kiedy Ługaj zaczął „śpiewać”?

– Czwartej dnia, jeżeli pamiętam. Przekonał się, że wiemy wystarczająco dużo. Wówczas powiedział nawet to, o czym nie mieliśmy pojęcia: o hasle „Malwina wygrała milion” i o tym, że do Golewic ewentualnie przyjedzie wysłannik firmy „Southwark”. No, tu się zaczęła twoja rola, Stachu.

– A później moja – uzupełnił Bernard. – „C-15” odegrał rolę Ługaja, kiedy byłem już pewien, że w paryskim przedstawicielstwie Zakładów nie znają osobiście ani rzeczywistego wicedyrektora z Golewic, ani nie zetknęli się przy żadnej okazji z naszym pracownikiem. Oni są zresztą do siebie podobni. Fizycznie, rzecz jasna.

– Skierko był trochę markotny, że nie poinformowaliśmy o wszystkim dyrektora Zawadzkiego – rzekł „R-8”. – Próbowałem mu wytłumaczyć, iż nie mamy prawa. Najuczciwszy, najdyskretniejszy człowiek może niechcący zdradzić się, jeżeli nie słowem, to gestem, uśmiechem niedowierzania, wzruszeniem ramion. Zresztą sam Skierko też nie znał całego przebiegu akcji. Na przykład napad nocą w bramie na inżyniera Jabłońskiego, udaremniony dzięki interwencji dwóch naszych kolegów, jest dla Skierki do tej pory niewyjaśniona

sprawą. Nie wie, że od pewnego czasu trzej inżynierowie znajdują się pod ochroną. Jak szarotki – roześmiał się. – Ale chłopcy działają tak dyskretnie, że ani razu nie wytropił ich milicyjny patrol. Uważam to za duże osiągnięcie.

– Twoje? – spytał Bernard.

– Nie. Mojego bezpośredniego szefa, majora Andrzeja Ostrowskiego. Ja, odkąd wcieliłem się w Kena, miałem nakazany wszelki kontakt z nim i innymi pracownikami tylko przy pomocy radiostacji. Poza tym zdany byłem na własny rozum. W Warszawie od rozpoczęcia „amerykanizacji” jestem zaledwie drugi raz.

– Kiedy wracasz do Golewic?

– Jutro po południu.

– Znasz kolejne plany grupy GET?

– Domyślam się. Dlatego muszę tam być jak najprędzej. Pojechałbym jeszcze dziś w nocy, ale moje oczy powinny chociaż kilkanaście godzin odpocząć od szkieł kontaktowych.

– W drodze powrotnej nie potrzebujesz ich zakładać – zauważył pułkownik. – Jedziesz sam.

Kapitan zaprzeczył ruchem głowy.

– Jadę sam, ale nie wolno mi ryzykować. Któż zařęczy, że któryś z tej trójki nie wybierze się samochodem do Warszawy? Czerwony jaguar to wspaniały wóz, ale można go rozpoznać z daleka. Każde niespodziewane

spotkanie niesie ze sobą mnóstwo okazji do jakiegoś potknięcia, podejrzeń, wątpliwości. Pułkownikowi, oni nie są ani głupi, ani prymitywni. W każdym razie Meres i Gniat to ludzie inteligentni, chytrzy. Długo mi się przyglądali, kiedy przyszedłem już jako delegat firmy. Zwłaszcza Gniat. Widziałem, że śledzą każdy mój ruch, obserwują ubranie, buty, papierosy, wsłuchują się w sposób mówienia, nie tylko w treść. Gniat obejrzał okiem fachowca samochód i rad byłem, że wziąłem jaguara, choć z początku protestowałem, ale Andrzej mnie przekonał. Chyba dobrze rozegrałem tę scenę w mieszkaniu Meresa, kiedy w, pewnym momencie wycelowałem w niego pistolet – uśmiechnął się na wspomnienie. – Chciałbym, natomiast jeszcze raz podkreślić, że ogromnie pomogła mi Jenny... pozostaną już przy tym imieniu. Oczarowała Meresa, z daleka podziwiał ją Gniat, zaimponowała im nie tylko urodą, ale wdziękiem. Tak, kochani! Chociaż to moja żona, mogę ją chwalić bez zażenowania.

– Jest również pracownikiem kontrwywiadu, nie zapominaj o tym. Ale pytałem cię, czy znasz dalsze plany GET. Odpowiedziałeś, że się domyślasz. Czego?

„R-8” przymknął na chwilę oczy; bolały go.

– Po prostu oni chcą wysadzić w powietrze laboratorium. A być może i inne obiekty Zakładów. Brzezowski

przygotował w tym celu kilkanaście ładunków wybuchowych. Detonują się za pomocą lontu. Trzyma to w swojej piwnicy.

Pułkownik zaniepokoił się.

– Gdzie on mieszka? Jakiś oddzielny dom czy blok?

– Na szczęście nie blok. Stary, samotny domek, raczej ruderę na peryferiach miasta.

– Ostrowski o tym wie?

– Jasne. Mówiłem, że nasi ludzie ochraniają tych trzech inżynierów, ale nie powiedziałem, że w tym samym stopniu, może nawet większym, inwigilują grupę GET. Mamy dobre, wyraźne zdjęcia Brzezowskiego wykonane ukrytą kamerą, jak zakłada minę przed mieszkaniem Sawicza. A także jak próbuje dostać się do podręcznego magazynu ze środkami chemicznymi. Tam zresztą, przy pomocy dopasowanego klucza, wszedł do środka, ale natrafił na mocne, stalowe drzwi i musiał zrezygnować. Te drzwi to sugestia Skierki, skierowana do dyrektora Zawadzkiego. Szef Zakładów zadziałał błyskawicznie. Więc nie obawiam się, będąc w Warszawie, że oni tam w Golewicach rozpoczną eksplozję przed moim powrotem. Nie tylko dlatego, że w razie próby Andrzej im to uniemożliwi, ale i dlatego, że Meres będzie czekał na mój powrót. A mimo to muszę

wracać już jutro, bo nie wiadomo co jeszcze tym szaleńcom strzeli eto głowy. Ostrowski nie siedzi przecież wśród nich tak jak ja.

Bernard podniósł się z fotela, przeciągnął i ziewnął szeroko.

– Północ – oznajmił, patrząc na duży ścienny zegar w rogu pokoju. – Idźmy spać. Niech ci wypoczną oczy – spojrzał na kapitana ze swoim ironicznym uśmiechem. – Jutro też będzie dzień.

– A twoja Colette? – spytał pułkownik, wytrząsając popiół z fajki. – Dobrze się sprawuje?

– Miła dziewczyna. Ale ona nie jest moja. Ja mam swoją w Katowicach. Czeka na mnie już dwa lata. Błękitnooka, jasnowłosa – rozmarzył się. – Jesienią kończy mi się „kwarantanna” w Paryżu. Wracam, żenię się, zakładam normalny dom. Chyba że nie pozwolą.

– Co to znaczy: nie pozwolą? – zdumiał się kapitan.

– No, przecież za granicę jej nie wezmę. Jeżeli mnie znowu gdzieś wyślą... – Zadumał się, westchnął. – W naszej robocie jest mało miejsca na osobiste sprawy. Dopiero jak się w obcych krajach wymęczymy, zedrżemy, a czasem i „spalimy”, wtedy dadzą awans, order i spokojną egzystencję za biurkiem. Albo od razu emeryturę.

Roześmieli się. Wizja emerytury nie pasowała do Bernarda, tyle w nim było jeszcze młodości i energii.

*

– No, jesteś! – ucieszył się Waldemar, kiedy Ken wszedł do jego mieszkania. – Teraz już nie mamy czasu na żadne zastanawianie się i czekanie. Musimy przeprowadzić ostatnią akcję. Tę najważniejszą.

– Coś się stało w Zakładach? – spytał przybysz, sadowiąc się w fotelu. – Nie było mnie raptem półtora dnia.

– Otrzymałem absolutnie pewną informację, że inżynierowie zakończyli prace nad katalizatorem. Dyrekcja zaczęła uzupełniać załogę.

Można sądzić bez pudła, że za trzy, cztery dni ruszy amoniak W-154.

– Rozumiem. – Ken zapalił, zastanawiał się chwilę. – Nie powiedziałeś mi, jak wykonali zadanie twoi czterej wysłannicy w terenie?

Meres westchnął ciężko. Nijako mu było o tym wspominać, ale musiał. Zdał więc relację w zawiłych słowach, tu i ówdzie wybielając agitatorów. Puścił przy tym wodze fantazji, ale Ken przerwał mu niecierpliwie:

– Zdaje się, że grubo przesadzasz. Ci ludzie dostali wyraźne polecenie, które mieli wykonać. Żaden z nich tego nie zrobił. Jakie wyciągnąłeś wobec nich konsekwencje?

– To znaczy... zrugalem ich odpowiednio, ale...
– Co: ale?
– Widzisz, nie mogłem posunąć się za daleko. Dla nich wystarczającą karą będzie to, że nie dostaną dolarów.

– Waldi, ja ciebie nie rozumiem. To są w końcu twoi podwładni czy wolni strzelcy? Powtarzam, jakie sankcje podjąłeś?

Meres rozłożył ręce bezradnym gestem.

– Nie mogę nic im zrobić. Któryś się wkurzy i pośle anonim do milicji. Na mnie.

Ken słuchał tego z kamienną twarzą i groźnie zmarszczonymi brwiami. Jakby od niechcenia opuścił prawą rękę, położył ją na biodrze.

Waldemar wiedział, że Amerykanin nosi za paskiem pistolet. Zrobiło mu się zimno, pobladł, odsunął się w stronę drzwi.

– Powiedziałeś mi swego czasu, że ci czterej nie orientują się w organizacji i działaniu grupy GET. Cóż więc mogą napisać o tobie w anonimie?

– Proste. Że wysłałem ludzi, aby agitowali przeciwko pracy w Zakładach.

– To trzeba udowodnić. Taki człowiek nie wymieni przecież swego nazwiska, bo by się sam podłożył. Pozostałych chyba też nie. Anonim może być tylko ogólnikowy. Nic ci nie zrobią.

Meres milczał. Dobrze wiedział, że pierwszy sygnał

do milicji pociągnie za sobą następne, a tego chciał za wszelką cenę uniknąć. Ken palił przez kilka minut, w końcu otrząsnął się z zamyślenia, popatrzał na Waldemara, który stał bezradnie koło drzwi, i powiedział już spokojnie, z lekkim wyrzutem:

– Nie umiałeś dobrać sobie pracowników. A teraz już za późno na agitację. Co wobec tego chcecie zrobić?

Meres, zadowolony, że na tym się skończyło, wrócił do stołu, usiadł, nalał Kenowi i sobie koniaku.

– Jesteśmy gotowi do wysadzenia w powietrze laboratorium – rzekł z satysfakcją w głosie. – Co prawda, bardzo by się teraz przydał Ługaj; który jako główny technolog może bez wzbudzania podejrzeń kręcić się po całym terenie Zakładów. No, ale Ługaj nie wrócił jeszcze z Francji, a my czekać już nie możemy. – Spojrzał na wiszący kalendarz. – Dzisiaj jest wtorek. Do czwartku Brzezowski wybierze odpowiednie punkty dokoła laboratorium, w których w ostatniej chwili umieścimy materiały wybuchowe.

– Kto umieści?

– On i Gniat. Mirek przemyci go wieczorem na teren „C-12”. Jest takie mało strzeżone miejsce przy bocznicy kolejowej.

– Kiedy wieczorem?

– We czwartek. Lonty, połączone z sześciu miejsc,

Brzezowski zapali dokładnie o północy. Zdaje się, że za pomocą specjalnego iskrownika. Tak aby obaj zdążyli uciec na bezpieczną odległość. A zresztą... – machnął ręką lekceważąco. – Najważniejsze, aby wybuch nastąpił. Reszta jest nieistotna.

Ken utkwiał w mówiącym szare, nieruchome oczy.

– Nie – rzekł. – Jestem pewien, że to, co później nastąpi, jest najistotniejsze.

Meres roześmiał się.

– Oczywiście! – zawołał. – Wykonane zadanie i sporo dolarów. Czyż nie mam racji?

– Ja też będę mógł sobie powiedzieć, że swoją robotę wykonałem – Ken nie zareagował na pytanie.

– Tobie pewnie grubo zapłacą?

Amerykanin roześmiał się.

– Dla mnie – odparł – od pieniędzy ważniejsza jest satysfakcja. Ale ty tego pewnie nie rozumiesz.

Rozdział 9

Brzezowski przyszedł do willi Meresa o drugiej nad ranem. Był szary ze zmęczenia, wybrudzony, a w oczach paliło mu się szaleństwo. Tak to przynajmniej ocenił Waldemar, kiedy wyrwany ze snu zapalił lampę i papierosa, aby trochę otrzeźwieć. Przyjrzał się koledze,

zaniepokoił.

– Wszystko gotowe – powiedział technik, zagłębiwszy się w fotelu. – Daj się czegoś napić. Gardło mam suche.

– Weź mineralnej. Syfon stoi za tobą, na kredensie. Brzezowski skrzywił się niechętnie.

– Daj wódki.

Meres wstał, wsunął nogi w pantofle i rozgniewał się.

– Nie będziesz chlał! Czy ty nie rozumiesz, że dzisiaj już jest czwartek? Idź do domu, wyśpij się, żebyś był przytomny na noc. Nie dostaniesz ani kropli... – Urwał, bo przy furtce zabrzączał dzwonek. – Cholera, kogo znowu diabli niosą o tej godzinie? Schowaj się!

Poczłapał do okna. W świetle księżycy poznał sylwetkę Amerykanina. Zbiegł po schodach, gubiąc pantofel, zdumiony nagłymi wizytami. Otworzył furtkę. Ken uśmiechnął się, ale nic nie powiedział, tylko szybko skierował się na górę. Kiedy obaj znaleźli się w mieszkaniu, Amerykanin popatrzał na drzemającego technika i pokiwał głową.

– Tak mi się wydawało – mruknął z irytacją. – Zobaczyłem go na ulicy, od razu miałem niedobre przecucie. Jasne było, że przyjdzie do ciebie po wódkę, bo w domu już mu się skończyła. Słuchaj, za żadną cenę nie wolno go stąd wypuścić aż do nocy. Niech się

rozbierze, daj mu jakiś czysty łańch, połóż spać. I zamknij na dziesięć kluczy, bo jak teraz wyjdzie, to urządzi nam taki bal, że się nie pozbieramy. Ja w razie czego ucieknę z Golewic, ale ty i Gniat zostajecie.

– Rozumiem – odparł Waldemar. – Zaraz się nim zajmę.

Znikł na chwilę w drugim pokoju, słychać było stamtąd szuranie mebli, skrzyp otwieranej szafy. Potem Meres wyłonił się z piżamą na rękę i ręcznikiem. Kopnął Brzezowskiego w kostkę, aż tamten zasyczał z bólu, ocknął się, popatrzał dokoła.

– Co jest? – stęknął,

– Chodź, ofiario! Wstawię cię pod prysznic, bo byś mi tapczan zaświnił.

Wspólnie z Amerykaninem zataszczyli technika do wanny, rozebrali, umyli pobieżnie, bo im leciał przez ręce, wpakowali w piżamę i zaciągnęli jak worek z piaskiem do pokoju na zasłany tapczan. Zasnął momentalnie, poświstując przez sen. Waldemar postawił mu na stole syfon z wodą i wyszedł, zamykając drzwi na klucz.

– A gdzie ty będziesz spał? – spytał Ken.

– Nigdzie. Już świta. Zresztą odechciało mi się. Czekaaj, zrobię kawy. Zjemy śniadanie. A coś ty robił o tej porze na ulicy?

– Wiesz, nie mogłem zasnąć. Myślałem ciągle o

tym, co będzie w nocy, czy jesteśmy dostatecznie przygotowani. Czy nie popełniliśmy żadnego błędu.

– Sądzę, że nie – odrzekł Waldemar. – Zaraz wrócę.

Zszedł na dół do kuchni. Ogrodnicza rodzina jeszcze spała. Nastawił wodę na kawę, posmarował kromki chleba, przyrządził sałatkę z pomidorów. Kiedy woda się zagotowała, zalał wrzątkiem dwie porcje neski w szklankach, wyciągnął z lodówki śmietankę. Wreszcie usmażył błyskawicznie jajecznicę z sześciu jaj. Gotowe śniadanie, wniósł na tacy.

– Chcesz szynki? – spytał Kena. – Mam w lodówce, mogę pokroić.

– Nie, dziękuję. Wystarczy to, co jest.

Jedli w milczeniu. Z sąsiedniego pokoju dolatywało głośne chrapanie.

– Gdzie on trzyma te ładunki? – spytał Amerykanin.

– U siebie w piwnicy. Nie znam się na chemii, ale pamiętam, że są to lonty i materiały wybuchowe.

– W porządku. Nie wypuszczaj go wcześniej niż na samą robotę. Dasz sobie z nim radę?

– Oczywiście. Będzie spał do południa. Zjemy potem obiad.

– Masz w domu wódkę?

– Ani kropli.

Ken popatrzał na niego surowo.

– Słuchaj, bo to nie są żarty!

– Przysięgam, że nie ma w domu wódki! Tylko koniak. Ale ja mu nie dam. Przecież rozumiem, że jak będzie na bańce, to nas po drodze wysadzi w powietrze. Zresztą, poczekaj – zerwał się, podszedł do barku. Wyjął trzy butelki koniaku. – Schowam go w piwnicy. Albo w lodówce, chociaż zamrozić koniak to zbrodnia.

– To go potem odmrożisz – powiedział Ken bezlitośnie. Wstał, przeszukał barek, ale nie znalazł już alkoholu. Butelki powędrowały do lodówki, Waldemar zamknął ją z ciężkim westchnieniem i wrócił na górę.

– Jak się umówiliście z Gniatem?

– Ma przyjść do mnie o pół do jedenastej. W nocy, oczywiście. Potem miał iść do Brzezowskiego, ale ze ten drań śpi teraz u mnie, wobec tego pójdą już stąd razem.

– Więc po co te wcześniejsze odwiedziny u ciebie? To nieostrożne – powiedział Ken niezadowolony. – Nie powinien się tu kręcić.

Meres uśmiechnął się pobłaźliwie. Podszedł do regału, biegnącego od podłogi aż po sufit, odsunął kilka książek na trzeciej półce od góry. Delikatnie trzasnęły zamki, otworzyła się skrytka. Wyjął stamtąd dwa pistolety, położył na stole. Ken popatrzał, nie dotykając.

– Dziewięćmilimetrówki – stwierdził. – Beretta

i browning. Stare typy. Skąd wzięłeś te graty?

– Żadne graty! – obruszył się Waldemar. – Sprawne i celne.

– Masz magazynki?

– Jasne.

– Dużo?

– Po dwa do każdego. Wystarczy.

– Jeden pistolet dla Gniata, drugi dla ciebie?

– Tak.

– A Brzezowski?

– Jemu niepotrzebne. On pójdzie obładowany materiałem wybuchowym; wystarczająca broń.

Ken huśtał się na krześle, odchylając je na coraz większą odległość, aż zaskrzypiało ostrzegawczo.

– Właściwie do kogo chcecie strzelać?

– Do każdego, kto nam stanie na drodze.

– Słuchaj, przecież to idiotyzm! Pierwszy strzał stawia na nogi wartowników na całym terenie Zakładów. Nie zdążycie dojść do laboratorium. Czekaj, tamci dwaj przedostaną się przez bocznice, a gdzie ty masz zamiar się umieścić?

– Przy boczniczy kolejowej. Najbezpieczniejsze miejsce. Jeżeli przy okazji wybuchu moich kolegów rozerwie, to ja się zmywam. A jeżeli zdążą uciec do boczniczy, pomogę. W razie pościgu będę strzelał. Tuż

za bocznicą zaparkują samochód. Zanim wartownicy połąpią się, że laboratorium wyleciało w powietrze, my będziemy już w swoich mieszkaniach. A to, co mówisz, że idiotyzm... Nie masz racji. Użyjemy broni tylko w ostateczności. Gniat dobrze strzela. Ja też. Położymy dwóch, trzech strażników, reszta się cofnie. Zresztą, człowieku, przecież jak nastąpi eksplozja, to nocna warta potraci głowy! Zakładam, że na początku nikt się w ogóle nie zorientuje, co się stało. Poza tym cały duży kawał terenu przed bocznicą jest nieoświetlony. Brzezowski wczoraj poprzecinał kable. Zostaw to krzesło, bo się wywrócisz.

Ken słuchał uważnie. Po ostatnich słowach uśmiechnął się, wrócił do normalnej pozycji i mruknął:

– Podobno u was w Polsce mówi się na to: diabła kołyszysz. Tak?

– Możliwe. Nie słyszałem. – Schował pistolety, zaniósł brudne naczynia do kuchni. – Cwaniak – szepnął do siebie, zmywając talerze. – Sam ma pistolet, a mnie chciałby puścić bez broni!

Amerikanin zszedł na dół, zaofiarował się do pomocy w wycieraniu, ale Meres wzruszył ramionami i pokazał elektryczną suszarkę.

– No, to idę – rzekł Ken. – Jasno na dworze, lepiej żeby nikt mnie tu nie widział. Twój sadowniczy zaraz się obudzą.

– Chyba tak. – Waldemar wytarł ręce i popatrzał niezdeterminowanie na stojącego przed nim wysłannika „Southwark”. – Jak się umawiamy? Nie spotkamy się już przed nocą?

– Nie. Chcesz coś jeszcze ode mnie?

– Raczej nie. Kiedy będzie po wszystkim, przyjdiesz tutaj?

– Tak. Zobaczymy, jak pójdzie.

– Musi się udać. Przecież gliny nie mają pojęcia, że coś takiego zaplanowaliśmy. Nikt naszej trójki nie podejrzewa.

Ken przyjrzał mu się, pokiwał głową.

– Okay. Na pewno się uda.

Kiedy był już przy drzwiach, Meres powiedział:

– Zapomniałeś, że mam jeszcze mikrokapsułki, już tylko dwie ostatnie, ale mam.

Ken zatrzymał się. Szare nieruchome oczy przez mgnienie rozbłysły, zaraz światełko znikło pod powiekami. Czarne brwi drgnęły, ale twarz pozostała bez wyrazu.

– Nie zabieraj tego – rzekł. Było coś w spokojnym na pozór głosie, że Waldemar nagle poczuł strach.

– Dlaczego? – spytał. – Podrzucę gdzieś w pobliżu wartowni albo przy płocie. Paru strażników może szlag trafić, dla nas czysty zysk.

– Nie. Nie zrobisz tego!

– Ale dlaczego? – zdziwił się, nie mogąc tamtego

zrozumieć. Ta niebezpieczna trucizna pociągała go jak, zabawka. – Powiedz, o co chodzi?

– Nie pozwalam. Mam taką instrukcję od firmy.

– A skąd twoja firma wie, że ja to mam? Że chcę użyć?

Ken raptem podszedł do niego, mocnym chwytem złapał za kołnierz piżamy i zacisnął pod szyją, aż Meres poczerwieniał, zaczął się szarpać i krztusić. Dopiero w tym momencie zorientował się, że Amerykanin ma nad nim dużą przewagę fizyczną. Nie był w stanie wyrwać się, więc tylko wzrokiem prosił o litość.

Ken zwolnił uchwyt, ale nie puszczał.

– Głupcze! – syknął gniewnie. – Moja firma wie o każdym waszym kroku, odkąd ja tu przyjechałem. Także o tym, że masz w domu te ampułki. Stanowczo zabronili posługiwać się nimi, ponieważ mogą być środkiem przedawnionym i już niepewnym. Skąd wiesz, kretynie, jaki towar wcisnął ci do ręki ten marynarz? No, skąd? Jaką masz gwarancję, że sam, nawet tutaj, nie wdychasz oparów?

Puścił kołnierz, poczekał, aż tamten rozmasuje obołałą szyję, i rzekł stanowczym tonem:

– Jesteś głupszy, niż sądziłem. Oddaj mi te dwie mikrokapsułki.

– Ja ich nie zabiorę, daję słowo!

– Słowo nic nie kosztuje, a twój brak poczucia

odpowiedzialności, może mnie sporo kosztować. Ja reprezentuję swoją firmę, wypełniam zadanie i wolno mi cię nawet zlikwidować, gdybym doszedł do wniosku, że to jest potrzebne.

Waldemar zacisnął wargi.

– Ja też mam broń – burknął ze złością.

– Dureń. Nie zdążysz sięgnąć po tę twoją armatę. Mój pistolet OR-11 ma w magazynku dwanaście sztuk. Bije precyzyjnie, a ja nie chybiam.

– Kowboj!

– Owszem, z biodra strzelam też. No, dosyć tego. Dawaj kapsułki!

Szurając pantoflami, Meres niechętnie podszedł do regału, otworzył skrytkę. Kiedy odwrócił się, trzymając w ręku metalowe pudełko, znowu jak, tamtym razem zobaczył skierowaną w jego stronę lufę pistoletu.

– Postaw na stole! – zażądał Amerykanin. – I odejdz od okna.

Waldemar posłusznie wypełnił, co mu kazano. Ken lewą ręką zabrał pudełko. Przełożył do drugiego z hermetycznym zamknięciem, które wyjął z kieszeni. Potem zabezpieczył broń, wsunął za pasek.

– Najlepiej zrobisz, jak się teraz prześpisz – poradził. – Masz chyba jeszcze jakieś miejsce do spania poza tapczanem w sypialni.

– Jest kozetka w gościnnym – mruknął Meres. – Najpierw muszę zamknąć, za tobą furtkę.

Wyszli z domu. Przed furtką Ken uśmiechnął się przyjaźnie.

– Nie miej do mnie żalu – powiedział. – Jestem dokładny w robocie, a do swojej firmy mam bezgraniczne zaufanie.

– Rozumiem – mruknął Waldemar. Pomyślał, że przecież od tego człowieka, właściwie tylko od niego, zależy wypłata dolarów.

Odpędził więc resztki gniewu, podali sobie ręce i rozeszli się każdy w swoją stronę.

*

Czerwony jaguar wyleciał jak z procy sprzed hotelu, skręcił w boczną ulicę, pognął za miasto.

– Ten Amerykanin to ma szczęście – westchnął z zdrośnię posiadacz malucha, drzemiący na parkingu. – Niechbym ja tak wyskoczył, zaraz by mnie drogowa przywazyła. I mandacik jak drut!

Jego towarzysz roześmiał się na całe gardło.

– Józek, gdyby twój maluch miał taki zryw jak jaguar, to ja bym ci od razu postawił flachę najlepszego koniaku.

Kierowca czerwonego wozu był już daleko. Wpadł na leśny trakt w pobliżu jeziora, uporał się gładko z piachem i wybojami, wreszcie zahamował przed leśniczówką. Dziwnym trafem tego dnia nie było w niej

gospodarzy. Za budynkiem, starannie zamaskowane, stały cztery wojskowe ciężarówki i milicyjny radiowóz, wyglądający przy nich nader skromnie, co zresztą nie miało znaczenia. Leśniczówka na pierwszy rzut oka wydawała się jakby opustoszała; nikt nie wyszedł na próg, aby powitać czy zatrzymać kierowcę jaguara. On sam jednak nie zwracał na to uwagi. Wbiegł po paru schodkach do sieni, stamtąd do izby.

Dopiero w środku starego, obszernego domostwa można się było przekonać, że pełno w nim ludzi w zielonych i szaro-granatowych mundurach, a także po cywilnemu. Polowa radiostacja, dwie kamery filmowe, pojemniki z dezaktywatorami, kilka kompletów impregnowanego umundurowania, wreszcie granaty dymne, gaśnice ppoż – wszystko to wskazywało, że operacja, nosząca kryptonim „Eksplodzja”, jest w pełni przygotowana.

„R-8” podszedł do długiego stołu, przy którym siedzieli oficerowie kontrwywiadu. Zajął wolny skrawek ławy i powiedział:

– Przywiozłem mikrokapsułki.

Wyjął z kieszeni kurtki metalowe pudełko, otworzył i pokazał. Dwie małe, przezroczyste fiołki nie wyglądały groźnie, ale działanie ich było mordercze.

– Skąd? – mruknął pytająco major Andrzej Ostrowski.

– Odebrałem Meresowi.

– Tak po prostu? – zaciekawil się jeden z oficerów w zielonym mundurze. – Zgodzil się?

Kapitan uśmiechnął się przelotnie.

– Musiał.

– To znaczy?

– Nieważne. Jednak nie mam żadnej pewności, czy miał tylko dwie. Ani czy Gniat lub Brzezowski też czego podobnego nie chowają. I nie użyją w nocy. Andrzej, zdążyliście już przeorać piwnicę tego pirotechnika?

– Tak. Koledzy-saperzy zrobili zamianę tak szybko i sprawnie, że facet nic nie zauważy, kiedy przyjdzie po miny i lonty.

– Teraz śpi u Meresa w domu, bo przyszedł do niego o drugiej nad ranem i domagał się wódki. Na szczęście zjawiłem się tam, zanim Meres zdążył napić go alkoholem. Gniat ma przyjść do willi o dwudziestej drugiej trzydzieści. Meres trzyma w skrytce dwa pistolety: berettę i browning. Jeden dla niego, drugi dla Gniata. Po dwa magazynki na każdą broń. Tego już nie mogłem mu odebrać, zacząłby natychmiast coś podejrzewać. I tak go wytrzymałem kilka minut pod pistoletem.

– Dlaczego?

– Bo wahał się, czy oddać mi kapsułki.

– Więc musimy się liczyć z dwiema wersjami ich akcji – odezwał się pułkownik Polewski. – Pierwsza: założą miny i lonty, które im nie wypalą bo zostały przez

nas zamienione. Wówczas, zdeterminowani i gotowi na wszystko, rozpoczną strzelaninę i rzucą mikrokapsułki, jeżeli jeszcze je mają. Druga wersja: Brzezowski, na wszelki wypadek, weźmie z innego pomieszczenia, o którym w tej chwili nic nie wiemy, dodatkowe materiały wybuchowe i założy oprócz tamtych. W tym wypadku mogłoby udać się częściowe rozwalenie laboratorium. Do tego, rzecz jasna, nie wolno dopuścić. Mówiłeś, Stachu – zwrócił się do „R-8” – że Brzezowski to na wpół szaleniec. Z piromanami ciężka sprawa, na ogół są chytry, podstępni. Dlatego widzę potrzebę, niewielkiej zresztą, korekty naszego planu. Popatrzcie.

Kilka głów pochyliło się nad mapą terenu „C-12” i najbliższych ulic miasta.

– A może zrobiliśmy błąd? – rzekł nagle kapitan.

– Jaki błąd? – spytał Polewski. Popatrzał na zszarzałą, zmęczoną twarz, oficera kontrwywiadu; przelotnie pomyślał, że człowiek ten od dłuższego czasu żyje w nieustannym napięciu.

– Ta zamiana materiału wybuchowego w piwnicy Brzezowskiego. Przecież możemy już w każdej chwili zatrzymać całą trójkę. Nie dopuścić w ogóle do nocnej akcji. Ale wówczas te nieszkodliwe miny nie obciążą technika. Po pierwszym zaskoczeniu, może szoku, wyśmiejemy nas. Czy nie lepiej było ująć go w trakcie wychodzenia z piwnicy z autentycznym materiałem wybuchowym?

– Braliśmy to pod uwagę. Powtórzę jednak raz jeszcze, że mamy do czynienia z nieobliczalnym piromanem. Któż ci zaręczy, że nie rzuciłby wtedy tymi groźnymi ładunkami w zatrzymujących go funkcjonariuszy? Jak stwierdzili nasi saperzy, w piwnicy znajdowały się miny, że użyję tego ogólnego określenia, kilku rodzajów. Jedne wybuchają pod wpływem zapalnika, inne przy zetknięciu z jakąkolwiek przeszkodą. W tym wypadku z ciałem człowieka. Nie wolno nam ryzykować, Stachu!

*

O siódmej wieczorem milicyjny radiowóz zajechał przed teren Zakładów. Kapitan Skierko odsalutował strażnikom, przeszedł spokojnym krokiem przez kilka rozległych dziedzińców między halami, patrzył to na reaktory, to na wieżę syntezy amoniaku, przyglądał się przez chwilę wejściu do kotłowni, jakby znalazł tam coś ciekawego, wreszcie stanął u drzwi podziemnego laboratorium. Strażnicy wpuścili go nie legitymując; Skierko miał od pewnego czasu specjalną przepustkę.

Trzej inżynierowie kłócili się zajadle w drugim sektorze budynku obok potężnej kruszarki szczękowej. Sosnowiecki nie zgadzał się na jakąś próbę, tamci dwaj

usiłowali go przekonać że to oni mają rację. W laboratorium panował upał, w powietrzu unosił się przykry zapach chemikaliów, wentylatory obracały się ostatkiem sił, dawno powinny iść do naprawy, ale nie było czasu. Trójka „od katalizatora” pracowała w rozpiętych do pasa koszulach, straszliwie brudna, oblana potem, rozgorączkowana i szczęśliwa, że postawiła na swoim. Teraz chodziło już tylko o drobiazgi. Zajęci sporem, nie dostrzegli kapitana, aż wszedł pomiędzy nich i łagodnie spytał, o co chodzi.

– Nic ważnego – Sawicz machnął ręką. – Silnik trzeba wymienić. A zresztą niech jeszcze zostanie.

– Nareszcie – Sosnowiecki odetchnął z ulgą. – Od początku o tym mówię, a wy się upieracie. – Rozeźmiał się, wierzchem dłoni otarł mokre czoło. – Czołem, kapitanie. Co nowego? – I nie czekając na odpowiedź dodał z dumą: – Skończyliśmy! Katalizator gotowy.

– Gratuluję – odparł Skierko. – Ale muszę w bardzo pilnej sprawie poprosić panów do siebie na krótką rozmowę. Tak ważną, że nie może ona czekać.

Spojrzeli po sobie, Sawicz rzekł niechętnie:

– Mamy tu jeszcze sporo roboty. Chyba posiedzimy w nocy. Widzi pan – wskazał ręką – siatka to stop pla-
tyny z rodem. Trzeba na niej rozsypać...

– Czekaj! – przerwał Jabłoński. – Nie rób kapitanowi wykładu o produkcji amoniaku. Po co mamy teraz jechać do komendy? I chyba nie w takim stanie: brudni, zakurzeni.

– No, możemy przecież tu obok w łazience doprowadzić się do jakiego takiego wyglądu – wtrącił Marian. – Jeżeli kapitan zapewni nas, że rozmowa długo nie potrwa.

– Ależ oczywiście! – odparł Skierko. Nikt z trójki nie przeczuwał, że była to odpowiedź wykrętna.

Usiadł potem na brzegu żeliwnej wanny do kwasów, zadowolony, że włożył stare spodnie, i czekał, aż wszyscy trzej wyjdą umyć i przebrani. O pół do ósmej wyprowadził ich na powietrze, pozwolił pooddychać głęboko, aby oczyścili płuca i gardła. Wsiadli potem do radiowozu. Sawicz na tylnym siedzeniu od razu zadrzemał, Janusz pogwizdywał jakąś melodię, która uczepiła się go w czasie porannej audycji. Sosnowiecki wymieniał z kapitanem, prowadzącym wóz, uwagi na temat wyższości psów nad kotami, przy czym okazało się, że Skierko zdecydowanie woli psy, zaś Marian upierał się przy kociej indywidualności i ambicji.

– Kota nie wolno uderzyć – mówił. – Obrazi się, odejdzie i trzeba go długo prosić, żeby wrócił. A bity pies liże ręce człowieka.

– Ale w psie ma pan prawdziwego przyjaciela – odrzekł kapitan i nie dokończył, bo zajechali już przed gmach komendy.

Wprowadził inżynierów na piętro, przepuścił przed sobą. Znaleźli się w pokoju, w którym stał telewizor, kilka foteli, szafa z książkami, nie było jednak telefonu. Poprosił o zajęcie miejsc, przyniósł butelki coli i papierosy.

– Słuchamy, kapitanie – odezwał się Sosnowiecki.
– Wie pan, trochę nam się jednak śpieszy.

Skierko oparł się o drzwi, poprawił krawat, odchrząknął.

– Przykro mi – zaczął bardzo spokojnie, ale stanowczo. – Do jutra rana nie wyjdą panowie z komendy.

Wszyscy trzej spojrzeli na niego z bezgranicznym zdumieniem.

– Żartuje pan – mruknął Sawicz.

– Nie.

Jabłoński zerwał się z fotela.

– Pan nas aresztuje? – wykrzyknął gniewnie.

– W pewnym sensie. Można by to tak nazwać – odparł kapitan, nie odchodząc od drzwi.

– Ależ... Co to znaczy? – Sosnowiecki również wstał, nie wierzył w to, co słyszy. Przeciągnął dłonią po czole, był straszliwie zmęczony. – Jak mamy to rozumieć?

– Zapewniam panów, że to co robię, jest wyłącznie dla waszego dobra.

– Dobra? – zawołał Sawicz. – Pan ma źle... – Urwał.

– ...w głowie – dokończył Skierko, wcale nie obrażony; – Mogło tak się czasami zdarzyć, ale nie dziś. Dzisiaj jestem całkowicie przekonany, że ta decyzja jest konieczna.

– Zaraz, chwileczkę – Marian zrobił krok w jego kierunku, kapitan jeszcze bliżej przysunął się do drzwi, choć wydawało się to niemożliwe. – Więc to jest areszt czy nie jest? I od kiedy aresztowanie odbywa się dla czyjegoś dobra? To znaczy dla dobra tego, którego się zamyka?

– Poza tym proszę przedstawić nam zarzuty – dodał Zbyszek.

Skierko milczał chwilę, jakby wahał się, zastanawiał, a potem rzekł:

– Przykro mi...

– To już pan powiedział na początku.

– Więc powtarzam: przykro mi, ale w tej chwili nie mam nic więcej do powiedzenia.

Odwrócił się błyskawicznie, znikł za drzwiami. Usłyszeli przekręcanie klucza w zamku i oddalające się kroki.

– Niesłychane! – krzyknął Jabłoński. – Co on sobie myśli?

Sawicz skoczył do okna. Zobaczył kraty, całkiem solidne.

– Rzeczywiście nas aresztowali! – rozejrzał się po pokoju, teraz dopiero spostrzegł drugie drzwi, prowadzące widać do jakiegoś pomieszczenia. O dziwo, były otwarte. W następnym pokoju zobaczyli trzy zasłane połowe łóżka i stół, na którym stał duży termos obok drewnianej tacy z jakimiś pakunkami, zawiniętymi w pergamin. Janusz rozwinął jeden i parsknął śmiechem.

– Bułki z kielbasą. I z żółtym serem.

– A tu pomidory – mruknął Zbyszek. – Co w termosie?

– Kawa. Są szklanki i cukier. Całkiem niezła kolacja.

– Słuchajcie, ja nic z tego nie rozumiem – powiedział Sawicz, zatapiając zęby w bułce. Był bardzo głodny. Widząc, jak je, tamci zabrali się do pozostałych kanapek, nalali sobie kawy.

– Nikt z nas nie rozumie – odparł Jabłoński. Popatrzał na łóżka z czystą pościelą i ziewnął. – Boże, jak ja bym teraz się przespał!

– Chyba nic innego nam nie pozostaje. Dobrze, żeśmy się umyli w laboratorium. Chociaż... – Sawicz zobaczył, że za „jadalnią” jest jeszcze jakieś pomieszczenie. Znalazł mikroskopijną łazienkę z prysznicem. Spojrzał na okno drugiego pokoju; też było okratowane.

– Co oni tu mają – mimo woli zaciekawiał się.

– Pewnie gościnne pokoje dla przyjezdnych funkcjonariuszy.

– To czemu kraty?

– Żeby nie wyskoczyli przez pomyłkę. Nie masz większych zmartwień?

Zjedli, co było do jedzenia, wypalili paczkę papierosów, zostawionych przez Skierkę na stole.

– No, tośmy przeszli na wikt milicyjny – stwierdził Janusz. – Jeżeli takie są areszty, to bym się czasem zgodził. Dla odpoczynku.

– Zdaje mi się, że wiem – zaczął Marian z namysłem – albo domyślam się, w czym rzecz. Z jakiegoś ważnego powodu chcą nam na tę noc zapewnić absolutne bezpieczeństwo.

Umilkli, spowaźnieli. Rzecz była na tyle prawdopodobna, że zgodzili się przyznać koledze rację.

– Ale w takim razie – rzekł Sawicz – coś się zacznie dziś w nocy w Zakładach. A nas, do ciężkiej cholery, tam nie będzie!

*

Dyrektor Zawadzki zacisnął w palcach szklaną cygarniczkę, aż pękła z cichym trzaskiem i skaleczyła mu kciuk.

– Nie mogę uwierzyć! – zawołał. – W żaden sposób.

Wytarł krew chusteczką, poślinił palec.

– A jednak to prawda – odparł Skierko.

– Chcą panu wierzyć; To znaczy oczywiście wierzę w to, co pan powiedział, ale... No cóż. Nie pierwszy raz ktoś mnie zawiódł w życiu. I pewnie nie ostatni.

– Pan go lubi?

– Nie. Szczerze mówiąc, nie. Ale byłem wobec niego sprawiedliwy i doceniałem jako głównego technologa. Jako chemika. Trochę broniłem go przed tą zakazaną trójką „od katalizatora”, choć teraz okazuje się, że to oni mieli nosa. Wspaniałe chłopaki! Czy pan wie, że skończyli? Możemy ruszyć produkcją.

– Wiem – rzekł Skierko, mrużąc swoje małe oczy, przez co wydały się jak szparki. – Powiedzieli mi o tym.

– Był pan w laboratorium? – zdziwił się dyrektor. – Po co?

– Wyprowadziłem ich stamtąd, zawiozłem do komendy i zamknąłem na klucz – wyjaśnił bez żenady.

Zawadzki otworzył usta, oczy zaokrągliły mu się ze zdziwienia, które natychmiast przeszło w gniew.

– Zamknął pan trzech moich inżynierów w areszcie? Kapitanie, jak pan śmiał to zrobić?!

– Jeżeli zechce pan posłuchać, przyzna pan mi rację. Jeżeli pana nie przekonam, natychmiast ich wypuszczę.

– Powiedzmy, że wysłucham. No, gadaj pan!

Opowieść, którą usłyszał, a która kwadrans wcześniej rozpoczęła się od słów: „Pański główny technolog Wacław Ługaj od paru tygodni jest przesłuchiwany w Warszawie...” – zakończyła się tak:

– Dzisiaj właśnie jest ten czwartek. Dzisiejszej nocy grupa GET postanowiła zrealizować swój plan wysadzenia laboratorium w powietrze. Być może innych budynków też. Gdyby inżynier Sawicz nie oświadczył mi, że muszą jeszcze popracować w nocy, gdyby wszyscy opuścili laboratorium wczesnym wieczorem, to nie musiałbym ich zamykać. Znając jednak, a był czas, aby je poznać, zdecydowanie tej, jak pan się wyraził, zakazanej trójki, musiałem uciec się do przemocy. Mają tam zresztą dobre warunki, bo zarówno kolację, jak łóżka z czystą pościelą. Telewizor też jest.

Zawadzki siedział czas jakiś w milczeniu, tylko brwi to unosiły mu się w górę, to opadały żałośnie. Wreszcie westchnął, spojrzął na niepozorną postać oficera o pogodnej twarzy i maleńkich oczach, który, jak się okazało, zrobił wszystko, aby ustrzec jego najlepszych pracowników od tragedii, i rzekł cicho:

– Wie pan co? – Potem milczał tak długo, aż Skierko odparł, że nie wie, choć na takie pytanie odpowiedź zazwyczaj jest zbyt cicha, i wreszcie powiedział: – Kapitanie, z pana jednak pierwszorzędny facet!

Wstał, przyniósł karafkę z rubinową nalewką i dwa kielichy z pięknie rżniętego szkła. Nalał, podał jeden oficerowi i dokończył:

– Stary człowiek ze mnie, od ciebie sto lat starszy, ale mówmy sobie po imieniu. Jerzy jestem.

– Ja też – odparł Jerzy Skierko, trącając się z nim kieliszkiem.

*

O godzinie dziewiątej wieczorem pułkownik Polewski zakończył odprawę. W kuchni przygotowano szybką kolację: nieśmiertelna jajecznica, chleb, masło, świeże ogórki i kawa. „R-8” wyszedł potem na podwórze leśniczówki, patrzył na ogromne, czarne w mroku czuby sosen, słuchał szumu gałęzi, ale myślami znajdował się w willi Meresa, gdzie już najpewniej przygotowywano się do akcji.

Ktoś stanął obok niego, poczuł dym papierosa.

– O czym tak myślisz, Stachu? – spytał Polewski. Był wysoki, trochę się garbił, miał bardzo gęste, lekko rozwichrzone włosy i spojrzenie człowieka, który chwilami z trudem znosi ciężar przeżytych lat. I nie chodziło tu wcale o wiek, lecz o doświadczenia.

– Zastanawiam się, co oni teraz robią – odparł.

– Jak sądzisz, czy Meres lub inni ani razu nie podejrzewali, że nie jesteś tym, za którego się podajesz?

Potrząsnął głową przecząco.

– Na pewno nie. Wyczułbym to natychmiast. Zbyt wiele faktów świadczyło za mną, a nie przeciw mnie. Posłuchaj. Najpierw Ługaj, jeszcze przed wyjazdem, przygotowuje ich do ewentualnej wizyty kogoś z Paryża. Potem przychodzi od niego depesza. Później list. Nawiasem mówiąc, do tej pory nie wiem, czy to on sam napisał?

– Nie. Natomiast powiedział w trakcie przesłuchania, że depesza ma być podpisana imieniem „Danka”, podobnie jak list. A w liście zdanie o ciotce Malwinie, która przyjedzie. Hasło i odzew wyjawiał już wcześniej.

– A pismo?

Polewski uśmiechnął się.

– Mamy przecież doskonałych ekspertów. Wprawdzie Ługaj twierdził stanowczo, że ani Meres ani tamci nie znają jego charakteru pisma, nie mogliśmy jednak wierzyć we wszystko, co mówi. Zwłaszcza że parokrotnie próbował wprowadzić nas w błąd.

– Nie pytałem cię dotąd, co się dzieje z Johnem, tym wysłannikiem CIA? Zatrzymaliście go?

– A skądże! Nawet pozwoliliśmy mu wyjechać z Polski. Przecież gdybyśmy go ruszyli, natychmiast

Monachium zostałyby zaalarmowane. Wtedy upada sprawa nakrycia całej siatki. John już do Polski nie przyjedzie.

– Rozumiem. Powiedz mi jeszcze, Tadeusz, co to za dziwne ciężarówki? Mają jakieś urządzenia, których nie znam.

– Nie jest to żadna rewelacja. Po prostu tak zwany IZS, czyli indywidualny zestaw samochodowy do odkazania.

– Po co?

– Na wszelki wypadek – uśmiechnął się pułkownik.
– Być może grupa GET zademonstruje dziś w Zakładach pokaz takich środków chemicznych, które trzeba będzie natychmiast usunąć i oczyścić teren. Musimy być na to przygotowani. – Zaświecił zapalniczką, spojrzął na zegarek. – Za osiem dwudziesta druga. Zbieramy się, Stachu!

*

Noc była bezksiężycowa, zanosilo się na deszcz. Meres, doprowadziwszy swego przymusowego gościa do stanu wytrzeźwienia, zaproponował mu przed wyjściem kolację, ale Brzezowski odmówił. Zaczęła już go ogarniać gorączka działania, wrywał się do swojej piwnicy, coś tam chciał jeszcze zmienić, wzmocnić, dolać czy dosypać... Waldemar ze strachem patrzył na jego błyszczące oczy i drgające wargi.

– Uspokój się! – wrzasnął w pewnej chwili. – Znowu

cię amok opętał? Nigdzie sam nie pójdziesz. Za kilka minut przyjdzie Darek, czekamy na niego, wiesz o tym. Do diabła, czy mam ci dać relanium? Ciskasz się jak stara histeryczka. Los mnie pokarał takim pirotechnikiem.

– Dobra, już nic nie mówię – burknął Mirosław. – Nie masz wódki?

– Sto razy ci tłumaczyłem, że nie! Zresztą nawet gdybym miał, to i tak byś nie dostał. Teraz, na dwie godziny przed akcją? Kretyn.

Krótko, dwukrotnie odezwał się dzwonek przy furtce.

– Darek – powiedział Meres z ulgą. Szamotanina z Brzewoskim kosztowała go sporo nerwów.

Gniat wszedł do pokoju i zdziwił się na widok technika.

– To on tutaj siedzi? Przecież inaczej uzgodniłismy. – Spoglądał nieufnie na obu, jakby podejrzewał ich o zмовę.

– Tak wyszło – odparł Waldemar niechętnie. – Przyłazł do mnie w nocy spity jak świnia. Na ulicy widział go Ken, przyszedł zaraz i kazał go zamknąć w sypialni, żeby się wyspał i wytrzeźwiał. No, to już nie chciałem, żeby teraz łąził po mieście. O dwudziestej trzeciej wyjdziecie do jego domu po ładunki. Ja w chwili po was. Będę na boczniczy, jak się umawialiśmy.

Gniat usiadł, poprosił o kawę. Meres miał gotową w termosie, nalał mu do szklanki, podsunął cukier.

– Czegoś taki rozpalony? – spytał Dariusz, patrząc na technika. – Masz gorączkę?

Brzewowski wzruszył tylko ramionami. Wstał, podszedł do okna.

– Zostaw go – mruknął Waldemar. – Cholera, chyba dam mu jednak relanium.

– Nie wezmę! – doleciało od okna.

– I ja mam z takim wariatem zakładać materiał wybuchowy? – rzekł Gniat z przekąsem. – Przecież on wszystko popłącze i my dwaj wylecimy do nieba zamiast laboratorium.

Technik odwrócił się. Był jakby spokojniejszy.

– Może ja jestem wariat – powiedział. – Ale nie przy robocie. Czy wy nie rozumiecie, że mnie, właśnie mnie najbardziej zależy na wybuchu? Wam chodzi tylko o dolary. Całą tę politykę czy ideologię macie w nosie. Ja też. Ale ja stawiam na eksplozję! Dla mnie ona jest najważniejsza. Dlatego nie obawiaj się, Darku, że przy mnie stanie ci się coś złego. Póki będziemy razem, jesteś bezpieczniejszy od Waldka, schowanego gdzieś tam w wagonie kolejowym.

Meres wyczuł ironię i odparł gniewnie:

– Nie jestem tchórzem. Na boczniczy będę was obu osłaniał. Do zakładania ładunków nie potrzeba aż tylu

rąk. Zresztą nie znam się na tym.

– A ja się znam? – Dariusz roześmiał się urągliwie.

– Słuchajcie, przecież nie będziemy się teraz kłócić. Darku, może chcesz zjeść kolację?

Gniat zastanowił się, a potem zgodził. Jedli pośpiesznie, tylko Brzezowski odmówił po raz drugi. Kiedy skończyli, Meres wyjął ze skrytki pistolety i magazynki. Browning podał koledze, dla siebie zatrzymał berettę. Zapasowe magazynki schowali po kieszeniach. Technik przyglądał się temu uważnie, ale nic nie mówił.

– Która godzina? – spytał Dariusz.

– Jedenasta. No, idziemy! Najpierw wy dwaj. Przypominam, że po wszystkim każdy zaszywa się w domu i czeka na mój sygnał. Kiedy zjawi się Ken, zawołam was.

– Powiem ci tylko – Gniat podszedł do niego tak blisko, że twarze ich niemal dotykały się – i zapamiętaj to sobie, kolego Meres! Gdyby przypadkiem przyszło ci do głowy, razem z tym cholernym Amerykaninem, wykiwać nas, to obiecuję na wszystkie świętości, że nie zdążysz wsiąść do czerwonego jaguara. Nie zdążysz! – powtórzył, pokazując trzymany w ręku pistolet.

– Zglupiałeś?

– Nie. Ja tylko biorę różne możliwości pod uwagę. Idziemy, Mirek!

Wyszedł za nimi do furtki, i zamknął ją. Nic już do siebie nie mówili. Wrócił potem na górę, przebrał się w ciemne dresy i pantofle na miękkiej, gumowej podszewie. Stał przy kontakcie, żeby zgasić lampę, i zamyslił się.

Gniat słusznie podejrzewał, tylko skąd na to wpadł? Waldemar niejednokrotnie już zamierzał porozmawiać z Kenem w cztery oczy i przedstawić mu swoją wersję zakończenia akcji. Chciał się z Amerykaninem spotkać natychmiast po wybuchu, wyjechać jego wozem do Warszawy czy gdzie bądź, a stamtąd na Zachód. Paszport na nazwisko obywatela RFN z własną fotografią od dawna miał przygotowany w regałowej skrytce. Gotów był bez wahania zostawić dom, meble, rzeczy osobiste – w zamian za te sto tysięcy dolarów, które firma „Southwark” obiecała po zniszczeniu laboratorium.

Tak się jednak ostatnio składało, że Ken nie widywał się z nim sam na sam, zawsze w obecności Gniata czy Brzezowskiego. Meres nie mógł iść po prostu do hotelu. Nie mógł zwłaszcza dlatego, że – dziwnym zrzędzeniem – nie znał do tej pory nazwiska Amerykanina.

Od, początku był tylko „Ken” i nic dalej. Waldemar nie śmiał pytać w recepcji, bał się narazić, zepsuć dobry kontakt. Raz Dariusz spytał go o to nazwisko, ale Meres udał, że nie słyszy. Nie wiedział też, w którym pokoju

Ken się zatrzymał, zresztą nie zdecydowałby się na szukanie. Dwukrotnie „paryżanin” zagroził mu pistoletem; rozumiał więc, że nie były to żarty. Gra szła o wielką stawkę.

Wziął ze stołu berettę, Wprowadził nabój do komory, zabezpieczył i wsunął za pasek, pod obszerną bluzę dresów. Gdybym – myślał, zbiegając ze schodów – w zamęcie nocy zlikwidował tych dwóch, rzecz rozwiązałaby się sama. Ken nigdy nie dowiedziałyby się, dzięki czyjej broni poszli gryźć trawkę od spodu.

Wiedział, w którym miejscu znajdzie technika, w którym Gniata. W tym celu należało opuścić bezpieczne schronienie między wagonami, przedostać się w pobliże laboratorium...

– I w stosownej chwili wylecieć w powietrze – mruknął, zamykając furtkę za sobą.

Chyba – snuł dalej rozważania – że załatwię ich natychmiast po wybuchu. Jednego w drodze do domu, drugiego w mieszkaniu. Tak będzie najlepiej. Łatwiej pójdzie z Brzezowskim, bo Darek ma pistolet. Dlatego z nim trzeba będzie się rozprawić w ciemnej uliczce, z zaskoczenia. Milicja, zaalarmowana eksplozją, popędzi tam na złamanie karku i pies z kulawą nogą nie przypilnuje miasta. No, to właściwie – zawahał się – po co ja idę do boczniczy?

Doszedł jednak do wniosku, że Gniat, jak zwykle nieufny, może sprawdzić, czy szef grupy GET nie

stchórzył, nie został w domu. Trzeba trochę tam się pokręcić. Potem zwiać.

*

Godzina dwudziesta trzecia. Cztery wojskowe ciężarówki wolno, bardzo wolno, z wygaszonymi reflektorami, posuwały się okrążając teren Zakładów „C-12”. Na całkowite opasanie tak wielkiego obszaru sznurem wozów trzeba by ich nie cztery, lecz czterdzieści. Polewskiemu nie chodziło jednak o zamknięcie w kleszczach, to nie było konieczne. Samochody zatrzymały się po dwóch bokach prostokąta, w którym znajdowało się podziemne laboratorium, umieszczone na samym końcu i oddzielone od reszty budynków basenami przeciwpożarowymi.

Krótszy, najdalej od centrum położony, bok tego prostokąta stanowiła bocznicą kolejowa. Tej nocy stały na; niej puste wagony. Tak przynajmniej można było sądzić.

Tej nocy również w Golewicach nie przechadzały się patrole milicyjne, nie jeździły radiowozy. Wydawało się, że miejscowa władza w mundurach śpi snem sprawiedliwego. Księżyc był na nowiu, chmury przesłoniły gwiazdy. Deszcz wisiał w powietrzu.

Meres, zadowolony z ciszy i pustki na ulicach, podniecony planem, który dopiero co sobie ułożył, nie zwrócił

uwagi na brak patroli, choć dotychczas każdej nocy pilnowały one porządku w mieście. Szedł szybkim krokiem w kierunku boczny, wybierając małe uliczki, źle lub wcale nie oświetlone. Przelotnie pomyślał, że gdyby go nawet zatrzymali, to najwyżej wylegitymują, nie będą przecież obszukiwać.

Minął stary dom Wolniaków i zastanowił się przez chwilę, czy inżynier Jabłoński pracuje jeszcze w laboratorium, czy też śpi na pięterku. Przeszedł mostek, okrążył z daleka główną bramę; w portierni świeciło się, ktoś stał przy oknie, ale nie patrzył w jego stronę. Przyspieszył kroku. Tamci już powinni znajdować się przy laboratorium. A może Darek czeka na boczny? Trzeba mu się pokazać.

Jeszcze dziesięć minut drogi. Świeżo naprawiona dziura w murze, którą pracownicy czasem wyskakiwali do meliny „Zezowatej Franki” na kielicha. Już widać mimo ciemności zarysy wagonów.

Zatrzymał się i nadśluchiwał, czy nie idzie strażnik. Ale dokoła panowała nie zmacona niczym cisza. Zdziwił się: nie pilnują? Odpowiedział sam sobie, że wagony przecież jeszcze puste, więc czego tu właściwie pilnować. Doszedł do pierwszego, odpoczywał chwilę po szybkim marszu. Rozsunięte drzwi ukazywały czarną

głębie. Pomyślał, że wejdzie tam, posiedzi z kwadrans; czekając na wybuch.

Raptem, kiedy dźwignął się w górę i postawił nogę na podłodze wagonu, coś się w tej głębi poruszyło.

– Darek? – spytał cicho.

– Ja – usłyszał szept.

– Na co czekasz? Gdzie Brzezowski?

– Też tutaj.

– Co się stało? Dlaczego nie idziecie pod laboratorium?

Zdziwiony i gniewny, ruszył w ich stronę. Nagle dwie pary rąk chwyciły go żelaznym uściskiem, położyły twarzą do podłogi. Jego własne ręce znalazły się w metalowym potrzasku. Wtedy ktoś go podniósł, postawił twarzą w twarz... Oślepiony latarką, dojrzał milicyjne mundury. Błyskawicznie wyjęto mu zza paska broń. Milczał, nie był w stanie wykrztusić słowa. Wszystko rozegrało się w ciągu kilku sekund, cały świat przewrócił się do góry nogami i runął.

– Gdzie Gniat i Brzezowski? – usłyszał ostry głos. Nie znał go. Światło wciąż biło mu prosto w oczy, więc schylił głowę.

– Gdzie Gniat i Brzezowski? – powtórzył tamten głos. – Szybko, gdzie oni są? Odpowiadaj!

Przełknął ślinę. Nie było czasu na ułożenie jakiegoś sensownego wytłumaczenia. Zresztą zdradził się na

samym początku kiedy sądził, że w wagonie siedzą tamci,

- Przy laboratorium – odparł.
- W którym miejscu? Budynek jest długi.
- Z tyłu, idąc od bocznic.
- Który z nich ma broń?
- Gniat.
- Jaką?
- Pistolet. Browning.
- A Brzezowski?
- Ja mu nie dawałem. Nie wiem.
- Co przynieśli na teren Zakładów?
- Materiały wybuchowe. I lonty.
- Skąd zabrali?
- Od Brzezowskiego, z piwnicy.
- Wyjdź z wagonu!

Posłusznie przysiadł, opuścił nogi i zeskoczył. Trzech milicjantów poprowadziło go do ukrytego dalej radiowozu. Kazali mu wsiąść, ale samochód nie ruszył. Dwóch funkcjonariuszy zajęło miejsca obok niego, trzeci za kierownicą.

- Dokąd, mamy jechać? – odważył się spytać.

Nie otrzymał odpowiedzi. Zdawało się, że na coś czekają. Nagle pomyślał, że znajdują się za blisko laboratorium, wybuch może rzucić na wóz odłamki gruzu i metali.

- Zaraz nastąpi eksplozja! – krzyknął przerażony. – Trzeba odjechać dalej, szybko!
- Spokój! – powiedział jeden z milicjantów.

Szarpnął się, chcąc wyskoczyć. Silna i ręka przycisnęła go do poduszek siedzenia i kapral powtórzył:

– Spokój!

Meres przymknął oczy. Zrobiło mu się gorąco, pot wąską strużką spływał po policzkach. Z minuty na minutę czekał na wybuch. Już powinni wysadzić – myślał. – Może tu nie doleci. Może zdążymy odjechać.

Ale wybuchu nie było. I nagle wszystko stało się jasne. Tam, pod laboratorium, wszędzie dokoła, na całym terenie Zakładów znajdowała się milicja. Może nawet i wojsko. Gniat i tamten już są pewnie zatrzymani. Nikt nie zdążył wysadzić ani metra ścian. Ani okruszyny.

– Wiedzieli – szepnął do siebie. Musieli wiedzieć. Dokładnie, o dniu i godzinie, o miejscu. Czekali na niego w wagonie. Z pewnością czekali na Darka i Brzezowskiego przy laboratorium. Ktoś wszystko powiedział. Kto?!
I wtedy po raz pierwszy pomyślał o Kenie.

*

„R-8” spokojnie wrócił do hotelu po swoje rzeczy. Zapłacił rachunek, miło uśmiechnął się do recepcjonisty, który nie znał angielskiego, więc tylko uklonił się w milczeniu. Spojrzał na zegarek. Piąta rano. Wsiadł do czerwonego jaguara, wymanewrował na ulicę.

Piekły oczy, głowa bolała z niewyspania. Druga noc. Zatrzymał się, zdecydowanym ruchem wyjął szkła kontaktowe. Jego spojrzenie zatrzymało się przez dwie sekundy na przejeżdżającym właśnie radiowozie milicyjnym. Siedział w nim człowiek, który na widok jaguara poruszył się gwałtownie. Na moment spojrzenia dwóch ludzi skrzyżowały się. Zaraz jednak milicjant zasłonił sobą szybę radiowozu.

Jeszcze dwa służbowe wozy minęły czerwony samochód. W każdym, prócz funkcjonariuszy, siedział mężczyzna z rękami w kajdankach. W jakiś czas potem nadleciał czarny mercedes i zahamował. „R-8” przesiadł się do tamtego wozu, kilka minut rozmawiali.

– Stachu, dziękuję za dobrą robotę – powiedział pułkownik Polewski. – Ocaliłeś Zakłady. Zdajesz sobie z tego sprawę? – I uśmiechnął się.

– Myślę, że największą zasługę ma Skierko – odparł kapitan. – On pierwszy dostrzegł i właściwie ocenił powagę sytuacji.

– Ale teraz będzie się gęsto tłumaczył przed rozeźloną trójką inżynierów, których aresztował na jedną noc. Nie chciałbym być w jego skórze